

„MROŻĄCE KREW, MISTRZOWSKIE, GENIALNE!” „The Times”

SEBASTIAN FITZEK



TERAPIA


AMBER



**SEBASTIAN
FITZEK**

TERAPIA

**Przekład
BARBARA TARNAS**



Cokolwiek bym podczas leczenia czy poza nim w życiu ludzkim ujrzał czy usłyszał, czego nie należy rozgłaszać, będę milczał, zachowując to w tajemnicy.

Z przysięgi Hipokratesa

Pokaż mi swoich przyjaciół,

a powiem ci, kim jesteś.

Powiedzenie

Prolog

Kiedy minęło pół godziny, wiedział, że już nigdy nie zobaczy córki. Otworzyła drzwi, jeszcze raz na chwilę odwróciła się do niego i weszła do gabinetu. Josephine, jego mała dwunastoletnia córka, już nigdy stamtąd nie wyjdzie. Był tego pewien. Już nigdy nie uśmiechnie się do niego, kiedy będzie ją kładł spać. Viktor już nigdy nie zgasi kolorowej lampki na nocnym stoliku, kiedy jego córka zaśnie. A jej przeraźliwe krzyki już nigdy nie obudzą go w środku nocy.

Ta świadomość spadła na niego jak grom z jasnego nieba.

Kiedy wstawał, poczuł, że jego ciało wolałoby nie ruszać się z chybotliwego plastikowego krzesła. Nie zdziwiłby się, gdyby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Gdyby padł jak długi na zniszczony parkiet poczekalni. Dokładnie między tęgą pacjentką cierpiącą na łuszczycę a stolikiem, na którym leżały stare pisma ilustrowane. Nie było mu jednak dane doświadczyć łaski omdlenia. Nie stracił świadomości.

*W nagłych wypadkach przyjmujemy
pacjentów poza kolejnością*

Tabliczka informacyjna na obitych białą skórą drzwiach do gabinetu alergologa rozplynęła mu się przed oczami.

Doktor Grohlke był przyjacielem rodziny i lekarzem numer dwadzieścia dwa. Viktor Larenz sporządził listę lekarzy. Dwudziestu jeden przed nim nie potrafiło nic znaleźć. Zupełnie nic.

Pierwszy z nich, lekarz pogotowia, przyjechał w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, kiedy w ich posiadłości na berlińskiej wyspie Schwanenwerder odbywało się spotkanie rodzinne. Dokładnie jedenaście miesięcy temu. Najpierw wszyscy sądzili, że Josephine tylko zatrzała się świątecznym fondue. W nocy kilka razy wymiotowała, a potem dostała biegunki. Jego żona Isabell wezwała prywatne pogotowie, a Viktor zniósł Josy, ubraną w cienką batystową koszulę nocną, do salonu. Jeszcze dziś czuł jej chude rączki, kiedy o tym myślał. Jedną objęła go za szyję, szukając pomocy, w drugiej mocno ścisnęła ulubionego pluszaka, niebieskiego kota Nepomuka. Pod surowym spojrzeniem zebranych wokół krewnych lekarz osłuchał wątlą klatkę piersiową dziewczynki, podłączył kroplówkę z elektrolitami i przepisał środek homeopatyczny.

– Niewielka infekcja żołądkowo-jelitowa. Właśnie grasuje w mieście. Ale nie ma się co martwić! Wszystko będzie dobrze. – Tymi słowami lekarz się pożegnał. Wszystko będzie dobrze. Kłamał.

Viktor stał przed gabinetem doktora Grohlkego. Kiedy chciał otworzyć ciężkie drzwi, nie był w stanie wykrzesać z siebie tyle sił, aby nacisnąć klamkę. W pierwszej chwili pomyślał, że stres, jaki przeżył w ciągu ostatnich godzin, odebrał mu całą energię. Po chwili jednak uświadomił sobie, że drzwi są zamknięte. Ktoś zaryglował je od środka.

Co tu się dzieje?

Odwrocił się gwałtownie i miał uczucie, że widzi otaczającą go rzeczywistość jak na przesuwających się przed oczami w zwolnionym tempie pojedynczych klatkach filmu. Wszystko docierało do jego mózgu przesunięte w czasie i w postaci oderwanych od siebie obrazów: zdjęcia irlandzkich krajobrazów na ścianach poczekalni, pokryty kurzem figowiec w niszy przy oknie i kobieta z łuszczycą siedząca na krześle. Larenz ostatni raz szarpnął klamką i powlókł się przez poczekalnię do wyjścia. Korytarz był w dalszym ciągu potwornie zatłoczony. Jakby doktor Grohlke był jedynym lekarzem w Berlinie.

Viktor powoli podszedł do recepcji. Jakiś młodzieniec z rzucającym się w oczy trądzikiem na twarzy czekał na wystawienie recepty, ale Larenz niegrzecznie odepchnął go na bok i natychmiast zaczął mówić do rejestratorki. Znał Marię ze swoich wcześniejszych wizyt. Kiedy przed pół godziną wszedł tutaj z Josy, jeszcze jej nie było. Teraz ucieszył się, że zastępująca ją osoba najwidoczniej ma przerwę lub skierowano ją do innych zajęć. Maria miała dopiero dwadzieścia kilka lat i wyglądała jak dość korpulentny bramkarz żeńskiej drużyny piłkarskiej, ale sama była matką małej córeczki. Na pewno mu pomoże.

– Muszę natychmiast tam wejść i ją zobaczyć – powiedział głośniejszym głosem, niż zamierzał.

– O, dzień dobry, doktorze Larenz, cieszę się, że znowu pana widzę. – Maria od razu poznała psychiatrę. Co prawda dawno go tu nie było, ale wystarczająco często widywała jego charakterystyczną twarz w telewizji i czasopiśmie. Był ulubionym gościem rozmaitych talk-show. Nie tylko z powodu atrakcyjnego wyglądu, ale również interesującego, zrozumiałego dla laików sposobu objaśniania skomplikowanych problemów psychicznych. Dzisiaj jednak mówił bardzo nieskładnie.

– Muszę natychmiast zobaczyć się z córką!

Chłopak, którego odepchnął na bok, instynktownie wyczuł, że z tym człowiekiem jest coś nie w porządku, i odsunął się jeszcze krok dalej. Maria również wyglądała na zbitą z tropu i starała się nie stracić zwyczajowego, wyćwiczonego uśmiechu.

– Niestety, nie rozumiem, o czym pan mówi, doktorze Larenz – powiedziała i nerwowo dotknęła lewej brwi. Normalnie w tym miejscu miała piercing, który zawsze skubała, kiedy była zdenerwowana. Jednak jej szef, doktor Grohlke, był bardzo konserwatywny i w pracy musiała wyjmować srebrny sztyfcik.

– Czy Josephine miała na dzisiaj wyznaczoną wizytę? – próbowała się upewnić.

Larenz otworzył usta, żeby wyrzucić z siebie odpowiedź, ale powstrzymał się, nie wydając głosu. Oczywiście, że miała dzisiaj wizytę. Isabell uzgodniła ją telefonicznie na konkretną godzinę. Dlatego przywiózł tu Josy. Jak zawsze.

– Tato, kto to jest alergolog? – zapytała go jeszcze w samochodzie. – Czy on przepowiada pogodę?

– Nie, myszko. Pogodę przepowiada meteorolog. – Patrzył na nią we wstecznym lusterku i bardzo chciał móc pogłaskać ją po jasnych włosach. Wydała mu się tak krucha. Jak anioł na japońskiej bibułce.

– Alergolog leczy ludzi, którym nie wolno mieć styczności z pewnymi substancjami, ponieważ wtedy chorują.

– Tak jak ja?

– Możliwe – powiedział. *Mam nadzieję*, pomyślał. Byłaby to przynajmniej diagnoza. Jakiś początek. Niewyjaśnione objawy jej choroby zdążyły zapanować nad życiem całej rodziny. Josy już od pół roku nie chodziła do szkoły. Konwulsje występowały przeważnie tak nagle i nieregularnie, że nie wytrzymałaby długo w żadnej klasie. Dlatego Isabell pracowała tylko na pół etatu i zorganizowała Josy prywatny tok nauczania. A Viktor zlikwidował swoją praktykę przy Friedrichstrasse, żeby poświęcić cały swój czas córce. Czy może raczej jej lekarzom. Jednak mimo maratonu medycznego, jaki Josy przeszła w ciągu ostatnich tygodni, wszyscy specjaliści, którzy ją konsultowali, okazali się bezradni. Nie potrafili znaleźć wytłumaczenia przyczyn cyklicznie powracających konwulsji Josy połączonych z gorączką, ciągłego zapadania na choroby zakaźne ani nocnych krwawień z nosa. Czasami symptomy były słabsze, niekiedy całkiem zniknęły, i wtedy rodzina nabierała nadziei. Jednak po krótkiej przerwie wszystko wracało na nowo, przeważnie w formie jeszcze groźniejszych ataków. Jak dotąd interniści, hematolodzy i neurologowie zdołali jedynie wykluczyć raka, aids, zapalenie wątroby oraz inne znane im choroby zakaźne. Josephine zrobiono nawet test na malarię. Wypadł negatywnie.

– Doktorze Larenz?

Słowa wypowiedziane przez Marię raptownie przywróciły Viktora do rzeczywistości. Zorientował się, że przez cały czas wpatruje się w recepcjonistkę z otwartymi ustami.

– Co pani z nią zrobiła? – Wrócił mu głos i teraz z każdym słowem stawał się bardziej donośny.

– O co panu chodzi?

– O Josy. Co pani z nią zrobiła?

Larenz wrzeszczał teraz na cały korytarz i rozmowy czekających pacjentów nagle ucichły. Widać było, że Maria nie ma najmniejszego pojęcia, jak sobie poradzić z tą sytuacją. Oczywiście jako recepcjonistka pracująca u doktora Grohlkego była przyzwyczajona do niezwykłych zachowań jego pacjentów. W końcu nie był to prywatny gabinet, a Uhlandstrasse już od dawna nie zaliczała się do najwytworniejszych adresów w Berlinie. W poczekalni zawsze można było się natknąć na prostytutki i narkomanów z pobliskiej Lietzenburger Strasse. I nikt się nie dziwił, kiedy na przykład wychudzony,

żyjący z prostytutki nastolatek krzychał na recepcjonistkę, że nie chce leczyć wysypki, tylko potrzebuje lekarstwa, które uśmierzy jego ból.

Ale ten przypadek był zupełnie, bo doktor Viktor Larenz nie miał przecież na sobie brudnego dresu i dziurawego T-shirta, nie miał też na nogach rozczłapanych adidasów, a jego twarz nie była usiana ropiejącymi pryszczami. Przeciwnie. Wyglądał, jakby określenie „dystyngowany” zostało stworzone specjalnie dla niego: szczupła budowa ciała, wyprostowana postawa, szerokie ramiona, wysokie czoło i ostry podbródek. Chociaż urodził się i dorastał w Berlinie, większość uważała, że ma wygląd hanzeatycki. Brakowało mu tylko szpakowatych włosów na skroniach i klasycznego nosa. Nawet jego kręcone włosy w kolorze drewna tekowego, które ostatnio nieco zapuścił, i skrzywiony nos – bolesne wspomnienie wypadku podczas regat żeglarskich – nie zakłócały ogólnego wrażenia elegancji, dystynkcji i wytworności. Viktor Larenz miał czterdzieści trzy lata. Był mężczyzną, którego wiek trudno ocenić, ale można było mieć pewność, że ma eleganckie chusteczki z haftowanymi inicjałami i nigdy nie nosi przy sobie drobnych. Mężczyzną, którego rzucającą się w oczy bladą cerę tłumaczyła duża liczba nadgodzin spędzonych w pracy.

I właśnie to sprawiało, że sytuacja była dla Marii tak trudna. W końcu nikt nie jest na to przygotowany, że psychiatra z tytułem doktora, który przychodzi ubrany w szyty na miarę garnitur wart dwa tysiące dwieście euro, będzie wykrzykiwał coś podniesionym i załamującym się głosem, dziko gestykulując. I właśnie z tego powodu Maria nie miała zielonego pojęcia, co powinna teraz zrobić.

– Viktor?

Larenz odwrócił się w kierunku, skąd dobiegł go głęboki głos. Doktor Grohlke usłyszał hałas w recepcji i wyszedł z gabinetu, żeby zobaczyć, co się dzieje. Chudy i wysoki lekarz w starszym wieku, z włosami w kolorze piasku i głęboko osadzonymi oczami, sprawiał wrażenie nadzwyczaj zaniepokojonego.

– Co tu się dzieje?

– Gdzie jest Josy?! – krzyknął w odpowiedzi Viktor, a doktor Grohlke mimowolnie cofnął się przed swoim przyjacielem. Znał tę rodzinę od prawie dziesięciu lat, ale jeszcze nigdy nie widział Larenza w takim stanie.

– Viktor? Przejdźmy może lepiej do mojego gabinetu i...

Larenz w ogóle go nie słuchał, tylko wpatrywał się w coś ponad ramieniem lekarza. Kiedy zobaczył, że drzwi do gabinetu są lekko uchylone, gwałtownie ruszył do przodu. Kopnął je prawą nogą. Otworzyły się do środka i uderzyły w wózek na kółkach z instrumentami i lekarstwami. Kobieta z łuszczyką leżała na leżance z odsłoniętym torsem. Była tak przerażona, że zapomniała zasłonić piersi.

– Ależ, Viktorze, co w ciebie wstąpiło?! – krzyknął doktor Grohlke za jego plecami, ale Larenz odwrócił się gwałtownie i wybiegł z powrotem z gabinetu, mijając go w drzwiach.

– Josy?!

Biegł przez korytarz, otwierając kolejno wszystkie drzwi.

– Josy, gdzie jesteś?! – krzychał w panice.

– Na Boga, Viktorze!

Stary alergolog podążał za nim, najszybciej jak potrafił, ale Viktor w ogóle nie zwracał na niego uwagi. Strach odebrał mu rozum.

– Co tam jest?! – krzyknął, kiedy nie mógł otworzyć ostatnich drzwi na lewo od poczekalni.

– Środki czystości. Tylko środki czystości, Viktorze. To nasz magazynek.

– Otwierać! – Viktor jak obłąkany szarpał za klamkę.

– Zaraz, zaraz, posłuchaj mnie...

– OTWIERAĆ!

Doktor Grohlke z niespodziewaną siłą złapał Larenza za ramiona i mocno go przytrzymał.

– Uspokój się, Viktorze! I posłuchaj mnie. W środku nie może być twojej córki, bo dziś przed południem sprzątaczką zabrała klucz i przyjdzie dopiero jutro rano.

Larenz ciężko oddychał i tylko słuchał słów, nie rozumiejąc ich znaczenia.

– Proszę cię, podejźmy do sprawy logicznie. – Doktor Grohlke rozluźnił uścisk i położył dłoń

na ramieniu Viktora.

– Kiedy ostatnio widziałeś córkę?

– Pół godziny temu, tutaj, w poczekalni. – Viktor wyraźnie słyszał swój głos. – Weszła do ciebie. Stary lekarz z z troskaniem pokręcił głową i odwrócił się do Marii, która stanęła właśnie obok nich.

– Nie widziałam Josephine – powiedziała do szefa. – I nie miała na dzisiaj umówionej wizyty.

Bzdura, krzyknął w myślach Larenz i złapał się za skronie.

– Przecież Isabell uzgodniła wizytę telefonicznie na konkretną godzinę. Oczywiście, że Maria nie mogła widzieć mojej córki. W recepcji było zastępstwo. Jakiś mężczyzna. Powiedział, żebyśmy usiedli. Josy była taka słaba. Taka wyczerpana. Posadziłem ją w poczekalni i wyszedłem, żeby przynieść jej szklankę wody. A kiedy wróciłem...

– Poza mną nie ma tu innych mężczyzn – przerwał przyjacielowi doktor Grohlke. – Pracują u nas same kobiety.

Viktor bezradnie patrzył w twarz doktora Grohlkego i próbował zrozumieć to, co właśnie usłyszał.

– Nie badałem dzisiaj Josy. Nie było jej u mnie.

Słowa lekarza ścierały się z jakimś przenikliwym, wytrącającym z równowagi dźwiękiem, który Larenz nagle usłyszał w niewielkiej odległości i który stawał się coraz bardziej donośny.

– Czego ode mnie chcecie?! – zawołał rozpaczliwie. – Oczywiście, że weszła do gabinetu. Przecież została wywołana. Byłem obok i słyszałem, jak mężczyzna w recepcji wywołuje jej nazwisko. Dzisiaj sama chciała wejść do gabinetu. Prosiła mnie o to. Właśnie skończyła dwanaście lat, wiecie? Od niedawna zaczęła już zamykać drzwi do łazienki. I dlatego, kiedy wróciłem do poczekalni, pomyślałem, że właśnie weszła do gabinetu.

Viktor otworzył usta i nagle zorientował się, że nie wypowiedział ani jednego z tych słów. Jego umysł pracował jasno, ale widocznie on sam nie był w stanie wyartykułować ani jednego dźwięku. Rozejrzał się nieporadnie i wydało mu się, że widzi świat w zwolnionym tempie. Denerwujący hałas stawał się coraz bardziej przenikliwy i prawie zagłuszał wrzawę wokół niego. Czuł, że wszyscy coś do niego mówią: Maria, doktor Grohlke, a nawet niektórzy pacjenci.

– Nie widziałem Josy od roku. – To były ostatnie słowa doktora Grohlkego, które Viktor wyraźnie usłyszał. I nagle wszystko stało się dla niego jasne. Przez krótką chwilę rozumiał, co się zdarzyło. Przez głowę przemknęła mu straszliwa prawda, ulotna jak sen w momencie przebudzenia. I równie szybko zniknęła. Przez ułamek sekundy rozumiał wszystko. Chorobę Josy. Przyczynę jej wielkiego cierpienia w minionych miesiącach. Nagle zobaczył, co się wydarzyło. Co jej wyrządzono. Poczł mdłości, kiedy uświadomił sobie, że teraz przyjdzie kolej na niego. Że go znajdą. Wcześniej czy później. Wiedział to. Ale po chwili ta przerażająca świadomość gdzieś mu umknęła. Znowu zniknęła. Bezwrotnie jak ostatnia kropla wody w odpływie umywalki.

Viktor chwycił się obiema dłońmi za skronie. Przenikliwy, męczący, straszliwy dźwięk dobiegał teraz z bardzo bliska i był nie do wytrzymania. Przypominał skamlenie torturowanej istoty i miał w sobie coś ludzkiego. Zamarł dopiero wówczas, kiedy Viktor po dłuższej chwili zamknął usta.

Dzień dzisiejszy, kilka lat później

Viktor Larenz nigdy by nie pomyślał, że perspektywa, z której patrzył na szpitalną salę, kiedyś się zmieni. Dawniej surowa, pozbawiona ozdób separotka w klinice Weddinger była przeznaczona do leczenia psychomatycznych urazów u jego pacjentów z najtrudniejszymi objawami. Dzisiaj on sam leżał na hydraulicznie regulowanym szpitalnym łóżku z rękami i nogami unieruchomionymi elastycznym bandażem.

Do tej pory nikt go nie odwiedził. Ani przyjaciele, ani dawni koledzy, ani krewni. Jedyną odmianą, poza możliwością wpatrywania się w pożółkłe tapety, dwie zatłuszczone brązowe zasłony i pokryty zaciekami sufit, był doktor Martin Roth, młody ordynator, który dwa razy dziennie zjawiał się z wizytą. Nikt nie złożył wniosku do kierownictwa instytutu psychiatrycznego o zgodę na odwiedzinę. Nawet Isabell. Viktor dowiedział się o tym od doktora Rotha i nawet nie potrafił mieć tego żonie za złe. *Po tym wszystkim, co się wydarzyło.*

– Czy dawno odstawiono mi lekarstwa?

Zapytany o to ordynator sprawdzał właśnie kroplówkę z roztworem elektrolitów i soli fizjologicznej, która wisiała na trójnożnym metalowym stojaku przy głowie łóżka.

– Mniej więcej przed dwoma tygodniami, doktorze Larenz.

Viktor wysoko cenił fakt, że doktor Roth w dalszym ciągu używa jego tytułu naukowego. Podczas wszystkich rozmów, jakie prowadzili ze sobą w ostatnich dniach, zawsze był traktowany przez doktora Rotha z najwyższym szacunkiem.

– A od kiedy jest ze mną kontakt?

– Od dziewięciu dni.

– Aha. – Zrobił krótką przerwę. – A kiedy mnie wypuscicie?

Viktor zobaczył, jak doktor Roth uśmiecha się, słysząc ten żart. Obaj wiedzieli, że już nigdy stąd nie wyjdzie. A jeśli już, to najwyżej do innej placówki o podobnych rygorach bezpieczeństwa.

Viktor spojrzał na swoje ręce i lekko szarpnął więzami. Najwidoczniej zrobiono to dla jego dobra. Od razu po przywiezieniu do instytutu zabrano mu pasek i sznurowadła. A z łazienki usunięto nawet lustro. Kiedy teraz dwa razy dziennie prowadzono go pod nadzorem do toalety, nie mógł nawet sprawdzić, czy rzeczywiście wygląda tak marnie, jak się czuł. Dawniej zawsze chwalono jego wygląd. Rzucił się w oczy dzięki szerokim ramionom, gęstym włosom i wysportowanej sylwetce, która była wprost idealna jak na mężczyznę w jego wieku. Dzisiaj niewiele już z tego zostało.

– A tak szczerze, doktorze Roth. Co pan czuje, kiedy pan na mnie patrzy, jak tak tu leżę?

Ordynator dalej unikał bezpośredniego kontaktu wzrokowego z Viktorem, kiedy sięgał po tabliczkę z kartą choroby, która wisiała w nogach łóżka. Można było zauważyć, że się namyśla. *Współczucie? Troskę?*

– Strach. – Doktor Roth zdecydował się powiedzieć prawdę.

– Ponieważ obawia się pan, że coś podobnego mogłoby przytrafić się także panu?

– Uważa pan to za egoizm?

– Nie. Jest pan ze mną szczerzy, i to mi się podoba. Poza tym, co zrozumiałe, jednak kilka rzeczy nas łączy.

Doktor Roth tylko skinął potakująco głową.

Tak jak odmienne było ich obecne położenie, tak zgodne wydawały się niektóre etapy w ich życiu. Obaj dorastali jako rozpieszczeni jedynacy w najlepszych dzielnicach Berlina. Larenz jako syn od dawna osiadłej i wyspecjalizowanej w prawie cywilnym rodziny adwokatów z Wannsee, doktor Roth jako otoczony troskliwą opieką potomek dwojga chirurgów z Westendu. Obaj studiowali medycynę na

uniwersytecie w Dahlem – kierunek psychiatria. Obaj odziedziczyli po rodzicach piękne wille oraz znaczne majątki, które pozwoliłyby im na życie bez pracy. Mimo to przypadek lub zrządzenie losu sprawiły, że teraz obaj znaleźli się w tym miejscu.

– No dobrze – mówił dalej Viktor. – A więc dostrzega pan zbieżność między nami. Jak pan zareagowałby w mojej sytuacji?

– Ma pan na myśli, kiedy dowiedziałbym się, kto zrobił to mojej córce?

Doktor Roth zanotował aktualne dane na karcie chorobowej i po raz pierwszy spojrzał Viktorowi prosto w oczy.

– Tak.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, czy przeżyłbym to, co pan musiał znieść.

Viktor roześmiał się nerwowo.

– Mnie też się nie udało. Umarłem. Najbardziej okrutną śmiercią, jaką jest pan w stanie sobie wyobrazić.

– Może jednak chciałby mi pan o wszystkim opowiedzieć?

Doktor Roth usiadł na brzegu łóżka przy Larenzu.

– O czym? – zapytał Viktor, chociaż oczywiście znał odpowiedź. W ostatnich dniach lekarz proponował mu to wielokrotnie.

– O wszystkim. Całą historię. Jak pan się dowiedział, co stało się z pana córką. Jaki związek miała z tym choroba Josephine. Niech pan mi opisz, co się wydarzyło. Od samego początku.

– Większość już panu powiedziałem.

– Tak. Ale interesują mnie szczegóły. Chcę to wszystko usłyszeć z pana ust jeszcze raz. A zwłaszcza to, jak na koniec mogło do tego dojść.

Do katastrofy.

Viktor głęboko odetchnął i ponownie spojrzał w górę na plamy na suficie.

– Wie pan, przez te wszystkie lata po zniknięciu Josy myślałem, że nie ma nic bardziej okrutnego niż niewiedza. Cztery lata bez najmniejszego śladu, bez śladu życia. Czasem pragnąłem, żeby zadzwonił telefon i żeby ktoś nas zawiadomił, gdzie leżą jej zwłoki. Naprawdę myślałem, że nie ma nic potworniejszego niż stan zawieszenia między przecuciem a wiedzą. Jednak się myliłem. Czy wie pan, co jest jeszcze bardziej przerażające?

Doktor Roth spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

– Prawda. – Viktor prawie to wyszeptał. – Prawda! Sądzę, że poznałem ją już w przychodni doktora Grohlkego. Krótco po tym, jak zniknęła Josy. Była to prawda tak okropna, że nie chciałem w nią uwierzyć. Jednak później natknąłem się na nią jeszcze raz. Ale tym razem nie mogłem jej wyprzeć, ponieważ podążała za mną w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa. Prawda znalazła się nagle tuż przede mną i krzyczała mi prosto w twarz.

– Jak pan to rozumie?

– Dokładnie tak, jak to powiedziałem. Stałem naprzeciwko człowieka, który odpowiadał za całe to nieszczęście, i nie mogłem tego znieść. Cóż, sam pan wie najlepiej, co wtedy zrobiłem na wyspie. I do czego mnie to w końcu doprowadziło.

– Wyspa – drążył dalej doktor Roth. – Parkum, zgadza się? Po co pan tam w ogóle pojechał?

– Jako psychiatra powinien pan oczywiście wiedzieć, że jest to źle postawione pytanie. – Viktor uśmiechnął się. – Mimo to spróbuję na nie odpowiedzieć. Tygodnik ilustrowany „Bunte” poprosił mnie o wywiad w parę lat po zniknięciu Josy, i to po raz któryś z rzędu. Najpierw chciałem odmówić. Isabell również była przeciwna. Jednak później doszedłem do wniosku, że pytania, które mi przysłano faksem i e-mailem, mogłyby mi pomóc uporządkować myśli. Odzyskać spokój. Rozumie pan?

– Więc pojechał pan tam, żeby pracować nad wywiadem?

– Tak.

– Sam?

– Żona nie mogła i nie chciała jechać ze mną. Miała umówione ważne spotkanie w interesach w Nowym Jorku. Szczerze mówiąc, byłem zadowolony, że będę sam. Po prostu miałem nadzieję, że na

Parkum nabiorę wreszcie potrzebnego dystansu.

– Dystansu, który pozwoli panu ostatecznie pożegnać się z córką.

Viktor przytaknął, chociaż doktor Roth nie sformułował ostatniego zdania w formie pytania.

– Coś w tym rodzaju. Tak więc wziąłem mojego psa, pojechałem nad Morze Północne i przepłynąłem się z Syltu na wyspę Parkum. Nie mogłem przewidzieć, jaki ta podróż spowoduje łańcuch wydarzeń.

– Proszę opowiedzieć mi o tym bardziej szczegółowo. Co dokładnie zaszło na Parkum? Kiedy po raz pierwszy zauważył pan, że wszystko ma ze sobą związek?

Niewyjaśniona choroba Josephine. Jej zniknięcie. Wywiad.

– A więc dobrze.

Viktor zrobił kilka obrotów głową i usłyszał trzeszczenie kręgów szyjnych. Z powodu więzów było to chwilowo jedyne ćwiczenie rozluźniające, jakie mógł wykonywać. Głęboko odetchnął i zamknął oczy. Jak zawsze trwało to tylko chwilę, zanim myślami znowu tam się znalazł. Z powrotem na Parkum. Do krytego trzciniową strzechą domu przy plaży. Do miejsca, gdzie zamierzał uporządkować swoje życie, cztery lata po tragedii. Gdzie miał nadzieję nabrać potrzebnego dystansu umożliwiającego mu rozpoczęcie nowego rozdziału życia. I gdzie zamiast tego wszystko stracił.

Parkum, pięć dni przed poznaniem prawdy

B: Jak pan się czuł bezpośrednio po tragedii?

L: Umarłem. Wprawdzie jeszcze oddychałem, od czasu do czasu też piłem i jadłem. I zdarzało mi się nawet przespać jedną albo dwie godziny na dobę. Ale tak naprawdę nie istniałem. Umarłem w dniu, w którym zniknęła Josephine.

Viktor wpatrywał się w kursor migający po kropce kończącej ostatnie zdanie. Przebywał na wyspie już siedem dni. Od tygodnia siedział każdego dnia od wczesnego rana do późnego wieczora przy mahoniowym biurku i próbował odpowiedzieć na pierwsze pytanie wywiadu. Dopiero dziś przed południem udało mu się wreszcie wystukać na laptopie chociaż pięć powiązanych ze sobą zdań.

Umarłem. W rzeczywistości nie było odpowiedniego słowa, żeby opisać stan, w którym znalazł się w dniach i tygodniach bezpośrednio po tragedii.

Po tragedii.

Viktor zamknął oczy.

Pierwszych godzin bezpośrednio po przeżytym szoku w ogóle nie potrafił sobie przypomnieć. Nie wiedział, z kim rozmawiał ani gdzie był. Kiedy chaos zniszczył jego rodzinę. Główny ciężar musiała wtedy wziąć na swoje barki Isabell. To ona na prośbę policji przeszukała szafę, żeby sprawdzić, jakie ubranie miała na sobie Josy. To ona wyjęła z rodzinnego albumu aktualne zdjęcie, które było niezbędne do podjęcia poszukiwań małej. I to również ona powiadomiła krewnych, podczas gdy on błąkał się bez celu po ulicach Berlina. Uchodzący za profesjonalistę, słynny psychiatra w żaloszny sposób zawiódł w najważniejszej próbie swojego życia. Także w następnych latach Isabell okazała się silniejsza od niego. Już po trzech miesiącach powróciła do pracy jako doradca biznesowy, Viktor natomiast sprzedał swój gabinet i od tamtej pory nie miał już ani jednego pacjenta.

Nagle laptop wydał sygnał ostrzegawczy i Viktor zorientował się, że trzeba podłączyć go do prądu. Kiedy w dniu przyjazdu przysunął biurko w pokoju kominkowym do panoramicznego okna z widokiem na morze, stwierdził, że nie ma tam gniazdka. Teraz bez przerwy mógł rozkoszować się zapierającym dech w piersiach widokiem zimowego morza, ale za to co sześć godzin musiał przenosić komputer do ładowarki, która leżała na małym stoliku przed kominkiem. Viktor szybko zapisał dane w dokumencie, zanim zdążą przepaść na zawsze.

Tak jak Josy.

Spojrzał przez okno i natychmiast odwrócił głowę, kiedy w widoku morza znowu odnalazł lustrzane odbicie swojej duszy. Nadciągający wiatr, który gwizdał w trzcinowym poszyciu dachu i wzburzał wodę, przemawiał jednoznacznym językiem. Był koniec listopada, a zima śpieszyła się, żeby przybyć na wyspę ze swoimi przyjaciółmi, śniegiem i zimnem.

Jak śmierć, pomyślał Viktor, kiedy wstał i przynosił laptopa do stolika przed kominkiem, na którym leżał kabel zasilania.

Mały, dwupiętrowy dom przy plaży został zbudowany na początku lat dwudziestych ubiegłego wieku i od śmierci rodziców Viktora nie widział remontu. Na szczęście Halberstaedt, burmistrz wyspy, zadbał o instalację elektryczną i generator, tak że teraz w środku przynajmniej było widno i ciepło. Ale długi czas, kiedy nie przyjeżdżał tu nikt z rodziny, nie przysłużył się starej drewnianej willi. Ściany zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz pilnie domagały się świeżej warstwy farby. Parkiet z desek okrętowych już dawno powinien zostać wycyklinowany i częściowo wymieniony. Drewniane okna z podwójnymi szybami trochę się wypaczyły wskutek działania pogody i teraz niepotrzebnie wpuszczały

do środka zbyt dużo zimnego powietrza i wilgoci. Urządzenie wnętrza było zapewne luksusowe w latach osiemdziesiątych, ale jeszcze dzisiaj wskazywało na zamożność rodziny Larenzów, lecz wskutek braku dostatecznej pielęgnacji lampy od Tiffany'ego, meble obite skórą i regały z drewna tekowego pokrywała zbyt gruba warstwa patyny. Już od dawna sprzęty te nie widziały choćby ścierki od kurzu.

Cztery lata, miesiąc i dwa dni.

Viktor nie musiał patrzeć na stary kalendarz wiszący w kuchni. Wiedział to. Dokładnie tyle czasu minęło, odkąd ostatni raz postawił stopę na wyspie Parkum. Sufit w pokoju od dawna nie widział farby. Podobnie jak zakopcony sadzą gzyms kominka. Ale coś innego było wówczas w porządku.

Jego życie.

Ponieważ towarzyszyła mu tutaj Josy, nawet wtedy, kiedy w ostatnich dniach października choroba prawie całkowicie pozbawiła ją sił.

Viktor usiadł na skórzanej sofie, podłączył laptopa do ładowarki i próbował nie myśleć o weekendzie poprzedzającym dzień, który odmienił jego los. Bez skutku.

Cztery lata.

Czterdzieści osiem miesięcy bez znaku życia od Josy. Mimo licznych poszukiwań prowadzonych na wielką skalę i kierowanych przez media na cały kraj apeli do ludności. Nawet dwuczęściowy specjalny program w telewizji nie przyniósł istotnej wskazówki. Mimo to Isabell wzbraniała się przed uznaniem jedynej córki za zmarłą. Z tego powodu była też przeciwna wywiadowi.

– Tu nie ma nic do zakończenia – powiedziała do niego na krótko przed wyjazdem.

Stali na zwirowym podjeździe ich domu i Viktor właśnie zapakował bagaże do czarnego volvo kombi. Trzy walizki. Jedną z ubraniami, dwie pozostałe wypełnione wszystkimi dowodami, które zebrał od momentu zniknięcia córki: wycinkami z gazet, protokołami i oczywiście raportami Kaia Strathmanna, prywatnego detektywa, którego wynajął do tej sprawy.

– Nie ma nic, co musiałbyś przepracować lub dokończyć, Viktorze – przekonywała. – Zupełnie nic. Ponieważ nasza córka wciąż żyje.

To, że puściła go na Parkum samego i że prawdopodobnie właśnie teraz siedzi na spotkaniu w jakimś nowojorskim wieżowcu przy Park Avenue, było tylko naturalną konsekwencją tej jej postawy. Praca. To był jej sposób, żeby przestać o czymś myśleć.

Kiedy w otwartym kominku z trzaskiem zapadło się płonące polano, Viktor wzdrygnął się. Także Sindbad, który cały czas spał pod biurkiem, zerwał się przestraszony i ziewał teraz, wpatrując się z wyrzutem w płomienie. Isabell znalazła tego golden retrievera przed dwoma laty na parkingu uzdrowskiego Wannsee.

– Co ci przyszło do głowy? Chcesz zastąpić Josy jakimś kundlem?! – krzyknął wtedy na żonę w przedpokoju ich willi, kiedy przyprowadziła zwierzę do domu. Krzyknął tak głośno, że gospodyni na pierwszym piętrze szybko schowała się w prasowalnię.

– Jak powinniśmy według ciebie nazwać psa? Joseph?

Jak zawsze, tak i w tej sytuacji Isabell nie dała się sprowokować i po raz kolejny okazała się godna swojego hanzeatyckiego pochodzenia z jednej z najstarszych rodzin bankierskich w północnych Niemczech. Jedynie stalowoniebieskie oczy zdradziły mu, o czym myślała w tej chwili: „Gdybyś wtedy lepiej uważał, Josy byłaby teraz z nami i mogłaby bawić się z tym psem”.

Nie musiała nic mówić, Viktor i tak ją zrozumiał. A ironia losu sprawiła, że od pierwszego dnia zwierzę uznało go za swojego pana.

Wstał, poszedł do kuchni, żeby nalać sobie świeżej herbaty. Zmęczony Sindbad poczłapał za nim w nadziei na drugi obiad.

– Nic z tych rzeczy, kolego. – Viktor właśnie chciał wymierzyć mu przyjaznego klapsa, kiedy zauważył, że zwierzę nadstawia uszu.

– Co z tobą? – Pochylił się do niego i nagle sam też to usłyszał. Metaliczne szuranie. Brzęknięcie, które obudziło w nim stare wspomnienie. Jeszcze nie potrafił go sklasyfikować. *Co to było?*

Viktor powoli zakradł się do drzwi.

Tam. Znowu. Jak moneta, kiedy skrobie się nią o kamień. Jeszcze raz.

Viktor wstrzymał oddech. I wtedy już wiedział. Był to hałas, który często słyszał jako mały chłopiec, kiedy ojciec wracał z rejsu żaglówką. Był to metaliczny, brzękliwy hałas, jaki robił klucz, uderzając o glinianą donicę. A powstawał zawsze wówczas, kiedy ojciec zapomniał klucza do domu i wyjmował zapasowy spod donicy z kwiatami stojącej przy wejściu.

A teraz to samo robi ktoś inny?

Viktor sprężył się w środku. Ktoś był pod drzwiami i znał skrytkę na klucz jego rodziców. I ten ktoś najwidoczniej chciał się dostać do domu. Do niego.

Z bijącym sercem przeszedł przez sień i wyrzwał przez wizjer w dębowych drzwiach. Nic. Właśnie chciał otworzyć poźółkłe żaluzje, aby wyrzeć przez oknienko obok drzwi wejściowych, ale zmienił zdanie i jeszcze raz spojrział przez wizjer w drzwiach. Cofnął się przerażony. Serce biło mu jak szalone. Czy naprawdę to zobaczył?

Viktor poczuł, że dostaje gęsiej skórki. Słyszał szum własnej krwi w uszach. I był pewny. Nie miał wątpliwości. Przez ułamek sekundy widział ludzkie oko, które widocznie chciało z zewnątrz zajrzeć do wnętrza domu na plaży. Oko, które skądś znał, ale nie potrafił dokładnie powiedzieć, do kogo należało.

Weź się z garść, chłopie!

Odetchnął głęboko i raptownie otworzył drzwi.

– Czego sobie...?

Viktor urwał w pół zdania, które chciał głośno i dobitnie wypowiedzieć do nieznajomej osoby, stojącej na progu jego domu, aby napędzić jej stracha. Ale nikogo tam nie było. Ani na drewnianej werandzie, ani na dróżce do oddalonej o blisko sześć metrów furtki wychodzącej na nieutwardzoną piaszczystą drogę, która prowadziła do wioski rybackiej. Viktor zszedł pięć stopni dzielących werandę od ogródka przy domu, aby zajrzeć pod podest werandy. Jako młody chłopak podczas zabaw zawsze się tu chował przed dziećmi sąsiadów. Jednak nawet w słabnących promieniach powoli zachodzącego popołudniowego słońca mógł jeszcze się przekonać, że poza zwiędłymi liśćmi, które przywiał tu wiatr, nie było tam nikogo i niczego, co mogłoby zakłócić jego spokój.

Viktorem wstrząsały lekkie dreszcze i zacierał dłonie z zimna, kiedy pośpiesznie wchodził z powrotem po schodach. Wiatr zatrzasnął jasnobrązowe dębowe drzwi i Viktor musiał mocno wyteńczyć siły, aby otworzyć je mimo silnego podmuchu. Właśnie mu się to udało, kiedy zatrzymał się w pół ruchu.

Ten dźwięk. Znowu. Brzmiał trochę mniej metalicznie i był nieco jaśniejszy, ale znowu go słyszał. I tym razem nie dochodził z zewnątrz. Dochodził z salonu.

Ten, kto chciał zwrócić na siebie jego uwagę, już nie stał przed drzwiami. Był już w domu.

Viktor skradał się powoli przez korytarz w kierunku pokoju kominkowego i jednocześnie szukał odpowiedniego przedmiotu, który mógłby posłużyć mu do obrony.

W razie konieczności nie mógł liczyć na pomoc Sindbada. Retriever tak bardzo Ignął do ludzi, że zamiast spłoszyć włamywacza, prawdopodobnie zaprosiłby go do zabawy. W tej chwili pies był tak rozleniwiony, że w ogóle nie zareagował na zakłócenie ciszy i najprawdopodobniej wrócił do salonu, podczas gdy jego pan sprawdzał, co się dzieje na dworze.

– Kto tu jest?

Brak odpowiedzi.

Viktor przypomniał sobie, że od 1964 roku na wyspie nie zdarzyło się żadne przestępstwo, a i tamten incydent był tylko nieszkodliwą bijatyką w gospodzie. Ale te fakty uspokoiły go tylko w nieznacznym stopniu.

– Halo, jest tu ktoś?

Wstrzymując oddech, skradał się z powrotem do pokoju z kominkiem tak ostrożnie, jak to tylko było możliwe. Chociaż starał się poruszać, nie wywołując najmniejszego hałasu, stara podłoga skrzypiała pod jego stopami. Skórzane podeszwy jego butów również robiły swoje.

Właściwie dlaczego się skradam, skoro jednocześnie głośno wołam?, zadał sobie pytanie. Jego dłoń prawie sięgała klamki u drzwi do salonu, kiedy te nagle otworzyły się do środka. Viktor był tak sparaliżowany strachem, że zapomniał krzyknąć.

Nie wiedział, czy powinien poczuć ulgę, czy wściekłość, kiedy ją zobaczył. Ulgę, ponieważ intruz okazał się ładną, zgrabną kobietą, a nie potężnym zbirzem. Wściekłość, ponieważ w biały dzień odważyła się zakraść do jego domu.

– Jak pani tu weszła? – zapytał głośno. Jasnowłosa kobieta stojąca na progu między salonem a korytarzem nie wydawała się ani zakłopotana, ani speszona.

– Kiedy zapukałam do tylnych drzwi, same się otworzyły. Przykro mi, jeśli panu przeszkadzam.

– Słucham?!

Viktor ocknął się z obezwładniającego go strachu i musiał sobie ulżyć, dlatego ofuknął nieznajomą.

– Nie, pani nie przeszkadza, pani śmiertelnie mnie przestraszyła!

– Przykro...

– A na dodatek pani kłamie. – Viktor przerwał jej w pół słowa i precyzyjnie się obok niej do salonu.

– Od przyjazdu nie otwierałem tylnych drzwi.

Wprawdzie też nie sprawdzałem, czy są zamknięte, ale nie musisz o tym wiedzieć, pomyślał Viktor, stając przed biurkiem i przypatrując się swojemu nieproszonemu gościowi. Coś wydawało mu się w niej znajome, chociaż był pewny, że nigdy dotąd nie spotkał tej kobiety. Miała około metra sześćdziesięciu pięciu wzrostu, długie do ramion jasne włosy, które nosiła splecione w warkocz, i była przeraźliwie szczupła. Jednak mimo niedowagi nie było w niej nic androgynicznego, a to dzięki rozłożystym biodrom i wydatnym, pięknie ukształtowanym piersiom, które odznaczały się pod ubraniem. Ze szlachetnie bladą cerą i białymi jak śnieg zębami wyglądała raczej jak fotomodelka. Tyle że jak na modelkę była zbyt niska. Viktor prędzej gotów był przypuszczać, że zabłądziła na wyspie i zaraz zapyta go o drogę na plażę, gdzie bierze udział w nagrywaniu reklamy telewizyjnej.

– Nie kłamie, doktorze Larenz. W ciągu całego mojego życia nigdy nie skłamałam i nie widzę powodu, żeby zacząć to robić akurat w pana domu.

Viktor gładził się dłonią po włosach i porządkował myśli. Sytuacja była całkowicie absurdalna. Czy rzeczywiście właśnie doświadczył tego, że włamała się do niego jakaś kobieta, wystraszyła go na śmierć i jeszcze na dodatek próbuje nawiązać z nim rozmowę?

– Proszę posłuchać, kimkolwiek pani jest, stanowczo żądam, żeby pani natychmiast opuściła mój

dom! Sądę...

Viktor ponownie zmierzył ją wzrokiem.

– A tak w ogóle, to kim pani właściwie jest?

Uzmysłowił sobie, że nie potrafi ocenić jej wieku. Wyglądała bardzo młodo, a jej nieskazitelne rysy twarzy wskazywały na dwadzieścia kilka lat. Ubranie natomiast wskazywałoby raczej na dojrzałą kobietę.

Miała na sobie długi do kolan kaszmirowy płaszcz, pod nim różowy kostium od Chanel. Czarne glansowane rękawiczki, markowa torebka, a przede wszystkim perfumy wskazywały bardziej na kobietę w wieku Isabell. Również jej wyszukany sposób wyrażania się przemawiał za tym, że przekroczyła trzydziestkę.

I że z pewnością jest głucha, pomyślał Viktor. Ponieważ stała w drzwiach, milcząc, i w ogóle nie reagowała na jego słowa, tylko przyglądała się mu z uwagą.

– Okay. Wszystko jedno. Napędziła mi pani porządnego stracha, a teraz proszę skorzystać z frontowych drzwi i nigdy więcej nie przychodzić do mojego domu. Pracuję tu i nie życzę sobie, żeby mi przeszkadzano.

Viktor wzdrygnął się, kiedy niespodziewanie kobieta dwoma szybkimi krokami podeszła do niego.

– Czy naprawdę nie chce pan wiedzieć, czego chcę, doktorze Larenz? Chce pan mnie odprawić, nie znając powodu mojej wizyty?

– Tak.

– Czy naprawdę nie chce pan wiedzieć, co skłoniło taką kobietę jak ja, aby odnaleźć pana na tej zapomnianej przez Boga i ludzi wyspie?

– Nie.

A może jednak?

Viktor zorientował się, że znów słyszy dawno zapomniany, cichy, wewnętrzny głos. Ciekawość.

– Więc nie ma dla pana znaczenia, skąd w ogóle wiem, że pan tu jest?

– Nie.

– Nie wierzę, doktorze Larenz. Proszę mi zaufać. To, co mam do powiedzenia, bardzo pana zainteresuje.

– Zaufać? Mam zaufać komuś, kto się do mnie włamał?

– Nie. Ma pan mnie wysłuchać. Mój przypadek jest...

– Pani przypadek mnie nie obchodzi – przerwał jej brutalnie. – Jeśli pani wie, co mnie spotkało, to wie pani również, że bezczelnością jest przeszkadzać mi tutaj.

– Nie mam pojęcia, co pana spotkało, doktorze Larenz.

– Co takiego? – Viktor nie wiedział, czym powinien być bardziej zdumiony. Czy tym, że wdaje się w dyskusję z nieznaną sobie osobą, czy tym, że jej słowa brzmią tak szczerze.

– Czy przez ostatnie cztery lata nie czytała pani gazet?

– Nie – odpowiedziała kobieta bez ogródek.

Zakłopotanie Viktora rosło z sekundy na sekundę. I jednocześnie wzrastało jego zainteresowanie tą zagadkową piękną.

– No, dobrze, wszystko jedno. Już nie prowadzę praktyki. Sprzedałem gabinet przed dwoma laty...

– ...profesorowi van Druisenowi. Wiem. Byłam już u niego. Wysłał mnie do pana.

– Co zrobił? – zapytał Viktor osłupiały. Teraz jego ciekawość wzrosła jeszcze bardziej.

– Właściwie to nie wysłał tak wprost. Profesor van Druisen powiedział tylko, że byłoby lepiej, gdyby to pan osobiście się mną zajął. I szczerze mówiąc, jest to również moim życzeniem.

Viktor pokręcił głową. Czyżby jego starszy mentor faktycznie dał nowej pacjentce jego adres na wyspie? Nie mógł w to uwierzyć. Zwłaszcza że van Druisen wiedział przecież, że Larenz nie jest w stanie dłużej pomagać pacjentom. A już na pewno nie tu, na Parkum. Ale tym zajmie się później. Teraz musi tylko pozbyć się jakoś tej osoby, aby znowu odzyskać spokój.

– Jeszcze raz muszę panią stanowczo prosić o wyjście. Tylko marnuje pani mój czas.
Nie doczekał się reakcji.

Viktor czuł, jak jego początkowy strach stopniowo zmienia się w wyczerpanie. Przeczynał, że właśnie stało się to, czego obawiał się najbardziej: nawet tutaj nie potrafi odnaleźć wewnętrznej równowagi. Duchy nie dadzą mu spokoju również na Parkum. Ani duchy zmarłych, ani żyjących.

– Doktorze Larenz. Wiem, że pan nie życzy sobie, aby mu pod jakimkolwiek pozorem tutaj przeszkadzać. Dzisiaj rano Patrick Halberstroem przeprowadził mnie na wyspę i pokazał, jak do pana trafić, zanim jeszcze zeszedłem z pokładu kutra.

– Nazywa się Halberstaedt – poprawił ją Viktor. – Jest tu burmistrzem.

– Tak, to najważniejszy człowiek na wyspie. Po panu. To też on mi uświadomił. Na pewno postąpię zgodnie z jego radą i „zabiorę mój piękny tyłeczek z Parkum tak szybko, jak to tylko możliwe”, zaraz po rozmowie z panem.

– On tak właśnie powiedział?

– Tak. Ale zrobię to tylko wtedy, jeśli poświęci mi pan pięć minut swojego czasu i powie mi to prosto w oczy.

– Co takiego?

– Że nie chce mnie pan leczyć.

– Nie mam czasu, żeby panią leczyć – powiedział już z mniejszym przekonaniem. – Proszę stąd wyjść.

– Na pewno sobie pójde. Obiecuję. Ale dopiero wówczas, kiedy opowiem panu pewną historię. Moją historię. Niech mi pan wierzy. To zajmie tylko pięć minut. I nie pożałuje pan żadnej z nich.

Viktor zawahał się. Teraz ciekawość ostatecznie wzięła górę nad innymi emocjami. Poza tym jego spokój i tak został już zburzony, na dodatek brakowało mu sił na dalszą dyskusję.

– Ja nie gryzę, doktorze Larenz. – Kobieta uśmiechnęła się do niego.

Podłoga w pokoju znowu zaskrzypiała pod jej nogami, kiedy zrobiła krok w jego stronę. Poczł zapach drogich perfum. Opium.

– Tylko pięć minut?

– Obiecuję!

Wzruszył ramionami. Kiedy jego spokój został już i tak zakłócony, to kilka minut więcej lub mniej nie robiło różnicy. Gdyby teraz ją wyrzucił, prawdopodobnie przez cały dzień chodziłaby wokół domu, a on nie mógłby i tak zebrać myśli.

– A więc dobrze.

Demonstracyjnie spojrzł na zegarek.

– Pięć minut.

Viktor podszedł do kominka, gdzie na gzymsie stał na podgrzewaczu dzbanuszek na herbatę z miśnieńskiej porcelany. Kiedy bowiem zorientował się, że kobieta cały czas uważnie mu się przygląda, przemógł się i zmusił do przypomnienia sobie o dobrych manierach.

– Napije się pani herbaty? Właśnie zaparzyłem świeżą.

Kobieta z uśmiechem pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. Nie chcę stracić nic z mojego czasu.

– No dobrze, w takim razie niech pani przynajmniej zdejmie płaszcz i usiądzie.

Uprzątnął stertę starych gazet ze skórzanego fotela, który stanowił komplet razem ze starą kanapą. Jego ojciec już przed laty ustawił ją tak, że gdy się na niej wygodnie usadowiło z dobrą książką w rękę, można było jednocześnie patrzeć na ogień w kominku i przez okno na morze.

Viktor ponownie zajął miejsce przy biurku i przyglądał się pięknej nieznanym, kiedy siadała na fotelu, nie zdejmując kaszmirowego płaszcza.

Przez krótką chwilę panowało milczenie i słychać było, jak duża fala rozbija się na plaży i zaraz cofa się z sykiem.

Viktor jeszcze raz spojrział na zegarek.

– No dobrze, pani... hm... jak pani się właściwie nazywa?

– Nazywam się Anna Spiegel, jestem pisarką.

– Powinienem panią znać?

– Tylko wówczas, gdyby miałby pan od sześciu do trzynastu lat i lubił czytać książki dla dzieci.

Czy ma pan dzieci?

– Tak. To znaczy... – Ból był krótki i gwałtowny. Tak jak jego odpowiedź. Zobaczył, że ona szuka wzrokiem jakichś rodzinnych fotografii na gzymsie kominka, i szybko sam zadał pytanie, aby nie musieć niczego wyjaśniać.

Od lat nie czytała gazet.

– Mówi pani niezwykle staranną niemiecką bez naleciałości dialektalnych. Skąd pani pochodzi?

– Z Berlina. Jestem rodowitą berlinianką, można powiedzieć. Moje książki mają jednak większe powodzenie za granicą, przede wszystkim w Japonii. Ale chwilowo tam również nie.

– Dlaczego?

– Ponieważ już od kilku lat nie wydałam nic nowego.

Viktor nawet nie zauważył, że ich rozmowa przerodziła się w typową grę pytanie–odpowiedź, a według tego właśnie wzoru przebiegała dawniej większość rozmów pomiędzy nim a jego pacjentami.

– Od jak dawna już pani nie publikuje?

– Mniej więcej od pięciu lat. Moja ostatnia książka miała być również przeznaczona dla dzieci. Myślę, że byłaby najlepsza ze wszystkich, jakie dotąd napisałam. Czuję to, pisząc każde słowo. Jednak nigdy nie wyszłam poza pierwsze dwa rozdziały.

– Dlaczego?

– Ponieważ nagle drastycznie pogorszył się stan mojego zdrowia. Musiałam iść do szpitala.

– Z jakiego powodu?

– Wydaje mi się, że lekarze w Parkklinik do dzisiaj nie wiedzą.

– Była pani w Parkklinik w Dahlem? – Viktor spojrział na nią zdumiony. Nie był przygotowany na taki zwrot w rozmowie. Po pierwsze, wiedział teraz, że rzeczywiście musiała być bardzo zamożną pisarką, skoro mogła pozwolić sobie na bardzo drogi pobyt w tym miejscu. Po drugie, naprawdę musiała mieć poważny problem, ponieważ ta ekskluzywna prywatna klinika nie zajmowała się zwykłymi dolegliwościami celebrytów, jak alkoholizm lub uzależnienie od narkotyków, lecz ciężkimi zaburzeniami psychicznymi. On sam jeszcze przed swoim załamaniem był tam wielokrotnie proszony o konsultacje jako niezależny ekspert i mógł potwierdzić doskonały poziom zakładu. Mając do dyspozycji

najznakomitszych specjalistów i posługując się najnowszymi metodami leczenia, ta berlińska prywatna klinika osiągnęła w wielu dziedzinach przełomowe wyniki. Niemniej jednak nie spotkał wcześniej osobiście ani jednego pacjenta, który by opuścił szpital w tak znakomitym stanie psychicznym jak Anna Spiegel, która właśnie teraz siedziała w salonie jego domu przy plaży.

– Jak długo pani tam była?

– Czterdzieści siedem miesięcy.

Na te słowa Viktorowi wręcz odebrało mowę. Tak długo? Albo kłamała jak najęta, albo naprawdę była poważnie chora. A może i jedno, i drugie.

– Zamknęli mnie na prawie cztery lata i tak długo faszerowali proszkami, że nie wiedziałam już, ani kim jestem, ani gdzie się znajduję.

– Jaka była diagnoza?

– Pańska specjalność, doktorze Larenz. Dlatego przyszedłam do pana. Choruję na schizofrenię.

Viktor oparł się wygodnie w fotelu i słuchał jej uważnie. W dziedzinie schizofrenii rzeczywiście był ekspertem. Przynajmniej kiedyś.

– Jak doszło do umieszczenia pani w klinice?

– Zadzwoiłam do profesora Malziusa.

– Sama z siebie zadzwoniła pani do szefa tej placówki z prośbą o przyjęcie?

– Tak, oczywiście. Klinika ma bardzo dobrą opinię. Zresztą nie znałam nikogo, kto mógłby mi pomóc. Pana polecono mi dopiero przed kilku dniami.

– Od kogo dowiedziała się pani o mnie?

– Od młodego lekarza w klinice. Najpierw postarał się, aby odstawiono mi lekarstwa, żebym znowu mogła jasno myśleć, a potem powiedział mi, że pan byłby najlepszy, jeśli chodzi o moją chorobę.

– Co pani podawano?

– Wszystko, co możliwe. Chlorprotiksen, fluspirylen. Przeważnie flupentiksol.

Klasyczne neuroleptyki. W każdym razie nie można mówić o niewłaściwym leczeniu, pomyślał Viktor.

– I to nie pomogło?

– Nie, od pierwszego dnia pobytu w klinice symptomy stawały się coraz bardziej wyraźne. Po tym, gdy wreszcie odstawiono lekarstwa, potrzebowałam tygodni, żeby znowu stanąć na nogi. Myślę, że to wystarczający dowód na to, że w tym indywidualnym przypadku schizofrenii, takiej jak moja, kuracja farmakologiczna nie wchodzi w grę.

– A co w nim jest takiego indywidualnego?

– Jestem pisarką.

– Tak, już to pani mówiła.

– Spróbuję wyjaśnić to możliwie jasno na przykładzie. – Anna po raz pierwszy nie patrzyła bezpośrednio na niego, lecz niespodziewanie utkwiała wzrok w jakimś punkcie gdzieś za jego plecami. Viktor już wcześniej zrezygnował z freudowskiej kanapy w swoim gabinecie przy Friedrichstrasse w Berlinie, ponieważ wolał rozmawiać ze swoimi pacjentami twarzą w twarz. Dlatego często obserwował takie zachowanie. Pacjenci odwracali wzrok, gdy tylko znaleźli się w stanie dużego napięcia i chcieli możliwe najbardziej precyzyjnie opisać szczególnie ważne zdarzenie. Lub kiedy kłamali.

– Moją pierwszą próbą pisarską było krótkie opowiadanie. Napisałam je w wieku trzynastu lat na konkurs dla uczniów zorganizowany przez senat Berlina. Temat konkursu brzmiał „Sens życia”, a moja historia opowiadała o grupie młodych ludzi, którzy rozpoczynają naukowy eksperyment. Oddałam tekst, a nazajutrz to się zdarzyło.

– Co?

– Moja najlepsza przyjaciółka obchodziła swoje czternaste urodziny w sali bankietowej hotelu Cztery Pory Roku w Grunewaldzie. Właśnie szłam do toalety i musiałam przejść przez hotelowe lobby. Wtedy ją zobaczyłam. Stała przy recepcji.

– Kto?

– Julia.

– Kim jest Julia?

– No, Julia. Jedna z bohaterek mojego opowiadania, główna postać we wprowadzeniu.

– Aha, chce pani powiedzieć, że zobaczyła kobietę podobną do postaci z pani szkolnego wypracowania?

– Nie. – Anna pokręciła przecząco głową. – Nie kobietę taką jak ona. To była ona we własnej osobie.

– Po czym pani to poznała?

– Ponieważ ta kobieta powiedziała słowo w słowo to, co włożyłam jej w usta w pierwszej scenie mojego opowiadania.

– Mianowicie?

Głos Anny przycichł i znowu patrzyła Viktorowi prosto w oczy.

– „Julia pochyliła się nad kontuarem i powiedziała do recepcjonisty: »Powiedz, mały, dasz mi ładny pokój, jeśli będę dla ciebie bardzo miła?«”

Viktor wytrzymał natarczywe spojrzenie Anny.

– Czy zastanawiała się pani kiedykolwiek nad tym, że mógł to być zwyczajnie przypadek?

– Tak, rzeczywiście długo o tym myślałam. Bardzo długo. Tylko trudno mi przychodziło uwierzyć w przypadek, ponieważ potem Julia znowu zrobiła dokładnie to, co napisałam w swoim wypracowaniu.

– Cóż znowu?

– Włożyła sobie lufę pistoletu do ust, wystrzeliła i jej mózg rozprysł się na kawałki.

Viktor spojrzał na Annę przerażony.

– Czy to...

– ...żart? Niestety nie. Kobieta przy recepcji była dopiero początkiem koszmaru, jaki przeżywam już od prawie dwudziestu lat. Raz w mniejszym, raz w większym stopniu, doktorze Larenz. Jestem pisarką, i to moje przekleństwo.

Viktor niemal mógłby poruszać ustami w rytm jej słów, tak był pewny, co powie w następnym zdaniu.

– Wszystkie postacie, które stwarzam w myślach od czasu tego opowiadania, stają się realne. Widzę je, mogę je obserwować, a czasem nawet z nimi rozmawiać. Wymyślam je i już po chwili wkraczają w moje życie. To moja choroba, doktorze Larenz. To mój problem. To jest właśnie ta indywidualna cecha mojej rzekomej schizofrenii.

Anna pochyliła się w jego stronę.

– I dlatego przyszłam do pana. Więc...?

Viktor spojrzał na nią i w pierwszej chwili nic nie powiedział. W jego głowie kłębiło się naraz zbyt wiele myśli. Zbyt wiele emocji walczyło ze sobą.

– A więc, doktorze Larenz?

– A więc co?

– Czy zainteresowałam pana? Czy będzie pan mnie leczył, teraz, skoro już tu jestem?

Viktor spojrzał na zegarek. Pięć minut minęło.

Patrząc wstecz, Viktor był tego pewny. Gdyby tylko przy pierwszym spotkaniu słuchał uważniej i gdyby prawidłowo zinterpretował symptomy, wówczas o wiele wcześniej doszedłby do wniosku, że coś tu się nie zgadza. Że wręcz nic się nie zgadza. Ale wtedy prawdopodobnie katastrofa nadeszłaby o wiele szybciej.

W każdym razie Anna osiągnęła swój cel. Wtargnęła do jego domu i zaskoczyła go pod wieloma względami. Jej historia naprawdę go zafrapowała. Była tak niezwykła, że na pięć minut przestał myśleć o sobie i o swoich problemach. Ale chociaż cieszył się tym chwilowym wolnym od trosk stanem, to jednak nie chciał jej leczyć. Po krótkiej, ale zdecydowanej wymianie zdań kobieta zgodziła się niechętnie, że rano opuści wyspę pierwszym promem i ponownie skonsultuje się z profesorem van Druisenem.

– Mam swoje powody – powiedział Viktor krótko, kiedy spytała, dlaczego nie zgadza się, żeby została. – Jednym z nich jest to, że od ponad czterech lat nie prowadzę praktyki.

– Ale przecież nie zapomniał pan swojego zawodu.

– To nie jest kwestia umiejętności...

– A więc nie chce pan...

Tak, pomyślał Viktor, ale coś powstrzymywało go przed opowiedzeniem kobiecie o Josy. Jeśli Anna w czasie swojego pobytu w klinice rzeczywiście nic nie słyszała o jego tragedii, to nie chciał być akurat tym, kto to zmieni.

– Myślę, że byłoby poważnym zaniedbaniem z mojej strony, gdybym zajął się pani zawiłym przypadkiem bez gruntownego przygotowania, zwłaszcza że nie mam tu normalnego gabinetu.

– Przygotowanie? Ach, niech pan da spokój. Przecież to pana dziedzina. Gdybym przyszła do pana na Friedrichstrasse, o co zapytałby mnie pan na początek?

Viktor uśmiechnął się, słysząc tę niezręczną próbę przechytrzenia go.

– Zapytałbym, kiedy po raz pierwszy w życiu miała pani halucynacje, ale...

– Na długo przez wspomnianym zdarzeniem – przerwała mu. – Ale tam, w hotelu Cztery Pory Roku, mój atak schizofrenii był tak...

Szukała odpowiednich słów.

– ...tak realistyczny. Tak wyraźny. Jeszcze nigdy nie miałam takiej realnej, takiej żywej wizji jak wówczas. Widziałam tę kobietę, usłyszałam strzał i zobaczyłam, jak jej mózg rozpryskuje się po całej recepcji. I po raz pierwszy chodziło o postać z wymyślonej przeze mnie opowieści. Ale oczywiście tak jak większość schizofreników, miałam kilka wcześniejszych oznak.

– Jakich?

Viktor postanowił, dać jej następne pięć minut, zanim ostatecznie będzie musiała się wynieść.

Na zawsze.

– Hm, od czego by tu zacząć? Myślę, że historia mojej choroby sięga wczesnego dzieciństwa.

Viktor odczekał, aż Anna sama z siebie zacznie mówić dalej, i wypił łyk zimnej już i gorzkiej herbaty assam.

– Mój ojciec był amerykańskim żołnierzem, po zakończeniu wojny został w Berlinie i pracował jako spiker radiowy w wojskowej rozgłośni American Forces Network. Uchodził za lokalną sławę, był znanym uwodzicielem. W końcu jedna z jego licznych jasnowłosych kochanek, które sprowadzał do pokoju na tyłach kasyna wojskowego, zaszła w ciążę. Miała na imię Laura, była rodowitą berlinianką i moją matką.

– Aha. Mówi pani o swoim ojcu w czasie przeszłym?

– Zmarł na skutek nieszczęśliwego wypadku, kiedy miałam osiem lat. Zresztą profesor Malzius uznał to za moje pierwsze traumatyczne przeżycie.

– Co to był za wypadek?

– Ojciec był operowany na wyrostek robaczkowy w szpitalu wojskowym i przed operacją zapomniano włożyć mu pończochy kompresyjne. Zakrzepica okazała się śmiertelna.

– Przykro mi. – Viktora zawsze bardzo irytowały nieszczęścia, które nieudolni lekarze swoim niedbalstwem sprowadzali na pacjentów i ich krewnych. – Jak pani przyjęła wiadomość o śmierci ojca?

– Nie za dobrze. Mieszkaliśmy w szeregowym domu w pobliżu Andrew Barracks w sektorze amerykańskim w Steglitz. W ogródku za domem trzymaliśmy małego kundelka, Terry’ego, który kiedyś przybłąkał się do nas. Ojciec go nie cierpiał i dlatego przez większość czasu pies był uwiązany na krótkim sznurku i nigdy nie wolno mu było wchodzić do domu. Kiedy matka powiedziała mi, że ojciec nie żyje, wyszłam do psa i zatłukłam go. Wzięłam jeden z kijów baseballowych ojca, ten ciężki z żelaznym rdzeniem. Ponieważ sznurek był bardzo krótki, Terry nie mógł uskoczyć, a cóż dopiero uciec. Najpierw ugięły się pod nim łapy i skulił się. Ja jednak biłam dalej. Byłam małą ośmioletnią dziewczynką, a miałam w sobie złość i siłę szaleńca. Gdzieś po dziesiątym razie kręgosłup Terry’ego pękł i pies nie mógł się już poruszać. Przeraził mnie skowyczał z bólu, ja jednak nie przestałam. W końcu krew popłynęła mu z pyska i po jakimś czasie pies zmienił się w kawał mięsa, z którego wybiłam pałką ostatnią iskrę życia.

Viktor starał się nie patrzeć na nią z obrzydzeniem i spokojnie zapytał:

– Dlaczego pani to zrobiła?

– Ponieważ Terry był tym, co poza moim ojcem najbardziej w życiu kochałam. W moim dziecięcym szaleństwie myślałam sobie: skoro już odebrano mi to, co najbardziej kochałam, to numer dwa w moim życiu również nie ma prawa istnienia. Byłam wściekła, że Terry jeszcze żyje, a mój ojciec nie.

– To straszne przeżycie.

– Tak, ma pan rację. Ale jeszcze pan nie wie dlaczego.

– Co pani ma na myśli?

– Nie zna pan jeszcze całej historii, doktorze Larenz. Najbardziej przerażająca w tym zdarzeniu nie jest śmierć mojego ojca. I nie to, że w okrutny sposób zamęczyłam małego, niewinnego psa.

– A co?

– Najgorsze dla mnie jest to, że ten pies nigdy nie istniał. Kiedyś przygarnęliśmy kota, ale nie psa. I gdy jeszcze dzisiaj prześladowuje mnie w snach udręczone, małe ciało Terry’ego, dobrze wiem, że to zdarzenie jest tylko wytworem mojej chorej wyobraźni.

– Kiedy pani to zrozumiała?

– Och, trwało to bardzo długo. Wyznałam to dopiero w trakcie mojej pierwszej psychoterapii. Miałam wtedy osiemnaście lub dziewiętnaście lat. Przedtem nie miałam nikogo, komu mogłabym się zwierzyć. Któż ma ochotę przyznać się, że jest dręczycielem zwierząt, i to w dodatku niespełna rozumu?

O mój Boże, pomyślał Viktor bezwiednie głaszcząc Sindbada, który przez cały czas spokojnie drzemał u jego stóp i nie zdając sobie z niczego sprawy, przespał tę niezwykłą rozmowę. Ta biedna dziewczyna musiała żyć z tym przerażającym poczuciem winy przez ponad dziesięć lat. Każdy schizofrenik jest zakładnikiem tej choroby, a ją dotknęło to w szczególnie okrutny sposób. Większość wizji miała zawsze tylko jeden cel: zasugerować chorej osobie, że jest bezużyteczna, zła i nie zasługuje na to, żeby dalej żyć. Nierzadko schizofrenicy są nakłaniani przez swoje wewnętrzne głosy do odebrania sobie życia. I równie nierzadko ci biedacy bywają posłuszni nakazom swoich wymagowanych dręczycieli. Viktor spojrzął na zegarek i zdziwił się, że zrobiło się tak późno. Dzisiaj nie dałby już rady pracować nad wywiadem.

– Dobrze, pani Spiegel.

Wstał demonstracyjnie, chciał pokazać, że rozmowa definitywnie się skończyła. Kiedy zrobił krok w stronę Anny, ze zdziwieniem zauważył, że lekko kręci mu się w głowie.

– Jak już pani wielokrotnie wyraźnie dawałem do zrozumienia, nie mogę pani tutaj leczyć – ciągnął, mając nadzieję, że nie przewróci się w drodze do drzwi.

Anna przyglądała mu się z niewzruszonym wyrazem twarzy i po chwili również wstała.

– Oczywiście – powiedziała zadziwiająco lekkim tonem. – Mimo to cieszę się, że pan mnie wysłuchał. Postąpię zgodnie z pana radą.

Sposób, w jaki Anna podeszła do drzwi, wywołał u Viktora błysk odległego wspomnienia. Ale zgasło ono równie szybko, jak się pojawiło.

– Źle się pan czuje, doktorze?

Viktor był zły na siebie, że zauważyła jego lekkie zaburzenia równowagi.

– Nie, nie, wszystko w najlepszym porządku.

To zabawne. Viktor czuł się tak, jakby po długim rejsie statkiem znowu stanął na stałym lądzie.

– A gdzie się pani zatrzymała? – zapytał, żeby skierować rozmowę na inny temat, kiedy oboje wyszli do sieni i Viktor otworzył drzwi na werandę.

– Pod Kotwicą.

Skinął głową. Gdzieżby indziej. Poza sezonem jedynie w tej gospodzie można było jeszcze wynająć pokoje gościnne. Jej właścicielka Trudi, której mąż przed trzema laty utonął razem ze swoim kutrem, uchodziła za dobrą duszę wyspy.

– Czy naprawdę wszystko z panem w porządku? – spytała Anna.

– Tak, oczywiście. To mi się czasami zdarza, kiedy za szybko wstanę – skłamał i miał tylko nadzieję, że nie jest to oznaka zbliżającego się przeziębienia.

– To dobrze – skwitowała uspokojona. – W takim razie wróć teraz szybko do wioski. Muszę się jeszcze spakować, żeby jutro z rana zdążyć na prom.

Viktor ucieszył się, kiedy to usłyszał. Im szybciej ta kobieta zniknie z wyspy, tym pręcej on odzyska spokój. *Nikt mi nie będzie przeszkadzał.*

Jeszcze raz podał jej rękę i pożegnali się krótko i bezceremonialnie.

Po czasie człowiek zawsze jest mądrzejszy. Gdyby już podczas pierwszej rozmowy Viktor słuchał choć trochę uważniej, zwróciłby uwagę na ukryte między wierszami sygnały ostrzegawcze. Ale w swojej prostoduszności pozwolił Annie odejść i nawet nie odprowadził jej wzrokiem. Musiała się tego spodziewać, ponieważ gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, nawet nie starała się ukryć swoich prawdziwych zamiarów. Od razu ruszyła prosto na północ.

W kierunku dokładnie przeciwnym, niż gdyby miała iść do gospody Pod Kotwicą.

Anna dopiero przed chwilą wyszła, kiedy ponowne pukanie do drzwi znowu zakłóciło mu spokój. Był to Halberstaedt, burmistrz wyspy.

– Dziękuję, że zatroszczył się pan o generator – przywitał go Viktor, ściskając jego dłoń. – Kiedy przyjechałem, było całkiem ciepło.

– Cieszę się, panie doktorze – odparł krótko Halberstaedt, dziwnie szybko uwalniając rękę z uścisku.

– Słucham, co pana do mnie sprowadza w tę niespokojną pogodę? Myślałem, że poczta przychodzi dopiero pojutrze.

– Tak, ma pan rację. – Halberstaedt trzymał w lewej ręce kawałek drewna, którym wytrzepywał piasek z głębokich żłobień podeszwy kalosza. – Nie przyszedłem z tego powodu.

– Okay. – Larenz wskazał na drzwi. – Nie wejdzie pan? Wygląda, jakby zaraz miało się rozpadać.

– Nie. Dziękuję. Nie chcę panu długo przeszkadzać. Mam tylko jedno pytanie.

– Słucham.

– Chodzi mi o tę kobietę, która była u pana. Kim ona jest?

Jego bezpośredniość zdziwiła Viktora. Halberstaedt był zazwyczaj raczej uprzejmy, powściągliwy i szanował prywatność mieszkańców wyspy.

– Nie żeby mnie to obchodziło. Ale na pana miejscu byłbym ostrożny. – Halberstaedt zrobił krótką przerwę, aby przez poręcz werandy wypluć trochę tytoniu do zucia na piaszczystą dróżkę. – Cholernie ostrożny!

Viktor zmrugał oczy, jakby słońce zaświeciło mu prosto w twarz, i uważnie spojrzął na burmistrza. Nie podobały mu się ani ton jego głosu, ani treść wypowiedzianych słów.

– Czy wolno zapytać, co mi pan chce przez to zasugerować?

– Nie chcę nic sugerować. Powiem zupełnie otwarcie. Ta kobieta jest jakaś dziwna. Coś z nią jest nie w porządku.

Viktor znał tę nieufność, jaką zdrowi ludzie okazują chorym psychicznie. Tylko zdziwił się, że Halberstaedt tak szybko zauważył, że Anna nie jest zdrowa.

Ale ja też nie jestem. Już nie.

– Proszę się nie martwić o tę kobietę... – odparł Viktor.

– O nią na pewno się nie martwię. Boję się tylko, żeby panu coś się nie przytrafiło.

W jednej chwili było po wszystkim. Skończyła się przerwa we wspomnianiu przeszłości, którą zawdzięczał wizycie Anny i jej niewiarygodnej opowieści. *Josy*. Istniały miliony różnych impulsów, które w mózgu Viktora wywoływały odruchowe wspomnienia o córce. Należał do nich również groźny ton głosu, taki jak burmistrza.

– Co pan znowu sugeruje?

– To, co mówię. Sądzę, że jest pan w niebezpieczeństwie. Już czterdzieści dwa lata mieszkam na wyspie i przez ten czas widziałem wielu ludzi, którzy tu przyjeżdżali i odjeżdżali. Niektórzy z nich byli mile witani gośćmi. Dobrymi ludźmi i chciałoby się, żeby zostali na dłużej. Tak jak pan, doktorze. A przy innych od pierwszego spojrzenia wiedziałem, że sprowadzą kłopoty. Nie potrafię tego wyjaśnić. To musi być szósty zmysł, czy co. W każdym razie objawił się znowu, kiedy pierwszy raz zobaczyłem tego babsztyla w wiosce.

– Musi mi pan wytłumaczyć to dokładniej. Co ona panu takiego powiedziała, że aż tak się pan zaniepokoił?

– Nic nie powiedziała. W ogóle z nią nie rozmawiałem. Tylko obserwowałem ją z daleka i przyszedłem za nią do pana.

Dziwne, pomyślał Viktor. Przed chwilą Anna powiedziała mi coś zupełnie innego. Ale dlaczego miałaby mnie okłamywać, że rozmawiała z Halberstaedtem?

– Hinnerk też powiedział, że zachowywała się przedziwnie, przed dwiema godzinami w jego sklepie.

– Jak dziwnie? – zainteresował się Viktor.

– Pytała o broń.

– Słucham?

– Tak. Najpierw chciała harpun albo raketnicę. W końcu kupiła duży nóż i kilkanaście metrów żyłki. No to się człowiek zastanawia, co ta kobieta zamierza?

– Nie mam pojęcia – odparł Viktor zatopiony w myślach. Rzeczywiście nie wiedział. Czego mogła chcieć na tej przyjaznej wyspie psychicznie chora kobieta z bronią?

– No dobrze. – Halberstaedt nasunął na głowę kaptur czarnej kurtki. – Muszę już iść. Przepraszam, jeśli panu przeszkodziłem.

– Nie szkodzi.

Halberstaedt zszedł po schodkach z werandy i przed furtką w płocie jeszcze raz odwrócił się do Viktora.

– Jeszcze coś, doktorze. Cały czas chciałem to panu powiedzieć. Bardzo mi przykro.

Viktor skinął głową bez słowa. Po czterech latach nikt nie musiał mu tłumaczyć powodu swojego współczucia. Było oczywiste, co burmistrz miał na myśli.

– Myślałem, że pobyt tutaj dobrze panu zrobi. I dlatego tu przyszedłem.

– Co pan ma na myśli?

– Ucieszyłem się, kiedy przyплыł pan na wyspę. Widziałem, jak schodził pan z promu. I miałem nadzieję, że tutaj będzie pan myślał o czymś innym. Że szybko odzyska pan siły. Ale...

– Ale co?

– Jest pan jeszcze bardziej blady niż przed tygodniem. Czy jest jakiś powód?

Tak. Koszmar, który nazywa się „moje życie”. I nic w nim nie polepszasz swoim przyjściem, pomyślał Viktor. Jednak zamiast wypowiedzieć tę myśl na głos, uspokajająco pokręcił głową, co wywołało następne zaburzenie równowagi.

Halberstaedt zamknął furtkę od zewnątrz i spojrzał na Viktora surowo.

– Wszystko jedno. Mogę się mylić. Może przesadzam. Może mi się tylko wydaje. Ale mimo to: jeśli idzie o tę kobietę, proszę mieć na uwadze moje słowa.

Viktor tylko skinął głową.

– Mówię poważnie, doktorze. Niech pan uważa na siebie. Mam złe przeczucia.

– Będę uważać. Dziękuję.

Viktor zamknął drzwi i obserwował Halberstaedta przez wizjer, aż ten zniknął z jego ograniczonego pola widzenia.

Co tu się dzieje?, pomyślał. *Co to wszystko ma znaczyć?*

Miały jeszcze minąć dobre cztery dni, zanim pozna odpowiedź. Niestety, kiedy to nastąpiło, było już dla niego za późno.

Parkum, cztery dni przed poznaniem prawdy

B: Czy ma pan jeszcze nadzieję?

Drugie pytanie wywiadu było dla Viktora najgorsze. Po niespokojnej nocy i byle jak przygotowanym śniadaniu siedział od dziesiątej rano przed swoim laptopem. Ale dzisiaj miał dobrą wymówkę, dlatego po półgodzinie ekran był ciągle pusty. Teraz nie było wątpliwości, faktycznie zanosilo się u niego na grypę. Zawroty głowy z wczoraj prawie całkowicie zanikły, za to od chwili przebudzenia miał lekkie trudności z przetykaniem i katar. Mimo to chciał dzisiaj nadrobić stracony poprzedniego dnia czas.

Nadzieję?

Najchętniej odpowiedziałby pytaniem na pytanie:

Nadzieję na co? Na to, że Josy jeszcze żyje lub że znajdą jej ciało?

Silny podmuch wiatru sprawił, że szyby w oknach zdrząły. Viktor przypomniał sobie o ostrzeżeniu przed sztormem podanym w wiadomościach. Zapowiadany od wczoraj orkan „Anton” miał nadciągnąć nad wyspę dzisiaj po południu. Już teraz nad morzem zaczęła się groźnie formować szara ściana deszczu, a gwałtowne porywy wiatru smagały brzeg pierwszymi kroplami. W nocy znacznie spadła temperatura i ogień w kominku palił się już nie tylko ze względów estetycznych. Ciepło wytwarzane przez napędzany generatorem piec olejowy nie wystarczało do ogrzania domu. Najwyraźniej rybacy i właściciele promów również poważnie potraktowali ostrzeżenia straży wybrzeża. Viktor wyglądał przez okno zza swojego biurka i nie widział ani jednego kutra unoszącego się na coraz wyższych falach.

Ponownie odwrócił się do monitora.

Nadzieja.

Viktor zacisnął dłonie nad klawiaturą w pięść i znowu rozprostował palce, nie dotykając żadnego klawisza. Kiedy pierwszy raz przeczytał to pytanie, rozsadziło ono wyimaginowaną tamę w jego mózgu i pierwszą myślą, która zaczęła powoli nabierać kształtu, było wspomnienie ostatnich dni jego ojca. Gustaw Larenz w wieku siedemdziesięciu czterech lat zachorował na nowotwór węzłów chłonnych i mógł znieść nieustający ból tylko dzięki regularnemu podawaniu morfiny. Jednak w późniejszym stadium choroby nawet najsilniejsze tabletki nie były już w stanie całkowicie uśmierzyć bólu. „Jak pod wypełnionym mgłą dzwonem...”, ojciec opisał synowi tępo pulsującą migrenę, którą dawało się zredukować do znośnego poziomu podawanymi co dwie godziny tabletkami.

Jak pod wypełnionym mgłą dzwonem. Właśnie pod nim pogrzebałem moją nadzieję. Zupełnie jakby objawy choroby mojego ojca przeniosły się na mnie. Jak przy chorobie zakaźnej. Tylko że nowotwór nie zaatakował węzłów chłonnych, lecz mój umysł. A przerzuty opanowały moją duszę.

Viktor odetchnął głęboko i wreszcie zaczął pisać.

Tak, miał nadzieję. Że pewnego dnia jego gospodyni zapowie gościa, który czeka w przedpokoju i nie zgodził się usiąść w salonie. Miał nadzieję, że mężczyzna, który będzie trzymać w dłoniach służbową czapkę, spojrzy mu w oczy bez słowa. I że wreszcie uzyska pewność. Na długo przedtem, zanim z ust urzędnika padną ostateczne słowa: „Przykro mi”. To była jego nadzieja.

Isabell natomiast każdego wieczoru modliła się o coś przeciwnego. Był tego pewny. Nie miał pojęcia, skąd brała do tego siłę. Ale głęboko w duszy miała ukrytą wizję, że pewnego dnia jak zwykle wróci z podróży w interesach do domu i na podjeździe zobaczy przewrócony rower Josy. I jeszcze zanim zdąży go podnieść i wprowadzić do altanki, zobaczy Josy, jak śmiejąc się, wraca od strony jeziora. Zdyszana, trzymając ojca ze rękę. Zdrowa i bardzo szczęśliwa. „Co dziś na obiad!”, zawoła z daleka i

wszystko będzie jak dawniej. Isabell nie zdziwiłaby się. Nie zapytałaby też Josy, gdzie była przez ostatnie lata. Pogłaskałaby ją po dłuższych niż zwykle rudoblonde włosach i po prostu by to zaakceptowała. To, że Josy znowu tu jest. Że rodzina wreszcie znowu jest razem. Tak jak akceptowała rozłąkę. Przez całe lata. To była jej niewypowiedziana nadzieja.

Czy ta odpowiedź panią zadowala?

Viktor bez emocji przyjął do wiadomości, że znowu rozmawia sam ze sobą. Tym razem jego wymyśloną słuchaczką była Ida von Strachwitz, redaktor odpowiedzialna „Bunte”, której już pojutrze miał wysłać e-mailem pierwsze odpowiedzi.

Laptop Viktora wydał z siebie dźwięk, który przypominał mu stary ekspres do kawy, gdy przy parzeniu wypływał do filtra resztki wody. Kiedy zdecydował się skasować ostatnie słowa, ze zdumieniem stwierdził, że nie ma nic do skasowania. Jedyne, co napisał w ciągu minionej półgodziny, to jedno, jedyne zdanie. I nawet ono wydawało się nie mieć wiele wspólnego z pytaniem:

Pomiędzy domysłem a wiedzą
znajdują się życie i śmierć.

Viktor nie zdążył już uzupełnić tej jedynej linijki, ponieważ nagle zadzwonił telefon. Pierwszy raz, odkąd przyплыł na Parkum. Przestraszył go niespodziewanie głośny dzwonek, który przeraźliwym dźwiękiem przerwał ciszę małego domu. Zabrzmiał cztery razy, zanim Viktor podniósł ciężką słuchawkę starego aparatu z kręconą tarczą. Jak prawie wszystko w tym domu również ten czarny dziwoląg był pamiątką odziedziczoną po ojcu. Stał na małym stoliku obok regału z książkami.

– Przeszkadzam panu?

Westchnął bezgłośnie. Można powiedzieć, że spodziewał się tego telefonu. Niespodziewanie znowu poczuł wczorajszy zawrót głowy wraz ze znanymi oznakami przeziębienia.

– Czy nie ustaliliśmy czegoś wczoraj, pani Spiegel?

– Ustaliliśmy – usłyszał jej speszony głos.

– Przecież miała pani dzisiaj rano wyjechać? O której odpływa prom?

– Właśnie dlatego dzwonię. Nie mogę wyjechać.

– Niech pani posłucha! – Viktor spojrział zdenerwowany na sufit i dostrzegł kilka pajęczyn w rogu pokoju. – Przecież wszystko dokładnie omówiliśmy. Jest pani teraz w okresie wyciszenia i w tym stanie może pani bez żadnego problemu wrócić do Berlina. Zaraz po przyjeździe uda się pani do profesora van Druisena, którego ja...

– Kiedy nie mogę – przerwała mu Anna, nie podnosząc głosu. I jeszcze zanim to powiedziała, Viktor już wiedział, w czym problem. – Prom. Odwołano rejsy z powodu sztormu. Utknęłam tu na dobre.

Wiedział to, jeszcze zanim odłożył słuchawkę. Zdradził mu to jej głos. Brzmiał tak, jakby Anna osobiście zorganizowała taką pogodę, żeby na dłużej oderwać go od pracy i związanych z tym prób uporania się z przeszłością. Sprawiała wrażenie, jakby miała mu coś do opowiedzenia. Coś tak ważnego, że zdecydowała się ponieść trudy i koszty podróży z Berlina na wyspę. I z czego wczoraj nie zwierzyła mu się z jakiegoś powodu. Viktor nie wiedział, co to było, ale wiedział, że Anna nie opuści wyspy, zanim nie uwolni się od tej historii. I dlatego musi tu przyjść. Także z tego powodu na wszelki wypadek wziął prysznic i przebrał się. W łazience rozpuścił w wodzie aspirynę i trzema łykami wypił ją na pusty żołądek. Poczul ucisk w oczach. Była to nieomylna oznaka zbliżającego się bólu głowy. Może nawet gorączki. Normalnie przy takich sygnałach ostrzegawczych dawanych przez organizm Viktor zazwyczaj brał dwie tabletki katadolonu naraz. Jednak sprawiały one, że robił się senny, a głos wewnętrzny radził mu, że lepiej będzie stanąć naprzeciw swojego nieproszonego gościa z jasnym umysłem. Czuł wprawdzie, że bierze go grypa, ale przynajmniej nie był zmęczony, kiedy wczesnym przedpołudniem Sindbad powiadomił go o przyjeździe Anny ostrzegającym warczeniem.

– Byłam na spacerze i zobaczyłam światło w pana salonie. – Uśmiechnęła się do niego, kiedy otworzył drzwi.

Viktor zmarszczył czoło. *Na spacerze?* W taką pogodę nawet właściciele psów niechętnie wychodzą z domu. Wprawdzie jeszcze nie lało jak z cebra, ale drobny kapuśniaczek już dawał się we znaki. A Anna w żakiecie z cienkiej wełny i pantoflach na wysokich obcasach nie była ubrana odpowiednio do tej pogody. Przejście z wioski do jego domu przy plaży zajmowało przynajmniej piętnaście minut, a droga była źle utwardzona i tworzyły się już na niej kałuże. Mimo to na jej eleganckich letnich butach nie było śladów błota. Również jej włosy były suche, chociaż nie miała parasolki ani chustki na głowie.

– Przychodzę nie w porę?

Viktor zorientował się, że jeszcze nic nie powiedział, tylko przypatrywał się jej jak osłupiały.

– Tak. To znaczy, ja... – Zająknął się. – Proszę wybaczyć. Jestem trochę chaotyczny. Przeziębilem się.

W dodatku to, co opowiedział mi o tobie Halberstaedt, też nie zachęca do otwarcia przed tobą drzwi.

– Och. – Uśmiech zniknął z twarzy Anny. – Przykro mi.

Błyskawica nad morzem na chwilę rozjaśniła niebo z tyłu domu. Krótco potem w powietrzu przetoczył się towarzyszący jej pomruk gromu. Zbliżał się front burzowy. Viktor zirytował się. Teraz nie będzie mógł tak szybko pozbyć się niemiłe widzianego gościa. Z grzeczności musi ścierpieć obecność Anny przynajmniej tak długo, aż przejdą pierwsze fale deszczu.

– No dobrze, skoro już zadała pani sobie trud, żeby tu przyjść, możemy wypić razem herbatę – zaproponował niechętnie. A Anna bez wahania przyjęła zaproszenie. Na jej twarzy znowu pojawił się uśmiech, a Viktor sądził, że widzi w wyrazie jej twarzy nawet jakby lekką oznakę triumfu. Jak u małego dziecka, które po długotrwałym marudzeniu w sklepie wymusiło na matce kupno łakoci.

Poszła za nim do pokoju kominkowego, gdzie oboje zajęli te same miejsca co wczoraj. Ona z nogą założoną na nogę na kanapie. On plecami do okna przy biurku.

– Proszę się częstować.

Podniósł swoją filiżankę i głową wskazał na gzyms kominka, gdzie na podgrzewaczu stał czajniczek z herbatą.

– Może później. Dziękuję.

Viktor poczuł silniejszy ból w gardle niż wcześniej i wypił duży łyk. Z każdą następną filiżanką herbata assam miała bardziej gorzki smak.

– Dobrze się pan czuje?

Znowu to samo pytanie co wczoraj. Viktor rozszłościł się, że Anna poznała się na jego chorobie. To on był tu lekarzem.

– Dziękuję. Bardzo dobrze.

– A dlaczego przez cały czas, odkąd tu przyszedłam, patrzy pan na mnie takim wściekłym wzrokiem, doktorze? Jest pan o coś na mnie zły? Proszę mi uwierzyć, że dziś rano naprawdę chciałam wsiąść na prom. Ale niestety na czas sztormu jego kursowanie zostało wstrzymane.

– Czy już pani wie, kiedy mogą je wznowić?

– Nie. Zdaje się, że najwcześniej za dwa dni. Przy dużej dozie szczęścia za dwadzieścia cztery godziny.

A przy odrobinie pecha za tydzień. Viktor musiał już kiedyś wytrzymać tu tak długo ze swoim ojcem.

– Może jednak moglibyśmy wykorzystać ten czas na kolejną terapeutyczną rozmowę? – spytała Anna bez ogródek i na jej twarzy znowu pojawił się delikatny uśmiech.

Ona chce się od czegoś uwolnić, pomyślał Viktor.

– Myli się pani, sądząc, że wczorajsza rozmowa miała coś wspólnego z terapią. To była tylko rozmowa. Pani nie jest moją pacjentką. Burza na dworze tego nie zmienia.

– Zgoda, w takim razie po prostu kontynuujmy naszą wczorajszą rozmowę. Dobrze mi zrobiła.

Ona chce się od czegoś uwolnić. I nie da mu spokoju, zanim tego nie powie.

Viktor odwzajemnił się jej długim spojrzeniem i w końcu przytaknął, kiedy doszedł do wniosku, że Anna nie odwróci wzroku.

– A więc dobrze...

...w takim razie doprowadźmy do końca to, co zaczęliśmy wczoraj, uzupełnił Viktor w myślach, podczas gdy Anna zadowolona odchyliła się wygodniej na oparcie kanapy.

A potem opowiedziała najbardziej niesamowitą historię, jaką Viktor kiedykolwiek słyszał w swoim życiu.

Jaką książkę pani teraz pisze? – zapytał ją na początek. Było to pytanie, z którym obudził się dziś rano.

Jakie postacie ożyją w następnej kolejności w pani koszmarach?

– Już nie piszę. W każdym razie nie w tradycyjnym sensie.

– Co pani ma na myśli?

– Postanowiłam pisać tylko o sobie samej. Moją biografię, można to tak nazwać. Dzięki temu piekę trzy pieczenie na jednym ogniu. Po pierwsze, mogę oddawać się mojemu literackiemu upodobaniu. Po drugie, przepracowuję przy tej okazji własną przeszłość. I po trzecie, zapobiegam temu, żeby postacie literackie wkraczały w moje życie i doprowadzały mnie do szaleństwa.

– Rozumiem. Teraz proszę mi coś opowiedzieć o pani ostatnim dużym załamaniu. Tym, które doprowadziło do przyjęcia pani do kliniki.

Anna nabrała głęboko powietrza i złożyła ręce jak do modlitwy.

– A więc tak. Ostatnia postać książkowa, która się usamodzielniała, była bohaterką współczesnej bajki dla dzieci.

– O czym była ta bajka?

– O małej dziewczynce. Charlotte. Milutkim, jasnowłosym aniołku, jakie znamy z reklam pierniczków czy czekolady.

– Nie najgorsza postać, jaką można wyobrazić sobie w charakterze wyimaginowanej towarzyski.

– Tak. Zgadza się. Charlotte była małym skarbem. Każdy, kto ją zobaczył, natychmiast ulegał jej urokowi. Była jedyną córką króla i mieszkała w małym zamku na wyspie.

– O czym dokładnie była ta książka?

– O poszukiwaniu. Pewnego dnia Charlotte nagle zachorowała. Ciężko zachorowała.

Viktor właśnie chciał wypić następny łyk herbaty, ale odstawił filiżankę. Teraz skupił całą uwagę na Annie.

– Cierpiała na niewyjaśnione napady gorączki, coraz bardziej słabła i chudła. Wszyscy lekarze w kraju zebrali się, aby ją zbadać, ale żaden nie potrafił powiedzieć, co jej jest. Jej rodzice z dnia na dzień tracili nadzieję. I z dnia na dzień stan małej się pogarszał.

Viktor nieświadomie wstrzymał oddech i koncentrował się na każdym kolejnym słowie.

– Pewnego dnia mała Charlotte postanowiła wziąć swój los we własne ręce i uciekła z domu.

Josy.

Viktor próbował odpędzić od siebie tę myśl, ale mu się to nie udawało.

– Co pan mówi? – Anna spojrzała na niego zdziwiona. Viktor nawet nie zauważył, że widocznie musiał coś powiedzieć, i teraz nerwowo przejechał ręką po włosach.

– Nic, nic. Nie chciałem pani przerwać. Proszę kontynuować.

– A więc, jak mówiłam, wyruszyła na poszukiwanie przyczyny swojej choroby. Jeśli ktoś chce, może nazwać tę historię alegorią. Bajką o chorej dziewczynce, która się nie poddaje, tylko śmiało stawia czoło swojemu losowi.

Nie, to nie dzieje się naprawdę. To niemożliwe. Viktor nie był zdolny zebrać myśli. Dobrze znał to uczucie. Po raz pierwszy doświadczył go w gabinecie doktora Grohlkego. A potem już każdego dnia swojego życia. Do czasu, kiedy postanowił ostatecznie zakończyć poszukiwania swojej małej córeczki.

– Czy na pewno dobrze się pan czuje, doktorze Larenz?

– Co? Och... – Viktor spojrzał na palce prawej ręki, którymi nerwowo bębnił o blat mahoniowego biurka.

– Przepraszam panią, pewnie wypilem trochę za dużo herbaty. Ale niech pani opowie mi więcej o Charlotte. Jak się kończy ta historia? Co się wydarzyło?

Co z Josy?

– Nie wiem tego.

– Co? Nie wie pani, jak się kończy pani własna książka?

Pytanie zabrzmiało głośniejsze, niż Viktor zamierzał, jednak Anna nie wydawała się zdziwiona tym wybuchem.

– Przecież mówiłam, że nigdy jej nie skończyłam. Historia pozostała tylko we fragmencie. Właśnie dlatego Charlotte już mnie nie wypuściła i wpędziła w ten koszmar.

Koszmar?

– Co pani przez to rozumie?

– Jak już powiedziałam, Charlotte była postacią książkową, która wkroczyła w moje życie. To, co z nią przeżyłam, było tak straszne, że przyplącałam to tamtym załamaniem nerwowym.

– Jeszcze raz. Co się dokładnie wydarzyło?

Viktor zdawał sobie sprawę, że postępuje niewłaściwie. Pacjentka nie była jeszcze gotowa, żeby mówić o swojej traumie. Ale musiał się tego dowiedzieć. Kiedy Anna nie odpowiedziała i tylko uparcie wpatrywała się w podłogę, zapytał nieco bardziej ostrożnie.

– Kiedy miała pani pierwszą wizję Charlotte?

– Było to mniej więcej cztery lata temu, w Berlinie. W zimie.

Dwudziestego szóstego listopada, dokończył Viktor w duchu.

– Właśnie wyszłam na zakupy, kiedy usłyszałam za sobą ten huk. Pisk opon, metaliczny łoskot, brzęk rozpryskującego się szkła, zwykle odgłosy towarzyszące wypadkowi drogowemu. Pomyślałam jeszcze: „Mam nadzieję, że nikt nie jest ranny”, i odwróciłam się. Zobaczyłam dziewczynkę. Stała na środku ulicy jak sparaliżowana. Najwyraźniej to ona była przyczyną tego wypadku.

Viktor stęzał na krześle.

– Nagle, jak na niewidzialny znak, odwróciła głowę, spojrzała w moją stronę i uśmiechnęła się do mnie. I wtedy ją rozpoznałam. To była Charlotte. Chora dziewczynka z mojej książki. Podbiegła do mnie i wzięła za rękę.

Jej szczupłe rączki. Takie kruche.

– Byłam kompletnie sparaliżowana, stałam nieruchomo jak słup. Z jednej strony, miałam świadomość, że ona nie istnieje. Z drugiej – była tak realna. Nie mogłam zrobić nic innego. Musiałam ją zaakceptować. Więc poszłam za nią.

– Dokąd? Gdzie to dokładnie było?

– Co? Dlaczego to takie ważne?

Anna zamrużyła oczami nieco zdezorientowana i nagle jakby nie miała ochoty do dalszej rozmowy.

– Nie jest. Przepraszam. Proszę kontynuować.

Anna odchrząknęła i wstała.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, doktorze Larenz, to chętnie zrobiłabym przerwę. Wiem, że cały czas przymuszałam pana do rozmowy. Jednak teraz zauważyłam, że chyba nie jestem jeszcze na to gotowa. Te wizje naprawdę były dla mnie koszmarnie. Mówienie o nich teraz przychodzi mi z większym trudem, niż myślałam.

– Oczywiście – powiedział Viktor, chociaż wszystko w nim krzyczało, dopominając się dalszych informacji. On również się podniósł.

– Nie będę pana więcej nagabywać. Prawdopodobnie już jutro rano będę mogła wrócić do domu.

Nie!

Viktor gorączkowo szukał wyjścia z tej niespodziewanej sytuacji. Nie mógł dopuścić do jej wyjazdu, chociaż jeszcze przed kilkoma minutami sam tego od niej żądał.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. – Viktor stał nieporadnie na środku pokoju. – Jak nazywała się ta książka?

– Nie miała jeszcze ostatecznego tytułu. Tylko roboczy: *Dziewięć*.

– Dlaczego *Dziewięć*?

– Ponieważ Charlotte miała dziewięć lat, kiedy uciekła.

– Och.

Za młoda!

Viktor zauważył ze zdziwieniem, jak silnie podziałało na niego tych niewiele słów, jakie wypowiedziała Anna. Jak bardzo by chciał, żeby chore, schizofreniczne wizje tej pacjentki miały odniesienia do rzeczywistości.

Kiedy teraz powoli zbliżał się do niej, czuł, że podniosła mu się gorączka. Ból głowy również nie ustąpił mimo tabletki, którą wziął po prysznicu. Ból pulsował w skroniach, a oczy zaczęły łzawić. Nagle postać Anny rozmyła się, widział jej kontury jak przez napełnioną wodą szklankę. Zamrugał gwałtownie, a kiedy ponownie odzyskał ostrość widzenia, wyczytał w jej oczach coś, czego na razie nie potrafił sobie wytłumaczyć. Po chwili już wiedział: on ją zna. Kiedyś, dawno temu, już ją spotkał. Ale nie potrafił przyporządkować jej twarzy do osoby i nazwiska. Tak jak czasami nie wie się, jak nazywa się dany aktor i w jakim filmie się go widziało.

Niezdarnie pomógł jej włożyć płaszcz i odprowadził do drzwi. Anna była już jedną nogą na zewnątrz, kiedy jeszcze raz się odwróciła i w następnej sekundzie jej usta nagle znalazły się bardzo blisko twarzy Viktora.

– Ach, i jeszcze coś. Tylko dlatego, że pan o to zapytał.

– Słucham? – Viktor trochę się cofnął i nagle poczuł takie samo napięcie jak na początku ich rozmowy.

– Nie wiem, czy to ważne, ale książka miała też podtytuł. Jest bardzo dziwny, ponieważ właściwie nie ma nic wspólnego z całą historią. Kiedyś przyszedł mi do głowy w wannie i po prostu uznałam, że jest ładny.

– Jak on brzmi?

Przez krótką chwilę Viktor zastanawiał się, czy w ogóle chce go usłyszeć. Ale było już za późno.

– *Niebieski kot* – odpowiedziała Anna. – Tylko proszę nie pytać dlaczego. Pomyślałam sobie w tamtym momencie, że ładnie by wyglądało, gdyby na obwołucie był niebieski kot.

Tylko po to, żebym się mógł upewnić, że dobrze cię zrozumiałem...

Viktor nieomal widział, jak korpulentny prywatny detektyw na drugim końcu linii telefonicznej kręci głową z niedowierzaniem, słysząc jego pytania. Zadzwoił do niego, gdy tylko Anna opuściła jego dom.

– Twierdzisz, że na Parkum miałaś niezapowiedzianą wizytę umysłowo chorej kobiety?

– Tak.

– I ta kobieta utrzymuje, że jest prześladowana przez postacie z powieści, które sama wymyśliła?

– Coś w tym rodzaju.

– I ja mam teraz sprawdzić, czy halucynacje tej... jak jej tam?

– Przykro mi, Kai, ale zdradzę ci jej nazwisko tylko wtedy, kiedy będzie to naprawdę potrzebne.

Nawet jeśli oficjalnie już nie prowadzę praktyki lekarskiej, to jest ona, ściśle biorąc, pacjentką i chroni ją tajemnica lekarska.

W każdym razie tak długo, jak się da.

– Jak uważasz. Ale czy naprawdę wierzysz, że schizofreniczne ataki tej nowej pacjentki mogą mieć coś wspólnego ze zniknięciem twojej córki?

– Tak myślę.

– Wiesz, co o tym sądzę?

– Oczywiście – odpowiedział Viktor. – Uważasz, że kompletnie zwariowałem.

– Delikatnie powiedziane.

– Doskonale cię rozumiem, Kai. Ale zastanów się. To, co mi opowiedziała, nie może być zwykłym przypadkiem.

– Dlatego że ty tak uważasz?

Viktor zignorował zarzut.

– Mała dziewczynka, która cierpi na tajemniczą śmiertelną chorobę i pewnego dnia znika. W Berlinie.

– Pięknie – zgodził się Kai. – Ale co, jeśli cię okłamała? Jeśli jednak wie o Josy?

– Zapominasz, że nigdy publicznie nie wspominaliśmy o jej chorobie. Nie może o tym wiedzieć.

– Tak poradziła im policja. Chodziło o to, żeby tajemnicze objawy niewyjaśnionej choroby Josy, nie stały się pożywką dla żadnej sensacji prasy.

– A poza tym będziemy dzięki temu dysponowali informacją, która powie nam, że zgłosił się do nas rzeczywisty porywacz – wyjaśnił im wtedy młody szef ekipy dochodzeniowej. – Będziemy wiedzieli, czy to ktoś, kto porwał pańską córkę, czy tylko osoba, której chodzi o pańskie pieniądze.

I rzeczywiście na komunikat o zaginionej zgłaszało się wielu kombinatorów, którzy na pytanie: „Jak się czuje Josephine?”, odpowiadali: „Doskonale” albo: „Jak na okoliczności, w jakich się znalazła, całkiem dobrze”. A była to zdecydowanie błędna odpowiedź, jeśli pamiętać, że dziewczynka co najmniej raz dziennie miała atak spowodowany zaburzeniami krążenia, nawet kiedy nie była jeszcze w rękach porywaczy.

– Okay, doktorze – ciągnął detektyw. – Chora dziewczynka wyrwała się z domu. W Berlinie. Dla mnie do tego momentu fakty jeszcze się zgadzają. Ale potem? Co ma znaczyć ta gadanina o królownie, która mieszka w zamku na wyspie?

– Przeoczyłeś fakt, że Schwanenwerder w rzeczywistości jest wyspą, połączoną jedynie mostem z dzielnicą Berlin-Zehlendorf. Sam kiedyś żartobliwie powiedziałaś, że nasz dom nad Grosser Wannsee, zaprojektowany przez Schinkla, to „zamek”. A co dotyczy królewskiej córki, to Isabell często nazywała... nazywa Josy „księżniczką”, więc również tutaj zachodziłoby podobieństwo.

– Nie bierz mi tego za złe, w końcu pracuję dla ciebie już od czterech lat i zdążyliśmy się zaprzyjaźnić, ale jako przyjaciel mówię ci: to, co opowiedziała ta kobieta, przypomina mi mój horoskop

w gazecie, który jest utrzymany w tak ogólnikowej formie, że każdy może sobie z niego wybrać to, co mu pasuje.

– Mimo to. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym nie zrobił dla Josy wszystkiego, co w ludzkiej mocy.

– Okay. Ty jesteś szefem. Ale jednak chcę ci jeszcze raz uzmysłwić jedną rzecz: ostatnie wiarygodne zeznanie świadków pochodzi od tamtego starszego małżeństwa. Widzieli małą dziewczynkę wychodzącą z przychodni z mężczyzną. Nie domyślali się niczego złego, ponieważ przyjęli, że dziecku towarzyszy jego ojciec. To zeznanie zostało potwierdzone przez właściciela kiosku na rogu. Dziecko uprowadził mężczyzna w średnim wieku. Nie kobieta. Poza tym Josy miała dwanaście, a nie dziewięć lat.

– A co z niebieskim kotem? Znasz przecież ulubioną przytulankę Josy. Niebieskiego kota Nepomuka.

– Pięknie. Ale to wszystko nie ma sensu. Jeśli przyjmiemy, że wszystko to ma jakiś związek, to czego ta kobieta od ciebie chce? Co się za tym kryje? Jeśli to ona uprowadziła Josy, to dlaczego nie ukrywa się dalej, tylko jedzie za tobą aż na Parkum?

– Nie mówię, że moja pacjentka ma z tym coś wspólnego. Mówię tylko, że ona coś wie. Coś, co postaram się z niej wydobyć podczas następnych sesji terapeutycznych.

– Więc jeszcze się z nią spotkasz?

– Tak, zaprosiłem ją na jutro rano. Mam nadzieję, że przyjdzie, chociaż jak dotąd nie byłem dla niej zbyt miły.

– A dlaczego jutro nie zapytasz jej wprost?

– Jak sobie to wyobrażasz?

– Pokaż jej zdjęcie Josy. Zapytaj, czy poznaje tę dziewczynkę. A jeśli tak, to najlepiej od razu zadzwoń na policję.

– Nie mam tu jej dobrej fotografii. Tylko odbitkę z gazety.

– Mogę ci jakąś przefaksować.

– Niech będzie. Ale mimo to nie mogę jej użyć. Jeszcze nie.

– Dlaczego?

– Ponieważ ta kobieta w jednym punkcie na pewno mówi prawdę: ona jest chora. A jeśli naprawdę cierpi na schizofrenię, to jako lekarz muszę zdobyć jej zaufanie. Właściwie to już zasygnalizowała mi, że nie chce więcej mówić na ten temat. Jeśli jutro pośrednio dam jej do zrozumienia, że uważam ją za współniczkę przestępstwa, to ostatecznie zamknie się w sobie. Wtedy już nic z niej nie wydobydę. Nie zgodzę się na takie ryzyko tak długo, dopóki będę miał choć iskierkę nadziei, że Josy jeszcze żyje.

Nadzieja.

– Wiesz co? Nadzieja jest jak kawałek szkła w stopie. Jak długo w niej tkwi, sprawia ból przy każdym kroku. Kiedy jednak szkło zostanie wyjęte, to co prawda rana przez krótki czas krwawi i trzeba trochę czasu, aż wszystko się zagoi, ale w końcu znowu można normalnie chodzić. Ten proces nosi też nazwę żałoby. I uważam, że w końcu powinieneś pozbyć się tego szkła. Jezu! Minęły prawie cztery lata i w tym czasie mieliśmy o wiele lepsze wskazówki niż te pochodzące od kobiety, która sama kazała się zamknąć w domu wariatów.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Kai Strathmann udzielił w ten sposób Viktorowi odpowiedzi na drugie pytanie wywiadu.

– Dobrze, Kai. Obiecuję ci definitywnie przerwać poszukiwania córki, jeśli wyświadczysz mi teraz ostatnią przysługę.

– Jaką?

– Sprawdź jeszcze raz, czy dwudziestego szóstego listopada w pobliżu przychodni doktora Grohlkego doszło do karambolu samochodowego. Między 15.30 a 16.15. Możesz to dla mnie zrobić?

– Dobrze. Ale pod warunkiem, że przez ten czas ty nie będziesz robił żadnych głupot, tylko co najwyżej popracujesz nad tym idiotycznym wywiadem, jasne?

Viktor podziękował mu, unikając bezpośredniej odpowiedzi na pytanie. Kłamał tylko wtedy, kiedy już nie miał innego wyjścia.

Parkum, trzy dni przed poznaniem prawdy

B: Kto, poza rodziną, udzielił panu w tym czasie największej pomocy?

Viktor roześmiał się. Za kilka minut spodziewał się Anny, która miała przyjść na następną sesję. Nie był pewny, czy w ogóle przyjdzie. Jeszcze wczoraj, kiedy się żegnali, zostawiła to bez odpowiedzi, i teraz próbował skoncentrować się na pracy nad wywiadem. Żeby w ogóle móc myśleć o czymś innym niż o Charlotte (*lub Josy*), poszukał najłatwiejszego pytania.

Największa pomoc?

Tutaj nie musiał długo się zastanawiać. Odpowiedź składała się z jednego słowa: Alkohol.

Im więcej czasu upływało od zniknięcia Josy, tym więcej musiał pić, żeby utrzymać swój ból w szachu. Jeśli w pierwszym roku był to jeden łyk, to do niedawna potrzebował ponad szklanki przy okazji każdej ponurej myśli. Alkohol pomagał mu nie tylko zapomnieć. Dawał odpowiedź. Jeszcze lepiej, sam był odpowiedzią.

Pytanie: Czy gdybym bardziej uważał, żyłaby jeszcze?

Odpowiedź: Wódka.

Pytanie: Dlaczego tak długo czekałem beczynn timer w poczekalni?

Odpowiedź: Obojętnie jaka. Ważne, żeby dużo.

Viktor odchylił głowę do tyłu i zatęsknił za dalszym ciągiem wczorajszej rozmowy. Kai jeszcze się nie zgłosił, żeby go poinformować, czy dowiedział się czegoś o wypadku. Jednak Viktor nie chciał tak długo czekać. Musiał wiedzieć, jak dalej potoczy się opowieść Anny, potrzebował nowych wskazówek, które mógłby sprawdzić pod kątem związku ze sprawą, nawet jeśli było to czystą fantazją. No i potrzebował się napić.

Viktor ponownie roześmiał się krótko. Oczywiście mógłby sobie wmówić, że odrobina rumu w herbacie byłaby wskazana z powodu jego coraz bardziej widocznego przeziębienia. I zapewne nawet by mu pomogła. Ale na szczęście był na tyle rozsądny, że zostawił swojego najlepszego przyjaciela i pomocnika na stałym lądzie. Przyplął na Parkum, nie zabierając ze sobą ani kropli. Zrobił to nie bez powodu. Otóż Mr. Jim Beam i jego brat Jack Daniels byli jedynymi pacjentami, z którymi przez ostatnie lata prowadził intensywne rozmowy. Do tego stopnia intensywne, że bywały dni, kiedy jedyna jasna myśl, na jaką potrafił się zdobyć, dotyczyła jednego: kiedy przyjdzie pora, żeby znowu pociągnąć łyk z butelki.

Początkowo to Isabell próbowała wyciągnąć go z nałogu. Perswadowała mu, opiekowała się nim jak matka, litowała się nad nim i coraz częściej błagała.

Później, po okresie wściekania się, zrobiła to, co radzą krewnym osób uzależnionych grupy wsparcia: pozwoliła mu upaść na dno. Bez wcześniejszego ostrzeżenia wyprowadziła się do hotelu i przestała się z nim kontaktować. Zauważył pustkę w domu dopiero wówczas, kiedy skończyły się zapasy, a nie miał siły, aby przejść całą drogę przez wyspę wzdłuż plaży do stacji benzynowej.

Wraz z utratą sił pojawiły się też bóle. A razem z bólem wróciły wspomnienia.

O pierwszych ząbkach Josy.

O narodzinach.

O pójściu do szkoły.

O rowerze na Gwiazdkę.

O wspólnych przejazdach samochodem.

I o Albercie.

Albert.

Viktor patrzył przez szybę w oknie na ciemne morze i był tak zatopiony w myślach, że nawet nie zwrócił uwagi na ciche kroki za swoimi plecami.

Albert.

Gdyby miał wymienić powód, dla którego przerwał picie, to okazałoby się, że nakłonił go do tego ten mały stary mężczyzna, którego nawet nie znał.

Wcześniej, kiedy żył jeszcze normalnie, każdego popołudnia około 17.00 wracał z pracy do domu autostradą w kierunku Spanische Allee. Zaraz za rozjazdem przy wieży radiowej, na wysokości zrujnowanych trybun starego toru Avus, z których dawniej widzowie śledzili letnie wyścigi samochodowe, stał starszy mężczyzna i obserwował wzmożony ruch pojazdów w czasie popołudniowego szczytu. Czekał obok rozklekotanego damskiego roweru, na którym przyjechał, koło przerwy w ogrodzeniu Messedamm. Było to jedyne miejsce między dzielnicą Wedding a Poczdamem, w którym zrezygnowano z ekranów akustycznych i osłon bezpieczeństwa. Za każdym razem, kiedy Viktor mijał go z prędkością stu kilometrów na godzinę, zadawał sobie pytanie, co skłania tego mężczyznę, żeby przypatrywać się tylnym światłom niekończącego się sznura samochodów. Viktor zawsze jechał swoim volvo zbyt szybko, żeby mieć szansę przyjrzeć się wyrazowi twarzy mężczyzny. Chociaż widział go prawie każdego dnia, to gdyby stanął naprzeciw niego na ulicy, nie rozpoznałby go.

Pewnego dnia Josy również zauważyła mężczyznę, kiedy wracali do domu razem z Isabell z niemiecko-francuskiego festynu ludowego.

– Po co stoi tam ten pan? – spytała Josy i odwróciła się do tyłu, kiedy go mijali.

– Jest trochę pomyłony – zdiagnozowała trzeźwo Isabell, ale Josy nie poprzestała na tym.

– Chyba nazywa się Albert – wymamrotała cicho do siebie; mimo to Viktor usłyszał, co powiedziała.

– Dlaczego Albert?

– Bo jest stary i samotny.

– Ach, więc tak nazywają się starzy i samotni panowie?

– Tak – zabrzmiała jej prosta odpowiedź i tym zakończyła całą sprawę. Odtąd nieznajomy na skraju drogi miał imię i Viktor czasem przyłapywał się na tym, że pozdrawia go ruchem głowy, kiedy przejeżdża obok.

– Cześć, Albert!

Dopiero dużo później, kiedy pewnego dnia obudził się z upojenia alkoholowego na marmurowej posadzce łazienki, uzmysłowił sobie, że Albert też czegoś szuka. Czegoś, co gdzieś zgubił, i wierzył, że znajdzie to w którymś z przejeżdżających samochodów. Albert musiał być pokrewną duszą. Ledwie przyszło to Viktorowi na myśl, z miejsca usiadł za kierownicą swojego volvo i pojechał na Messedamm przy Deutschlandhalle. Jednak już z daleka zobaczył, że tego dnia Albert nie stoi na swoim zwykłym miejscu. Także przez następne dni, kiedy Viktor przyjeżdżał, żeby się za nim rozejrzeć, samotny mężczyzna się nie pokazał.

A Viktor miał wielką ochotę go zapytać: „Przepraszam, czego pan szuka? Czy pan też kogoś stracił?”

Ale Albert zniknął na dobre. Nigdy więcej się nie pojawił.

Jak Josy.

Kiedy osiemnastego dnia, po nieskutecznych poszukiwaniach, Viktor wracał do domu, żeby otworzyć nową butelkę, w drzwiach czekała na niego Isabell z listem w rękę. Była to propozycja udzielenia wywiadu dla „Bunte”.

– Doktorze Larenz?

Pytanie raptownie wyrwało Viktora z jego snu na jawie. Wstał tak gwałtownie, że uderzył prawym kolanem w biurko. Jednocześnie zakrztusił się i zaczął kaszleć.

– Pewnie po raz kolejny powinnam przeprosić – powiedziała Anna, która zniecka stanęła za nim, ale najwyraźniej nie miała zamiaru do niego podejść ani mu pomóc. – Nie chciałam pana znowu przestraszyć, ale długo pukałam i drzwi same się otworzyły.

Viktor skinął głową, pozornie akceptując to tłumaczenie, chociaż miał pewność, że drzwi były

zamknięte. Dotknął ręką głowy i spostrzegł, że pot wystąpił mu na czoło.

– Wygląda pan gorzej niż wczoraj, doktorze. Lepiej sobie pójdę.

Viktor zauważył, że Anna intensywnie mu się przygląda, i jednocześnie uświadomił sobie, że z tego przestrachu jeszcze nic nie powiedział.

– Nie – zaprotestował nieco głośniejszym głosem, niż zamierzał.

Anna przechyliła głowę na bok, jakby nie rozumiała, co powiedział.

– Nie – powtórzył Viktor – to naprawdę nie jest konieczne. Proszę, niech pani usiądzie. Dobrze, że pani przysłała. Mam kilka pytań.

Anna zdjęła płaszcz i szal, i wygodnie usadowiła się na sofie. Viktor nie opuścił swojego starego miejsca przy biurku. Udawał, że szuka w komputerze pliku ze swoimi notatkami dotyczącymi jej sprawy. W rzeczywistości wszystkie istotne fakty miał w głowie i chciał tylko zyskać trochę czasu, aby się uspokoić i móc zacząć zadawać pytania.

Kiedy jego puls wrócił do normalnego rytmu, Viktor zdał sobie sprawę, że dzisiaj musiałby zebrać wszystkie siły, żeby móc uważnie śledzić opowieść Anny. Czuł się jak po przehulanej nocy: niewyspany, wyczerpany i słaby. Jakby tego było mało, poczuł silny ból rozprzestrzeniający się od karku po czubek głowy. Złapał się za pulsujące skronie i spojrzał przez okno na morze.

Załamujące się fale przypominały kobaltowy atrament. Im bardziej gęstniały chmury, tym woda stawała się ciemniejsza. Widzialność nie przekraczała teraz dwóch mil morskich i wydawało się, że horyzont z każdą minutą przesuwa się bliżej wyspy.

W odbiciu szyby Viktor zobaczył, że Anna wzięła sobie filiżankę herbaty i jest gotowa do rozmowy. Odwrócił się do niej razem z krzesłem i powiedział:

- Najchętniej wróciłbym do miejsca, gdzie wczoraj skończyliśmy.
- Proszę bardzo.

Anna uniosła do ust kruchą filiżankę, a Viktor zadał sobie pytanie, czy delikatnie naniesiona jasnoczerwona szminka zostawi ślad na miśnieńskiej porcelanie.

- Powiedziała pani, że Charlotte uciekła z domu, nie informując o tym rodziców?
- Tak.

Josy nigdy by tego nie zrobiła, pomyślał Viktor. Zastanawiał się nad taką możliwością przez całą noc i doszedł do wniosku, że taki powód nie mógł być przyczyną zniknięcia jego córki. *Nie była dzieckiem, które ucieka z domu.*

– Charlotte opuściła dom rodziców z własnej woli, aby odnaleźć przyczynę swojej tajemniczej choroby – powiedziała Anna. – O tym mówi treść książki od pierwszej do dwudziestej trzeciej strony. O chorobie, bezradności akademickiej medycyny i ucieczce. Doszłam do tego momentu, ale dalej nie napisałam już ani jednego słowa.

- Tak, już to pani mówiła. Ale czy był jakiś szczególny powód?

– Tak. Odpowiedź jest całkiem banalna. Po prostu nie wiedziałam, jak dalej ma się potoczyć ta historia. Więc zapisałam szkic w komputerze i zapomniałam o niedokończonym projekcie.

- Do momentu aż Charlotte się usamodzielniała?

– Właśnie tak. I to było straszne. Jak pan wie, już wcześniej miałam liczne napady schizofrenii. Widziałam nierealne kolory, słyszałam głosy i dźwięki, ale postać Charlotte była punktem kulminacyjnym. Stała się urojeniem najwierniejszym spośród wszystkich postaci z moich książek.

Nazbyt rzeczywistym?

Viktor sięgnął po filiżankę z herbatą i zauważył, że przeziębienie zaatakowało już jego nerwy smakowe. Nie potrafił rozróżnić, czy herbata naprawdę jest tak niedobra, czy przyczyną gorzkawego posmaku są krople do nosa, które ciągle zapuszczał.

- Mówiła pani, że Charlotte omal nie przejechała samochód.
- Wtedy zobaczyłam ją po raz pierwszy.
- I potem odeszła pani nią z miejsca wypadku?

– Raczej odwrotnie. – Anna zaprzeczyła ruchem głowy. – To nie ja odeszłam z Charlotte, to ona poprosiła mnie, żebym poszła za nią.

- Dlaczego?

– Chciała, żebym wreszcie znowu zaczęła dalej pisać moją książkę. Zapytała mnie dosłownie: „Dlaczego są tylko dwa rozdziały? Co będzie dalej? Nie chcę być na zawsze chora”.

- A więc stworzona przez panią postać książkowa domagała się od pani dokończenia rozpoczętej

historii?

– Tak było. I od razu powiedziałam Charlotte prawdę. Że nie mogę nic dla niej zrobić, ponieważ sama nie wiem, jak dalej ma się potoczyć ta opowieść.

– Jak na to zareagowała?

– Chwyła mnie za rękę i powiedziała: „Chodź ze mną, pomogę ci. Pokażę ci miejsce, gdzie wszystko się zaczęło. Może tam wpadnie ci do głowy, jak zakończyć naszą historię”.

Naszą historię?

– Co to było za miejsce?

– Nie wiem. Gdzieś za Berlinem. Podróż do tego miejsca przypominam sobie tylko fragmentarycznie.

– Mimo to proszę opowiedzieć mi o tym możliwie jak najdokładniej – poprosił Viktor.

– O ile pamiętam, jechałyśmy moim samochodem przez miasto na zachód. Proszę mnie nie pytać o dokładny zjazd. Ale przypominam sobie, że Charlotte zapięła pasy. Rozumie pan? Nic nie utkwiło mi tak w świadomości, jak fakt, że osoba, którą sobie uroiłam, najwyraźniej obawia się wypadku.

Tak. Rozumiem. Josy była dobrze wychowana. Isabell zawsze zwracała na to uwagę.

– Jak długo mniej więcej jechałyście?

– Dobrą godzinę. Droga przebiegała przez większą miejscowość, obok wpisanego na listę obiektów chronionych dawnego, poradzieckiego osiedla. W każdym razie tak mi się wydaje.

Słuchając tego, Viktor skulił się na krześle jak na fotelu u dentysty.

– W każdym razie na wzniesieniu w lesie stała prawosławna cerkiew. Zostawiłyśmy ją za sobą, przejechałyśmy przez most, jeszcze kawałek szosą i skręciłyśmy na utwardzoną leśną drogę.

To jest...

– Przejechałyśmy nią może jeszcze kilometr i zatrzymałyśmy się w wąskiej przesiece, gdzie zostawiłam samochód.

To jest niemożliwe...

Viktor z trudem powstrzymał impuls, żeby zerwać się na równe nogi i wykrzyknąć Annie w twarz kolejne pytania. Znał opisaną drogę. Dawniej sam często nią jeździł. Niemal w każdy weekend.

– Dokąd pani poszła, kiedy wysiadłyście z samochodu?

– Udałyśmy się wydeptaną ścieżką. Była tak wąska, że trzeba było iść gęsiego. Na jej końcu stał mały drewniany bungalow, podobny do domku letniskowego, tylko nowocześniejszy. Był pięknie położony.

W środku lasu, pomyślał Viktor i w myślach już wyjmował Annie następne słowa z ust.

– Stał na odludziu. Jak okiem sięgnąć, nie było widać nic poza sosnami, bukami i brzozi. Wszystkie drzewa liściaste niedawno zrzuciły błyszczące kolorowe liście, po których szłyśmy teraz jak po miękkim dywanie. Mimo zimnej listopadowej pogody las miał w sobie dziwne ciepło. Był przepiękny. Tak piękny, że dzisiaj nie jestem już pewna, czy rzeczywiście był realny, czy był tylko złudzeniem. Jak Charlotte.

Viktor też nie miał w tym momencie pewności, co by wołał. Czy żeby napady schizofrenii Anny mogły mieć coś wspólnego ze zniknięciem jego córki, czy też żeby to życzeniowe myślenie spletało mu tylko złośliwego figla. Jak dotąd, wszystko mogło być tylko makabrycznym zbiegiem okoliczności. W podberlińskim regionie Havelland jest przecież zatrzęsienie weekendowych domków.

Ale jest tylko jeden, który...

– Przypomina pani sobie może, czy coś usłyszała, kiedy pani stanęła przed bungalowem?

Anna spojrzała na niego pytająco.

– Czy to ważne dla mojej terapii?

Nie. Ale dla mnie tak.

– Tak – skłamał Viktor.

– Szczerze mówiąc, nic nie usłyszałam. Zupełnie nic. Było tak cicho jak na szczycie samotnej góry, dwa tysiące metrów nad poziomem morza.

Viktor przytaknął statecznie, chociaż najchętniej zrobiłby to z gwałtownością godną koncertu

rockowego. Była to dokładnie taka odpowiedź, jakiej się spodziewał. Wiedział, gdzie Charlotte zaprowadziła Annę. Cisza w lasach otaczających jezioro Sacrow między Szpandau a Poczdamem była tak uderzająca, prawie namacalna, że zazwyczaj była pierwszą rzeczą zauważaną w tym miejscu przez mieszczuchów.

Wydawało się, że Anna potrafi czytać w myślach Viktora.

– Oczywiście zapytałam Charlotte, gdzie jesteśmy, ale tylko spojrzała na mnie zdziwiona. „Przecież znasz to miejsce”, odpowiedziała. „To nasz rodzinny domek weekendowy. Spędzałam tu z rodzicami każde lato. I tutaj przeżyłam ostatni piękny dzień mojego życia. Zanim wszystko się zaczęło”.

– Co się zaczęło? – zapytał Viktor.

– Jej choroba, tak uznałam. Ale w tamtym momencie nie chciała mi zdradzić żadnych szczegółów. Przeciwnie. Prawie z wściekłością wskazała na dom i spytała: „Właściwie, to która z nas jest pisarką? To ty mi powiedz, co wydarzyło się w środku!”

– Wiedziała to pani?

– Niestety nie. Ale Charlotte wystarczająco często powtarzała mi przez całą drogę, że tak długo będzie mnie nachodzić, aż skończę książkę o niej. Musiałam więc wyrobić sobie obraz wnętrza domu. Stłukłam szybę w drzwiach tylnego wejścia i wgramoliłam się do środka przez okno jak włamywacz.

To nie ma sensu, pomyślał Viktor. Josy wiedzialaby, gdzie leży klucz.

– Zrobiłam to wszystko w nadziei, że znajdę tam jakikolwiek punkt zaczepienia, który przyczyni się do poznania powodu choroby Charlotte.

– I co? Udało się pani?

– Znowu nie. Ale nie wiedziałam też, czego dokładnie mam szukać. Jedyne, co od razu mnie zaskoczyło, to wielkość bungalowu. Z zewnątrz oceniałabym, że jednopiętrowy budynek ma maksymalnie trzy pokoje. Ale oprócz dwóch łazienek, przestronnej kuchni i salonu z kominkiem były tam jeszcze przynajmniej dwie sypialnie.

Trzy, poprawił w duchu Viktor.

– Przeszukałam wszystkie komody, szafy i regały, nawet spluczki w łazienkach. Na szczęście poszło to bardzo szybko, ponieważ dom był urządzony nadzwyczaj skromnie. Skromnie, ale drogo.

Phillippe Starck, trochę z Bauhausu. Inicjatywa Isabell.

– A co robiła Charlotte, kiedy pani przeszukiwała dom? – spytał Viktor.

– Czekala przed domem. Jak powiedziała mi wcześniej, jej noga nigdy więcej tam nie postanie. Zbyt wiele złego wydarzyło się tamtego dnia. Bez przerwy jednak udzielała mi wskazówek, które głośno przekazywała sprzed frontowych drzwi.

Złego?

– Na przykład co?

– Wszystko to było bardzo dziwne. Mówiła zagadkami. Coś takiego jak: „Nie szukaj tego, co jest. Rozglądaj się za tym, czego brakuje!”

– Rozumiała pani, co chciała przez to powiedzieć?

– Nie. Ale oczywiście nie miałam wtedy okazji, żeby dokładniej ją wypytać.

– Dlaczego?

– Ponieważ nagle wydarzyło się coś, o czym niechętnie sobie przypominam, doktorze Larenz.

– Co takiego?

Viktor ujrzał w oczach Anny ten sam wyraz niechęci, który widział już wczoraj, kiedy chciała przerwać rozmowę.

– Czy nie moglibyśmy porozmawiać o tym jutro? Nie czuję się zbyt dobrze.

– Nie. Lepiej będzie, żebyśmy mieli to już za sobą – nalegał Viktor. Aż się przestraszył, że to kłamstwo tak łatwo przeszło mu przez usta. To, co tu robił, nie miało nic wspólnego z regularną sesją terapeutyczną. To było przesłuchanie.

Przez następne sekundy Anna patrzyła na niego niezdecydowanie. Viktor pomyślał najpierw, że znowu wszystko zepsuł i ona zaraz wstanie i wyjdzie z jego domu. Jednak po chwili złożyła ręce na kolanach, lekko westchnęła i zaczęła kontynuować swoją opowieść.

Nagle w bungalowie zrobiło się ciemno. Było chyba około wpół do piątej. W końcu listopada słońce zachodzi mniej więcej o tej porze. Dlatego wróciłam do salonu i wzięłam zapalniczkę, którą chciałam trochę oświetlić korytarz. Wtedy w słabym świetle płomienia spostrzegłam, że w drugim końcu przedpokoju przeoczyłam jeszcze jedno pomieszczenie. Chyba gospodarcze, na domowe sprzęty.

Lub pokój Josy.

– Chciałam go jeszcze sprawdzić, kiedy nagle usłyszałam głosy.

– Jakie głosy?

– Właściwie był to tylko jeden głos. I też nic nie mówił. Usłyszałam płacz człowieka. Cichy. Nie było to szlochanie. Bardziej pojękiwanie. I dochodził z pokoju na końcu korytarza.

– Skąd pani to wiedziała?

– Ponieważ stawał się głośniejszy, kiedy się zbliżałam.

– Nie bała się pani?

– Oczywiście, że się bałam. Ale prawdziwa panika ogarnęła mnie dopiero wówczas, kiedy Charlotte zaczęła naraz krzyczeć przed domem.

– Dlaczego krzyczała?

Viktor dotknął ręką szyi, która podczas mówienia zaczęła sprawiać mu nieznośny ból.

– Chciała mnie ostrzec. „Idzie!”, wrzeszczała. „Idzie!”

– Kto?

– Nie wiem. Ale wtedy zauważyłam, że pojękiwanie ustało. Zamiast tego klamka przy drzwiach przed moimi oczami powoli poruszyła się w dół. A kiedy przeciąg spowodowany otwarciem drzwi zgasił płomień zapalniczki, widok mnie obezwładnił.

– Widok czego?

– Tego, przed czym z dworu chciała ostrzec mnie Charlotte, i co nagle znalazło się tuż obok mnie.

Zadzwoił telefon, uniemożliwiając Viktorowi zadanie kolejnego pytania. Zdecydował się odebrać z drugiego aparatu w kuchni. Isabell postanowiła w letnim domu na Parkum zainstalować przynajmniej jeden nowoczesny telefon z klawiaturą.

– Słucham.

– Nie wiem, czy mam dla ciebie dobrą, czy złą wiadomość – odezwał się Kai i bez zbędnych formalności od razu przeszedł do rzeczy.

– Mów, co tam masz, nie rób ceregieli – wyszeptał Viktor do słuchawki, ponieważ nie chciał, aby coś z ich rozmowy dotarło do uszu Anny.

– Zaprząłem do roboty jednego z moich najlepszych ludzi i naturalnie sam też szukałem. I ustaliłem ponad wszelką wątpliwość dwie rzeczy. Po pierwsze: tego dnia wydarzył się wypadek na Uhlandstrasse.

Serce Viktora na sekundę przestało bić, a zaraz potem raptownie przyśpieszyło.

– Po drugie: wykluczone, żeby ten wypadek miał coś wspólnego z porwaniem.

– Nie rozumiem, jak możecie być tego pewni?

– Ponieważ wtedy na jezdnię wtargnął jakiś pijak i o mało co nie został przejechany przez samochód. Potwierdzają to zeznania wielu świadków. Stanowczo nie było tam żadnego dziecka.

– To znaczy, że...

– ...że twoja pacjentka zapewne jest chora, ale ręczę, że nie ma nic wspólnego z naszym przypadkiem.

– Josy nie jest przypadkiem!

– Przepraszam, wybacz. Oczywiście. Niezręcznie się wyraziłem.

– Już dobrze, okay. Ja też cię przepraszam. Nie chciałem na ciebie naskoczyć. Chodzi tylko o to, że myślałem, że wreszcie znaleźliśmy jakiś punkt zaczepienia.

– Rozumiem.

Nie. Nie rozumiesz, pomyślał Viktor. I nawet nie mam ci tego za złe. Ponieważ nie przeżyłeś tego, co ja muszę przeżywać. Jeszcze nigdy nie byłeś tak zrozpaczony, żeby chwycić się każdego źdźbła.

– Czy odnaleziono tego człowieka?

– Którego?

– Tego pijanego. Czy został zatrzymany?

– Nie. Ale to nic nie zmienia, ponieważ nie widziano wtedy ani kobiety, ani dziecka. Świadkowie zgodnie zeznali, że mężczyzna, zataczając się, wszedł na wielopoziomowy parking Kudamm-Karree. Jednak nie znaleziono go tam później. Prawdopodobnie wmieszał się w tłum klientów marketu z artykułami elektronicznymi. To tyle, co wiem...

– Dobrze, Kai. Dziękuję za informację. Muszę teraz kończyć.

– Czy ona jest u ciebie?

– Tak. W tej chwili siedzi w pokoju obok i czeka na mnie.

– I jak cię znam, zdążyłeś już ją przepytąć.

– Tak.

– Okay. Oszczędź mi szczegółów. Zapewne znowu masz dla mnie jakieś nowe zadanie. Odkryłeś nową zbieżność, mam rację?

– Hm.

– A więc posłuchaj mnie teraz uważnie. Dam ci mądrą radę: kimkolwiek jest ta kobieta, ona źle na ciebie wpływa. Pozbądź się jej! Chciałeś być na wyspie sam. A więc do cholery zrób tak. Są inni psychiatrzy, którzy mogą jej pomóc.

– Nie mogę jej tak po prostu spławić. Utknęliśmy tutaj. Z powodu sztormu prom przestał kursować.

– W takim razie przynajmniej przestań się z nią spotykać.

Viktor wiedział, że Kai ma rację. Chciał na wyspie nabrać dystansu do tej sprawy, ale zamiast tego jego myśli krążyły teraz wyłącznie wokół Josy. Również dzisiaj podczas sesji wydłubywał z relacji Anny wyłącznie takie szczegóły, które były dla niego wygodne. I przymykał oczy na detale, które nie chciały pasować do układanki. Charlotte miała dziewięć, a nie dwanaście lat. Nigdy nie uciekłyby z domu i wiedziałyby, gdzie jest schowany klucz do bungalowu.

– A więc?

Viktor nie słuchał, co Kai ma mu do powiedzenia.

– Co więc?

– Obiecałeś mi, że ostatecznie zaprzestasz poszukiwań, kiedy wykonam dla ciebie to ostatnie zlecenie. Miałeś przestać rozdrapywać stare rany, gdy tylko sprawdzę ten wypadek.

– Tak, wiem. Ale...

– Nie. Nie ma żadnego ale.

– ...ale muszę wyjaśnić ci jeszcze jedną rzecz – ciągnął Viktor, nie dając się zbić z tropu.

– Co takiego?

– Nie ma starych ran. One są świeże. Od czterech lat.

Viktor delikatnie odłożył słuchawkę na widelki i chwiejnym krokiem, jak na statku przy małej fali, wrócił do Anny do salonu.

– Złe wiadomości?

Stała już przy sofie i szykowała się do wyjścia.

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Chce pani już iść?

– Tak. Sesja z panem była znowu bardziej męcząca, niż się spodziewałam. Chciałabym się teraz położyć na godzinę w swoim pokoju. Czy moglibyśmy kontynuować jutro?

– Tak. Czemu nie.

Po telefonie sprzed chwili Viktor nie był już pewny, czego tak właściwie chce.

– Najlepiej, żeby pani przedtem zadzwoniła. Mam trochę zaległości w pracy. Wie pani przecież, że w zasadzie już nie praktykuję.

– Dobrze.

Viktor miał wrażenie, że Anna szuka zmiany w wyrazie jego twarzy. Ale nie dała po sobie poznać zdziwienia z powodu kolejnej zmiany jego nastroju.

Kiedy wreszcie wyszła, Viktor spróbował złapać telefonicznie żonę w Nowym Jorku. Ale zanim znalazł w palmtopie numer jej hotelu, po raz drugi w tym dniu zadzwonił telefon.

– Zapomniałem jeszcze o jednym.

Kai.

– Nie ma to związku z naszym, hm, z Josy. Ale myślę, że lepiej powiem ci to teraz, zanim zima stanie się ostrzejsza, a szkody większe.

– Co takiego?

– Dzwonili do mnie z twojej firmy ochroniarskiej, ponieważ nie mogli skontaktować się ani z twoją żoną, ani z tobą.

– Ktoś się do nas włamał?

– Nie. Nie włamał. Tylko coś uszkodził. Bądź spokojny, nie chodzi o waszą willę.

– A o co?

– O wasz domek weekendowy. Bungalow w Sacrow. Jakiś włóczęga wybił szybę w drzwiach tylnego wejścia.

Widział go. Choć był od niego oddalony o ponad czterysta sześćdziesiąt dwa kilometry w linii prostej i dzieliło ich blisko pięćdziesiąt mil morskich wody, to widział go. Jego i bungalow. Nie potrzebował nic więcej, wystarczyły mu szmery dochodzące z telefonu, żeby odtworzyć w myślach obraz detektywa w swoim domku weekendowym nad jeziorem Sacrow. Wysłał go tam natychmiast po ich ostatniej rozmowie telefonicznej, żeby sprawdził, co tam się wydarzyło. I potwierdził opowieść Anny.

– Jestem teraz w kuchni.

Gumowe podeszwy adidasów Kaia zapiszczały, a fale radiowe przeniosły to aż na Parkum.

– I co? Czy jest tam cokolwiek, co rzuca się w oczy? – Viktor wcisnął słuchawkę między ramię a podbródek i podszedł z ciężkim aparatem do sofy. Sznur był jednak zbyt krótki, tak że nie mógł na niej usiąść, stanął więc na środku salonu.

– Nie widzę nic szczególnego. Sądząc po zapachu i kurzu, od dawna nie robiliście tu żadnej imprezy.

– Od czterech lat – skomentował krótko Viktor i wiedział, że Kai ugryzł się teraz w język.

– Przepraszam.

Przejsie kilku metrów przez las od samochodu do bungalowu sprawiło, że ten ważący sto dwadzieścia kilogramów mężczyzna zalał się potem. Trzymał komórkę z boku przy ustach, a mimo to w telefonie Viktora rozlegały się trzaski, kiedy Kai od czasu do czasu dyszał w słuchawkę.

– A więc jedyne co jest nie tak, to jak dotąd zbita szyba w tylnych drzwiach. Ale wątpię, żeby to miało coś wspólnego z Josy. Niezależnie od tego, co mówi Anna.

– Dlaczego?

– Ponieważ ślady są za świeże. Okno zostało zбите dopiero przed kilkoma dniami, a nie przed miesiącami, a cóż dopiero latami.

Podczas gdy Viktor zadawał następne pytanie, Kai otworzył wszystkie szafki i lodówkę.

– Jak można poznać po szkle, kiedy zostało rozbite okno?

– Nie po szkle. Po podłodze. W obrębie tylnych drzwi jest położony parkiet. Gdyby szyba była zbita od dłuższego czasu, drewno musiałoby wykazywać jakieś oznaki wpływów atmosferycznych. Dziura jest na tyle duża, że do środka bez przeszkód może się dostać deszcz, śnieg i wszelkie śmieci. Ale cała podłoga przy drzwiach jest sucha i tak samo zakurzona jak reszta domu. Poza tym nie widzę żadnego robactwa, które...

– No już dobrze, dobrze. Wierzę ci.

Viktor znowu wrócił do stolika przy kominku, na którym stał telefon, ponieważ aparat powoli zaczynał mu ciążyć.

– W wizji Anny Charlotte wysłała ją do bungalowu, żeby zobaczyła, czy czegoś nie brakuje. Czy możesz to sprawdzić?

– Jak sobie to wyobrażasz? Nie mam kompletnej listy przedmiotów z waszego domu. Może brakuje mieszadła do spieniania mleka? Albo obrazu Picassa w salonie? Skąd mam to wiedzieć? W każdym razie w lodówce nie ma piwa, jeśli o to ci chodzi.

– Zaczynaj, proszę, od pokoju Josy. – Viktor zignorował żart. – Jest na końcu korytarza, naprzeciwko łazienki.

– Rozkaz.

Gumowe podeszwy butów Kaia przestały piszczeć, ponieważ teraz nie szedł już po laminacie, lecz po terakocie. Viktor zamknął oczy i w duchu odliczył piętnaście kroków, których potrzebował detektyw, aby dotrzeć do drzwi ze sztucznego tworzywa.

„Przyjaciele są mile widziani”, widniał napis na plastikowym szyldzie, co Kai pewnie teraz czytał w świetle latarki, zanim otworzył drzwi. Skrzywienie zawiasów zasygnalizowało Viktorowi, że dobrze obliczył czas.

- Jestem w środku.
- No i co?
- Stoję na progu i patrzę do środka. Wszystko okay.
- Opisz mi, co widzisz.

– Normalny pokój dziecienny. Pojedyncze łóżko z pożąłkłym baldachimem stoi równolegle do okna. Przed łóżkiem leży futrzak i siedlisko roztoczy, jeśli wolno mi to zauważyć. Typuję, że to z niego bierze się ten zapach stęchlizny.

– Co jeszcze widzisz?

– Plakat z Ernim i Bertem. Ogromny i za szkłem, w czarnej ramie. Wisi tak, że kiedy leży się na łóżku, to patrzy się prosto na niego.

– To...

Viktor wytarł wierzchem dłoni łzę w kąciuku prawego oka i połknął resztę zdania, żeby Kai nie mógł usłyszeć jego łamiącego się głosu.

...prezent ode mnie.

– Wiem, wiem, to z *Ulicy Sezamkowej*. A od razu, kiedy wchodzi się z drzwi, po lewej stronie stoi obowiązkowy regał z Ikei z pluszowymi zwierzakami, futrzany słoń, jakieś postacie z Disneya...

– Czekaaj, czekaaj... – Viktor przerwał detektywowi.

– Co?

– Wróć do łóżka. Połóż się na nim.

– Po co?

– Wyświadczyć mi tę przysługę. Połóż się na łóżku!

– Ty jesteś szefem.

Trzy kroki. Chrobot. Kasłanie. Po chwili Kai znowu mówił do komórki.

– Mam nadzieję, że łóżko wytrzyma mój ciężar. Sprężyny już zaczęły protestować.

– Okay. A teraz jeszcze raz się rozejrzyj. Co widzisz?

– Więc, po lewej jest las. W każdym razie tak się domyślam, ponieważ szyby są bardzo brudne.

I jak już mówiłem: na wprost mam obraz na ścianie.

– Nic więcej?

– Po prawej stoi regał i...

– Nie, nie – przerwał mu Viktor. – Bezpośrednio przed tobą. Nic tam więcej nie stoi?

– Nie. I mam teraz dla ciebie propozycję... – Krótkie zakłócenie atmosferyczne połknęło dwa słowa Kaia.

– A teraz... wstaję z... okay?

– Okay.

– Dość tej zabawy. Teraz powiedz mi, czego mam szukać w tym pokoju.

– Dobrze. Daj mi chwilę.

Viktor zamknął oczy, żeby silniej wrócić pamięcią w to miejsce. Z powrotem do Sacrow. Znalazł się tam w ułamku sekundy: otworzył frontowe drzwi, zdjął buty i schował je do indyjskiej szafki w sieni. Skinął głową Isabell, która leżała na białej kanapie Rolfa Benza przed otwartym kominkiem i czytała „Galę”. Poczł zapach palących się gałęzi jodłowych. Poczł ciepło, jakie promieniuje na dom, w którym żyją szczęśliwi ludzie. I usłyszał muzykę, która dochodziła z pokoju na tyłach. Powoli zdjął płaszcz i poszedł do Josy. Muzyka stała się głośniejsza. Nacisnął klamkę, a kiedy otworzył drzwi, na krótko oślepiło go światło, które wpadało do środka przez okno. I potem ją zobaczył. Josy siedziała przy swojej zabawkowej toalecie i wypróbowała nowy pomarańczowo-żółty lakier do paznokci, który pożyczyla od swojej najlepszej przyjaciółki. Muzyka była tak głośna, że nie usłyszała jego wejścia. Stacja, która była włączona nazywała się...

– Czego brakuje? – Kai przerwał jego myśli. Viktor otworzył oczy.

MTV.

– Telewizora.

– Telewizora?

– Tak, Sony.

– Nie. Tu go nie ma.

– A toaletka zabawka obok, z okrągłym kryształowym lusterkim?

– Nie ma jej w tym pokoju.

– Tego wszystkiego brakuje.

– Nie ma dziecięcej toaletki i telewizora? Nie zrozum mnie źle, ale to nie wygląda na zwykłe włamanie.

– No właśnie. Bo to nie jest zwykłe włamanie.

Ponieważ opowieść Anny ma związek z Josy. Jakiś niewątpliwie ma. I ja go odkryję.

– Wszystko jasne. Ale czy nie byłoby lepiej zadzwonić na policję? Bądź co bądź coś zostało skradzione.

– Nie. Jeszcze nie. Ale teraz proszę cię, sprawdź inne pokoje. A może w pokoju Josy rzuci ci jeszcze coś dziwnego w oczy.

– No dobrze... – Znowu zaszeleściło w słuchawce i Viktor domyślił się, że Kai drapie się w tył głowy. W jedynym miejscu, gdzie jeszcze miał włosy.

– No i co?

– To, co teraz powiem, być może zabrzmi głupio...

– No mów wreszcie.

– Myślę, że w pokoju brakuje czegoś więcej niż tylko jakiegoś mebla.

– Czego jeszcze?

– Atmosfery. – Kai zakasłał nerwowo.

– Co takiego?

– No, tak. Nie znam na to lepszego słowa. Ale byłbym złym detektywem, gdybym nie kierował się własnym instynktem. A ten mówi mi, że to nie jest pokój dwunastolatki.

– Mów jaśniej! – zażądał Viktor.

– Wprawdzie ja sam nie mam córki, ale moja bratanica Laura w przyszłym tygodniu skończy trzynaście lat. Kiedy odwiedziłem ją ostatnio, jej pokój był jak prywatne królestwo. Na drzwiach nie było napisu „Serdecznie witamy”, lecz „No entry”.

– Josy taka nie była. Nie była buntownicza.

– Wiem. Ale w pokoju Laury na ścianach wisiało mnóstwo plakatów z boysbandami. Przy lustrze wetknięte bilety z koncertów muzyki pop, na których była. Obok pocztówki, które przysyłali jej starsi chłopcy z Majorki. Rozumiesz, co mam na myśli?

Czegoś brakuje.

– Nie.

– To, co tu widzę, to nie jest pokój nastolatki, która powoli odkrywa świat. Nie ma tu ani jednego portretu znanej gwiazdy wyciętego z „Bravo”, za to na regale stoi figurka słonika Benjamina. Na dodatek ta *Ulica Sezamkowa*, no przepraszam. Moja bratanica ma na ścianie plakat Eminema, a nie Erniego.

– Kto to jest Eminem?

– Widzisz. To jest to, o czym mówię. Ten typ jest raperem. Raczej nie chciałbyś wiedzieć, o czym są jego teksty.

– Ciągle nie rozumiem, co chcesz mi przez to powiedzieć.

– Że tu rzeczywiście czegoś brakuje. Nie ma tu świec w starych butelkach po winie. Pudełka na pierwsze listy miłosne. I rzeczywiście, z całą pewnością brakuje tu toaletki z lustrem.

– Ale na początku powiedziałaś, że jest to całkiem normalny pokój dziecięcy.

– Tak, ale ośmiolatki. A Josy miała wtedy dwanaście.

– Nie zapominaj, że jest to tylko domek weekendowy. Josy nie była tam całkowicie urządzona.

– Możliwe. – Kai westchnął i ruszył w obchód po domu. – Pytałeś, co rzuciło mi się w oczy. To ci odpowiedziałem.

Viktor usłyszał zamykanie drzwi do pokoju. Nagle obraz, który widział oczyma wyobraźni, zniknął. Wirtualne połączenie z Kaiem i domem weekendowym urwało się jak stary film.

– Gdzie idziesz teraz?

– Wybacz, ale najpierw muszę się wysikać. Zadzwoń za chwilę.

Zanim Viktor zdążył zaprotestować, urwało się też rzeczywiste połączenie. Odłożył słuchawkę. Stał przy telefonie obok kominka jak wrosnięty i próbował powiązać ze sobą wszystko, co usłyszał.

Co miały znaczyć informacje Kaia? Drzwi, w których szyba została wybita dopiero niedawno. Pokój, który nie pasował do nastolatki?

Nie zdążył zastanowić się nad tymi pytaniami, ponieważ znowu zadzwonił Kai, wcześniej, niż Viktor się spodziewał.

– Viktor?

Zmienne odgłosy w tle dowodziły, że Kai wyszedł z bungalowu i stoi teraz przed domem.

– Co się dzieje? Dlaczego wyszedłeś. Jeszcze nie...

– Viktor! – przerwał mu Kai. Tym razem w głosie detektywa słychać było stanowczość. Zupełnie jakby tracił panowanie nad sobą. A to sprawiło, że Viktora ogarnął strach.

– Co z tobą?

– Lepiej będzie, jeśli wezwiemy policję.

– Dlaczego? Co się dzieje?

Josy.

– Ktoś tu był u ciebie w łazience. Musiało to być kilka godzin temu, ponieważ ślady są całkiem świeże.

– Na Boga, Kai. Jakie ślady?

– Krew. Na kafelkach. W umywalce. W sedesie.

Kai oddychał ciężko.

– Cała łazienka jest we krwi.

Dzień dzisiejszy. Pokój 1245. Klinika w Wedding

Pager doktora Rotha odezwał się dokładnie w momencie, kiedy Larenz zrobił pierwszą dłuższą przerwę po swojej blisko godzinnej opowieści.

– Proszę nie zapomnieć, co chciał mi pan powiedzieć, doktorze – rzekł ordynator i otworzył ciężkie drzwi na korytarz.

Zapomnieć?, pomyślał Larenz, kiedy doktor Roth pośpiesznie wyszedł do telefonu w dyżurce.

Moim problemem jest właśnie to, że nie potrafię zapomnieć. Chociaż niczego innego nie życzę sobie z większym utęsknieniem.

Doktor Roth wrócił po dwóch minutach i znowu usiadł na niewygodnym, białym, plastikowym krześle, które było przeznaczone dla odwiedzających i stało przy każdym łóżku. Chociaż w tej klinice praktycznie nie miało to większego sensu, ponieważ do pacjentów, którzy tu leżeli, zazwyczaj nikt nie przychodził.

– Mam dla pana dwie wiadomości: dobrą i złą – powiedział do Viktora.

– Najpierw zła!

– Już mnie zaczęli szukać. Profesor Malzius chce wiedzieć, gdzie się podziewam.

– A ta dobra?

– Będzie pan miał gości. Ale nie przyjdą przed osiemnastą.

Viktor tylko skinął głową. Mógł się domyślić, kto go odwiedzi, a wyraz twarzy doktora Rotha tylko potwierdzał jego podejrzenie.

– W takim razie mamy jeszcze czterdzieści minut?

– Czterdzieści minut na dokończenie pańskiej historii.

Larenz wyciągnął się na łóżku, na ile pozwalały mu więzy.

– W wieku czterdziestu siedmiu lat już przykuty do łóżka – zażartował, ale doktor Roth nie zareagował na aluzję. Wiedział, czego Larenz od niego chce, ale nie mógł zrobić mu tej grzeczności.

– Dlaczego po tym odkryciu w domku weekendowym nie sprowadził pan policji? – spytał zamiast tego.

– Dlatego że policja nie pomogła mi przez cztery lata. I teraz, kiedy sam natrafiłem na pierwszy ślad, nie chciałem wypuścić go z rąk.

Doktor Roth przytaknął ze zrozumieniem.

– Został więc pan na wyspie, a Kai był pana jedynym kontaktem ze światem.

– Tak.

– Jak długo to jeszcze trwało? To znaczy, aż wreszcie odkrył pan, kim naprawdę jest Anna i co stało się z Josy?

– Dwa dni. Sam nie rozumiem, dlaczego tak długo. W zasadzie już w tym momencie wszystko było jasne. Gdyby moje życie było filmem wideo i gdybym miał możliwość przewinąć wszystko do tyłu, wtedy mógłbym zrozumieć to dużo wcześniej. Wszystkie elementy układanki leżały przede mną, ale ja byłem ślepy.

– Powiedział pan, że łazienka była pełna krwi?

– Tak.

– Co stało się dalej?

– Tego dnia już niewiele więcej. Spakowałem swoje rzeczy z zamiarem opuszczenia wyspy. Chciałem natychmiast jechać do Berlina, żeby na miejscu wyrobić sobie obraz sytuacji i spotkać się z Kaiem. Ale nie dało się. Sztorm jeszcze przybrał na sile. Tak samo jak moje przeziębienie. Wie pan, jak to jest, kiedy człowiek czuje się, jakby jego całe ciało spiekło się na słońcu?

Doktor Roth przytaknął.

– W reklamie nazywa się to „bólami głowy i kończyn”. Zastanawiał się pan, co jeszcze zostaje, kiedy głowa i wszystkie członki sprawiają ból?

– Umysł?

– Właśnie. Żeby go ogłuszyć, wziąłem valium i modliłem się, żeby następnego dnia wznowiono kursowanie promu.

– Ale tak się nie stało?

– Nie. Orkan „Anton” uczynił mnie więźniem we własnym domu. Straż wybrzeża wezwała wszystkich mieszkańców wyspy, żeby nie wychodzili z domów, chyba że w razie najwyższej konieczności. Niestety, w moim przypadku najwyższa konieczność zaszła zaraz po tym, jak następnego dnia wstałem z łóżka.

– A co się stało?

– Ktoś znowu zniknął na moich oczach.

– Kto?

Larenz lekko uniósł głowę i ściągnął brwi.

– Zanim opowiem dalej, doktorze Roth, chciałbym zaproponować panu interes: ja opowiem panu moją historię – a pan...

– A ja co?

– Pan podaruje mi wolność.

Doktor Roth zaśmiał się przez nos, nie otwierając ust. Kiedyś już o tym długo dyskutowali.

– Przecież pan wie, że to niemożliwe. Nie po tym, co pan zrobił. Straciłbym nie tylko pracę i prawo wykonywania zawodu. Popełniłbym przestępstwo.

– Tak, tak. Już pan to mówił. Mimo to składam panu propozycję i jestem gotów podjąć ryzyko.

– Jakie ryzyko?

– Opowiem panu całą historię. Moją historię. A kiedy skończę, sam pan zdecyduje, czy mnie wypuścić, czy nie.

– Wiele razy mówiłem panu, nie jestem w stanie tego zrobić. Mogę słuchać i dotrzymywać panu towarzystwa. Ale nie pomogę panu odzyskać wolności, o którą prosi mnie pan już od wielu dni.

– Nie? W takim razie niech pan teraz dobrze uważa. Zapewniam, że to, co panu zaraz opowiem, zmieni pana opinię.

– Nie sądzę.

Gdyby Larenz nie miał więzów, uniósłby ręce w uspokajającym geście.

– Na pana miejscu nie byłbym tego taki pewny.

Ponownie zamknął oczy, a doktor Roth oparł się wygodnie, żeby wysłuchać reszty. Reszty tragedii.

Parkum, dwa dni przed poznaniem prawdy

Działanie lekarstwa powoli ustępowało i Viktor wyrwał się z pozbawionego marzeń snu. Chętnie pozostałby jeszcze przez jakiś czas w tej bezbolesnej próżni, którą zapewniło mu valium. Ale otępiające działanie leku prawie ustało i nie blokowało już nachodzących go czarnych myśli.

Anna

Charlotte

Josy

Krew!

Viktor powoli uniósł się na łóżku i musiał wyteńczyć wszystkie siły, aby ponownie nie opaść na poduszkę. Przebudzenie przypomniało mu wyprawę nurkową, na jaką przed laty wybrał się z Isabell na Bahamy. Miał wtedy na sobie ekwipunek, którego w wodzie prawie nie czuł. Ale kiedy po nurkowaniu chciał wejść po drabinie do łodzi, zauważył, że butla tlenowa i ciężarki wciągają go z powrotem do wody. Podobnie przyniatające działanie miał teraz środek odurzający. Albo wirus.

No, świetnie, pomyślał Viktor, zbierając wszystkie siły, żeby podnieść się bardziej.

Patrz, do czego to doszło. Teraz nie wiesz, czy załatwiło cię przeziębienie, czy stajesz się wrakiem wskutek ubocznego działania leków.

Viktor marzył w przepoconej piżamie i nałożył jedwabny szlafrok, który zdjął ze stojaka na ubrania. Następnie, dygocąc na całym ciele, poczłapał przez korytarz do łazienki, która na szczęście znajdowała się na tym samym piętrze, co zaoszczędziło mu schodzenia po schodach. Na razie.

Kiedy zobaczył swoją twarz w lustrze, przestraszył się. Nie ulegało wątpliwości, że jest chory. Ciemne obwódki wokół oczu, blada cera. Krople potu na czole. Szklany wzrok. I jeszcze coś.

Coś jest inaczej niż zwykle.

Viktor wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze i próbował spojrzeć sobie w oczy. Ale mu się to nie udawało. Im silniej się koncentrował, tym bardziej tracił ostrość widzenia.

– Cholerne prochy – mruknął i sięgnął do uchwyty baterii prysznicowej. Przesunął go w lewo i do góry i na jakiś czas puścił strumień wody. Stary generator jak zawsze potrzebował dłuższego czasu, żeby podgrzać wodę, ale dzisiaj nie było tu jego żony, którą zawsze denerwowała taka rozrzutność.

W tym czasie Viktor dalej wpatrywał się w lustro na ścianie nad marmurową umywalką, próbując walczyć z ogromnym zmęczeniem. Równomierny szum wody był odpowiednim tłem dla jego myśli.

Coś jest inaczej, ale nie wiem co. To jest takie... rozmyte.

Oderwał wzrok od lustra, przygotował sobie ręcznik, zanim otworzył szklane drzwi i wszedł do zaparowanej kabiny. Ziołowy zapach Acqua di Parma dobrze mu zrobił i po prysznicu poczuł się wyraźnie odprężony. Strumień gorącej wody splukał wierzchnią warstwę bólu, który zniknął w otworze odpływu. Niestety woda nie zabrała ze sobą jego myśli.

Coś jest inaczej. Coś się zmieniło. Ale co?

W garderobie Viktor wyciągnął stare dzinsy i włożył niebieski sweter. Wiedział, co prawda, że ma go odwiedzić Anna, a nawet miał nadzieję usłyszeć dalszą część jej opowieści. Może nawet jej zakończenie. Ale dzisiaj czuł się do tego stopnia źle, że Anna będzie musiała pogodzić się z jego swobodnym strojem. Jeśli w ogóle zwróci na to uwagę.

Viktor zszedł na dół, mocno trzymając się drewnianej poręczy. W kuchni nalał wody do elektrycznego czajnika i wyjął z szafki saszetkę herbaty. Następnie sięgnął po pękatą filiżankę, która wisiała na drewnianym kołku na ścianie między zlewozmywakiem a kuchenką. Próbował skoncentrować się na śniadaniu i unikał przy tym patrzenia przez mokrą od deszczu szybę na czarne niebo nad Parkum. Jednak rutynowe czynności w kuchni nie były w stanie odwrócić jego myśli.

Co tu się dzieje? Co się nie zgadza?

Kiedy odwrócił się do lodówki, żeby wyjąć mleko, na krótko musnął wzrokiem wypolerowaną ceramiczną płytę kuchenną. I znów zobaczył swoje odbicie. Tym razem było jeszcze bardziej rozmyte. Prawie zniekształcone. I naraz wszystko stało się dla niego jasne.

Gdzie jest...?

Jego wzrok powędrował znad kuchenki w dół i prześliznął się po terakocie.

I wtedy nagle znowu się pojawiło. To samo uczucie co wczoraj, kiedy na odległość kierował Kaiem po bungalowu.

Czegoś brakuje.

Viktor wypuścił z ręki filiżankę i pobiegł do korytarza. Z impetem otworzył drzwi do salonu i spojrzał na biurko.

Jego papiery. Wydrukowany e-mail z pytaniami „Bunte”. Otwarty laptop. Wszystko w porządku.

Nie. Czegoś brakuje.

Viktor zamknął oczy w nadziei, że wszystko wróci na swoje miejsce, kiedy znowu je otworzy. Ale się mylił. Kiedy ponownie je otworzył, nic się nie zmieniło.

Niżej. Pod biurkiem. *Nic.*

Sindbad zniknął.

Biegiem wrócił do kuchni i jeszcze raz spojrzał na podłogę.

Znowu nic.

Ani śladu Sindbada. Poza nim samym brakowało także jego misek na jedzenie i wodę, pokarmu dla psów, nie było również jego posłania pod biurkiem. Jakby w ogóle nie przywiózł go ze sobą na wyspę. Ale w swoim zdenerwowaniu Viktor nie zauważył wszystkiego.

Viktor stał na plaży, krople deszczu padały mu na twarz, rozmyślał. Najbardziej dziwił się temu, jak mało znaczyło dla niego zniknięcie psa. Oczywiście był smutny i poruszony. Ale to uczucie nie było tak silne, jak to sobie zawsze wyobrażał w swoich koszmarach. Od dawna jego największy strach budziła świadomość, że właśnie to może się wydarzyć. Najpierw Josy. Potem Sindbad. Przepadli. Bez śladu.

Właśnie z tego powodu nigdy nie radził swoim pacjentom, aby sprawili sobie jakieś zwierzę. Zbyt często spotykał się z przypadkami, kiedy jamnik, który miał pocieszać swojego pana lub panią po śmierci współmałżonka, zaledwie w kilka dni po pogrzebie sam stawał się ofiarą wypadku.

Lub znikał.

Po Sindbadzie nie było śladu. To dziwne, ale Viktor nie załamał się nerwowo, nie biegał wzburzony i zrozpaczony po wiosce i nie wydzwaniał do wszystkich sąsiadów. Zostawił jedynie wiadomość o tym zdarzeniu Halberstaedtowi na jego automatycznej sekretarce. Teraz przeszukał oddalony o prawie dwieście pięćdziesiąt metrów od domu odcinek plaży gęsto usiany kawałkami drewna wyrzuconymi z morza przez fale i rozglądał się za śladami wielkich łap golden retrievera. Na próżno. Nawet jeśli pies jakieś zostawił, to w tej chwili już ich nie było.

– Sindbad!

Wiedział, że wołanie psa nie ma sensu. Nawet jeśli zwierzę znajdowało się w pobliżu, to w tym momencie nie zareagowałoby na komendę. Sindbad był tchórzem. Już trzaski drewna świerkowego w kominku przyprawiły go o drżenie, a w sylwestra Isabell musiała do jego suchej karmy dodawać środek uspokajający, żeby nie przypłacił każdego wystrzału fajerwerków zawalem serca. Kiedyś byli w Grunewaldzie i pojedynczy strzał myśliwego spowodował, że Sindbad biegiem zawrócił do domu, nie reagując na komendy swojego pana.

Głośny łoskot łamiących się fal musiał wywołać u psa strach i przerażenie. Najbardziej niezrozumiałe było to, że pies uciekł, rezygnując z bezpiecznego schronienia w ciepłym domu. Ale jak to zrobił, skoro wszystkie drzwi były zamknięte?

Viktor dokładnie przeczesał dom od piwnicy po strych. I nic. Otworzył nawet starą szopę w ogrodzie, w której znajdował się generator, i tam szukał zwierzęcia. Ale już choćby z powodu zamkniętych na kłódkę drzwi było niemożliwe, żeby Sindbad się tam dostał. *Tak samo jak niemożliwe jest zaginięcie bez śladu na wyspie*, pomyślał Viktor. *Sindbad zresztą nigdy nie wyszedłby sam na dwór, chyba że...*

Viktor obrócił się raptownie i stał teraz bokiem do fal. Na krótką chwilę nabrał nadziei, kiedy w odległości około stu metrów zauważył kątem oka jakiś ruch. Wyglądało na to, że z daleka zbliża się do niego zwierzę i na pewno było tak duże jak pies. Ale jego uczucie radości zgasło równie szybko, jak się pojawiło, kiedy zobaczył, że zwierzę nie ma jasnej sierści. I że nie jest to żadne zwierzę, lecz osoba w ciemnym płaszczu.

Anna.

– To dobrze, że czasem wychodzi pan na powietrze! – zawołała, kiedy znalazła się mniej więcej dziesięć metrów od niego. Mimo niewielkiej odległości Viktor z trudem mógł ją zrozumieć, ponieważ wiatr porywał niektóre zgłoski w stronę morza. – Ale nie wybrał pan odpowiedniej pogody na spacer.

– Ani odpowiedniego powodu! – zawołał Viktor w odpowiedzi i natychmiast znowu poczuł ból w gardle, o którym prawie zapomniał z powodu zniknięcia Sindbada.

– Nie rozumiem? – Anna podeszła do niego na kilka kroków i Viktor po raz drugi zdziwił się, że jej lakierowane buty bez uszczerbku zniosły długi marsz z wioski aż do tego miejsca. Nie były brudne ani oblepione piaskiem.

– Szukam swojego psa. Uciekł mi.

– Ma pan psa? – spytała Anna, prawą ręką przytrzymując chustkę na głowie, żeby nie porwał jej wiatr.

– Oczywiście. Golden retrievera. Przecież widziała go pani. W czasie naszych rozmów zawsze leżał u moich stóp.

– Nie. – Anna pokręciła głową. – Nie zauważyłam.

Viktor miał uczucie, że jej niespodziewane słowa podziałały na niego z większą siłą niż porywy wichru, które nieustannie nim szarpały. Zaczęło mu dzwonić w prawym uchu i wewnętrzna pustka w jednej chwili ustąpiła miejsca wielkiemu strachowi. *Z tą kobietą jest coś nie tak.*

Krople deszczu spływały Viktorowi prosto do oczu i twarz Anny rozmyła się. Jednocześnie przypomniały mu się strzępy ich pierwszej rozmowy: „...jednak tłukłam go dalej, aż krew popłynęła mu z pyska i w końcu zmienił się w kawał mięsa, pałką wybiłam z niego ostatnią iskrę życia”.

– Słucham?

Widocznie Anna coś powiedziała, ale Viktor widział tylko, jak porusza ustami, podczas gdy on sam był zajęty przetrawianiem jej wypowiedzi o znęcaniu się nad zwierzęciem.

– Nie wejdzimy do środka? – powtórzyła Anna. – W taką pogodę pies na pewno sam szybko wróci.

Anna wskazała głową w kierunku domu i wzięła go za rękę. Viktor cofnął ją nieco zbyt gwałtownie i dał głową znak, że się zgadza.

– Tak. Chyba ma pani rację.

Zebrał się w sobie i ruszył przodem.

Jak to możliwe, że nie zauważyła dużego psa? Dlaczego kłamie również w tym przypadku? Czyżby miała coś wspólnego już nie tylko ze zniknięciem Josy, ale też Sindbada?

Wskutek tych wszystkich pytań, jakie kołatały mu w głowie, Viktor zapomniał o pierwszej regule, której nauczył go jego opiekun i przyjaciel, profesor van Druisen: „Przede wszystkim słuchaj. Nie wyciągaj przedwczesnych wniosków, lecz poświęcaj możliwie jak najwięcej uwagi swoim pacjentom”.

Zamiast tego Larenz tracił dużo sił na to, żeby stłumić dręczącą go pewność, która za wszelką cenę chciała się wydostać z jego podświadomości. Prawda nabrała już wyraźnych kształtów. Leżała przed nim, desperacko wyciągając rękę, jak tonący, którego dzieli od wybawcy tylko cienka warstwa lodu. Ale Viktor Larenz nie był gotów, aby ten lód rozbić.

Jeszcze nie.

Uciekłyśmy.

Rozmowa z trudem się rozkręcała. Viktor zmuszał się, żeby przestać myśleć o Sindbadzie, i przez pierwsze minuty w ogóle nie słuchał Anny. Na szczęście zaczęła od podsumowania ich ostatniego spotkania: od tego, że pojechała z Charlotte do domu w lesie, że musiała się do niego włamać, podczas gdy Charlotte wzbraniała się przekroczyć próg bungalowu. I że usłyszała mężczyznę w pokoju na końcu korytarza.

– Przed czym więc uciekłyście? – kontynuował Viktor.

– Wtedy jeszcze tego nie wiedziałam. Tylko czułam, że to, co czekało na mnie w tym pokoju, jest teraz tuż za nami. Więc trzymając Charlotte za rękę, pobiegłam zasypaną śniegiem leśną drogą z powrotem do samochodu. Nie odwracałyśmy się. Ze strachu. A także z ostrożności, ponieważ nie chciałyśmy przewrócić się na śliskiej ścieżce.

– Jeszcze raz: Kto był w domu? Kto was gonił?

– Dzisiaj nie jestem tego pewna. Spytałam o to Charlotte, kiedy wreszcie znowu siedziałyśmy w samochodzie z zaryglowanymi drzwiami i tak szybko, jak to tylko możliwe, wracałyśmy do Berlina. Ale mała znowu tylko mówiła zagadkami.

– Co pani ma na myśli, mówiąc „zagadkami”?

– Mówiła takie zdania jak: „Nie mogę dawać ci odpowiedzi. Mogę tylko prowadzić cię do znaków. Sama musisz się domyślić ich znaczenia. To ty piszesz tę historię. Nie ja!”

Viktor musiał się przed sobą przyznać, że opowieści Anny stawały się coraz bardziej nierzeczywiste, co wobec jej choroby było całkiem zrozumiałe. Wciąż jednak miał nadzieję, że jej fantazje mają przynajmniej niewielki związek z rzeczywistością. Nie chciał nawet myśleć o tym, jak patologiczne jest w tej sytuacji jego własne zachowanie.

– Gdzie pojechaliście potem?

– Do następnego znaku, który wskazała mi Charlotte. Powiedziała: „Właśnie pokazałam ci, gdzie wszystko się zaczęło”.

– Dom w lesie? – zapytał Larenz.

– Tak.

– A potem?

– Potem Charlotte powiedziała coś, czego nie zapomnę do końca życia.

Anna ścisnęła usta i naśladowała szepczący głos małej dziewczynki:

– „Pokażę ci teraz, gdzie mieszka moja choroba”.

– Gdzie mieszka choroba? – zapytał Larenz.

– Tak się wyraziła.

Larenza przeszedł dreszcz. Właściwie było mu zimno, odkąd wrócili do domu. Teraz jednak, kiedy Anna nagle udała głos dziecka, poczuł się jeszcze gorzej.

– I co to było? – drążył dalej. – Gdzie „mieszkała” choroba?

– Charlotte poprowadziła mnie z powrotem do Berlina przez most w Glienicke. Szczerze mówiąc, dokładnie nie wiem, jak dojechaliśmy do tej ogromnej posiadłości. Nie orientuję się dobrze w tej okolicy Berlina. Poza tym podczas jazdy byłam rozproszona, ponieważ Charlotte nagle źle się poczuła.

Viktora ścisnęło w żołądku.

– Co jej się stało?

– Dostała krwotoku z nosa, zatrzymałam się więc na poboczu, myślę, że na wysokości ogródka piwnego przy kąpielisku Wannsee. Położyła się na tylnym siedzeniu i gdy tylko krwotok ustał...

...dostała dreszczy...

– ...zaczęła gwałtownie drżeć. Dostała drgawek, i to tak niewiarygodnie intensywnych, że chciałam od razu jechać z nią do szpitala.

Anna zaśmiała się sztucznie.

– Aż uświadomiłam sobie, że przecież nie mogę iść na pogotowie z duchem.

– Więc nie pomogła jej pani?

– Ależ pomogłam. Chociaż z początku faktycznie nie chciałam. Miałam ogromną chęć przeciwstawić się temu złudzeniu. Ale dolegliwości Charlotte stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Drżała i z płaczem błagała mnie o kupienie lekarstwa w aptece...

...penicyliny...

– Chciała antybiotyk. Kiedy jej powiedziałam, że nie kupię go bez recepty, dostała pierwszego ataku szału. Krzyczała na mnie.

– Krzyczała?

– Tak, tak donośnie, na ile pozwalał jej słaby głos. To było przerażające. Pomieszanie wycia, szlochania i wrzasku.

– Co mówiła?

– „To ty mnie wymyśliłaś. To twoja wina, że jestem chora. Teraz zrób coś, żebym wyzdrowiała!”

I chociaż wiedziałam, że to halucynacja, chociaż dokładnie wiedziałam, że to nic nie da, podjechałam do apteki i kupiłam opakowanie paracetamolu na ból głowy. I użyłam całego kobiecego wdzięku, aby przekonać aptekarza do sprzedania mi penicyliny bez recepty. „To dla mojego chorego dziecka”, powiedziałam i obiecałam, że następnego dnia dostarczę mu receptę. Tak naprawdę zrobiłam to tylko dla siebie, ponieważ wiedziałam, że głosy i obrazy w mojej głowie znikną dopiero wtedy, jeśli będę posłuszna rozkazom Charlotte.

– Co stało się później?

– Po mojej wizycie w aptece faktycznie się polepszyło. Nie Charlotte, ale mnie.

Viktor odczekał, aż Anna sama będzie mówić dalej.

– Wzięła dwie tabletki, ale to nie przyniosło poprawy. Przeciwnie, powiedziałałabym raczej, że stan Charlotte się pogorszył. Wydawała się jeszcze bardziej błada i apatyczna. Ale przynajmniej nie robiła mi już wyrzutów i przestała się odzywać. W dalszym ciągu byłam tak zaszokowana jej atakiem, że nie wiedziałam, jak dojechałyśmy do tego dużego domu nad wodą.

– Proszę mi go opisać.

– To była najpiękniejsza posiadłość, jaką kiedykolwiek widziałam w Berlinie. Nie zdawałam sobie sprawy, że w dużym mieście w ogóle może być coś takiego. Działka miała wielkość kilku tysięcy metrów kwadratowych, była położona na zboczu, miała własną plażę i pomost do cumowania łodzi. Dom był większy niż zwykła willa, wybudowany w stylu klasycystycznym, ale z elementami włoskiego renesansu. Miał dużo wykuszy, wieżyczek i liczne elementy ozdobne. Trudno się dziwić, że Charlotte nazywała go „zamkiem”.

Schwanenwerder.

Viktor był teraz pewny. Obfitość szczegółów w jej opowieściach nie mogła być tylko przypadkiem.

– Ale tym, co najbardziej rzucało się w oczy w tej posiadłości, nie było ani jej położenie, ani styl, w jakim została zbudowana – kontynuowała Anna. – Tak naprawdę niezwykle było to, jak dużo ludzi się tam kręciło. Musiałyśmy zostawić samochód przed małym mostkiem, ponieważ liczne parkujące tam furgonetki zagroziły nam drogę.

– Furgonetki?

– Tak, większe i mniejsze ciężarówki. Wszystkie chciały...

...na wyspę...

– ...jechać w tym samym kierunku co my i zatarasowały wąską drogę. Gromada ludzi kręciła się po ogrodzie. Większość z nich czekała na chodniku przed dużym podjazdem do domu. Nikt nie zwrócił na nas uwagi, kiedy podeszłyśmy bliżej. Wszyscy w skupieniu wpatrywali się w ciężkie frontowe drzwi zamku. Niektórzy mieli lornetki, kilka osób nawet kamery. Wszędzie dzwoniły komórki i robiono zdjęcia. Dwóch mężczyzn wdrapało się nawet na drzewo w alei, żeby mieć lepszy widok na posiadłość. Ukoronowaniem był helikopter, który robiąc dużo hałasu, krążył nisko nad naszymi głowami.

Viktor dobrze wiedział, gdzie musiały się znajdować. Wiedział też, jaki scenariusz przedstawiła mu właśnie Anna. Szalony cyrk, jaki urządziły media przed jego domem w pierwszych dniach po zniknięciu Josy, był dla całej rodziny nie do zniesienia.

– Nagle tłum się poderwał, ponieważ otworzyły się drzwi i ktoś wyszedł na zewnątrz.

– Kto?

– Nie mam pojęcia. Nie mogłam zobaczyć, ponieważ parcela była tak duża, że drzwi do willi były oddalone od miejsca, w którym stałam, o dobre osiemset metrów. Ale zapytałam Charlotte, gdzie jesteśmy. Powiedziała: „U mnie w domu. Przyprowadziłam cię do domu moich rodziców”. Następnie zapytałam, dlaczego tu jesteśmy. Odpowiedziała: „Przecież wiesz. Mieszkam tu. Ale nie sama. Tu mieszka też Zło”.

– Choroba?

– Tak. Widocznie chciała dać mi do zrozumienia, że przyczyna jej tajemniczej choroby znajduje się u niej w domu. I że z tego powodu opuściła ten zamek. Nie żeby znaleźć przyczynę choroby, ale żeby od niej uciec.

Czyżby przyczyna choroby Josy znajdowała się w Schwanenwerder?

– Nagle Charlotte mocno pociągnęła mnie za rękę i chciała wracać do samochodu. Początkowo nie miałam zamiaru iść za nią. Chciałam zaczekać i zobaczyć, kto wyszedł z domu i zmierzał przez ogród do czekającego tłumu. Osoba ta znajdowała się jeszcze za daleko i nie mogłam rozpoznać, czy to był mężczyzna, czy kobieta. Ale sposób, w jaki się poruszała, wydał mi się znajomy. Wtedy Charlotte powiedziała mi coś, co przekonało mnie do tego, żeby natychmiast pójść za nią.

– Co powiedziała?

– „Lepiej chodźmy stąd. To jest to Zło z tamtego pokoju. Dogoniło nas. Idzie prosto w naszą stronę”.

Nie miałby pan nic przeciwko, gdybym skorzystała teraz z łazienki?

Anna nagle wstała. Widocznie powzięła decyzję, aby przerwać swoją opowieść w tym miejscu.

– Oczywiście. – Viktor nie od razu zrozumiał jej wyszukany sposób wyrażania się.

Było prawie tak, jakby przez to chciała stworzyć przeciwwagę dla swoich straszliwych przeżyć. Viktor też spróbował wstać, ale poczuł na ramionach ołowiany ciężar, który z powrotem wcisnął go w fotel.

– Łazienka jest...

– ...na górze obok sypialni, wiem.

Anna powiedziała to już w progu i dlatego nie zobaczyła, z jakim niedowierzaniem Viktor jej się przypatruje.

Skąd?

Ale teraz zebrał wszystkie siły i powoli wstał od biurka, żeby pójść za nią. Kiedy już znalazł się w drzwiach, jego wzrok padł na czarny kaszmirowy płaszcz, który Anna starannie położyła na krześle obok kanapy. Był jeszcze mokry od nieustannie padającego deszczu i pod krzesłem utworzyła się na parkiecie mała kałuża. Viktor podniósł płaszcz, żeby powiesić go na wieszaku w korytarzu. Był ciężki. Za ciężki, jak na to, że był nasiąknięty wodą, która zresztą przemoczyła tylko zewnętrzną warstwę, nie docierając do jedwabnej podszewki.

Viktor usłyszał, jak na piętrze zamykają się drzwi. Anna weszła do łazienki.

Potrząsnął płaszczem i coś zabrzęczało w prawej kieszeni. Nie zastanawiając się długo, uległ pierwszemu odruchowi i włożył tam rękę. Kieszeń była zadziwiająco głęboka. Viktor chciał już wyjąć rękę, kiedy końcami palców poczuł chusteczkę i średniej wielkości skórzany portfel. Wyjął go szybkim ruchem. Był ciężki i pochodził z męskiej kolekcji Aignera. Zdecydowanie nie pasował do gustownej, dobranej kolorystycznie i ogólnie bardzo kobiecej garderoby Anny.

Kim ona jest?

Usłyszał szum spuszczonej wody. Łazienka częściowo położona była bezpośrednio nad salonem i Viktor słyszał, jak wysokie obcasy butów Anny stukają o marmurową podłogę. Prawdopodobnie właśnie podeszła do umywalki, żeby się odświeżyć. Jakby na potwierdzenie usłyszał odgłos odkręcanego kranu i szum wody spływającej z umywalki starą miedzianą rurą.

Viktor musiał się śpieszyć. Otworzył portmonetkę i spojrzał na pustą przegródkę na dowód osobisty. Na krótką chwilę przestało mu bić serce. Oto właśnie miał nadzieję, że wreszcie trzyma w ręku klucz do tożsamości Anny, a tymczasem widział jedynie puste przegródki na karty kredytowe, a w środku nie było nawet pieniędzy. W każdym razie banknotów.

Nagle Viktor poczuł niepokój i jego ręce zaczęły lekko, ale niekontrolowanie drżeć. Jak przed kilkoma miesiącami, kiedy zawartość alkoholu we krwi spadała poniżej pewnego poziomu i jego system nerwowy błagał go o uzupełnienie. Ale w tej chwili to nie brak alkoholu przyprawił go o drżenie. Lecz cisza. Woda na górze przestała lecieć.

Viktor zamknął portmonetkę i chciał ją szybko włożyć do kieszeni płaszcza, kiedy zadzwonił telefon. Wzdrygnął się ze strachu i upuścił to, czego w ogóle nie powinien był trzymać w ręku. Portfel z trzaskiem uderzył o parkiet, dokładnie w przerwie pomiędzy dwoma dzwonekami. Viktor z przerażeniem przekonał się, dlaczego portmonetka była tak ciężka: po podłodze bowiem jakby uwolnione ręką ducha rozsypały się niezliczone monety.

Cholera.

Na górze otworzyły się drzwi do łazienki. Teraz mogło to trwać najwyżej kilka sekund, zanim Anna zejdzie z góry i zobaczy rozsyaną na podłodze zawartość swojej portmonetki.

Posuwając się na kolanach, Viktor próbował zbierać pieniądze drżącymi rękoma, podczas gdy telefon nie dawał spokoju. Z powodu krótko przyciętych paznokci i drżących dłoni trudno mu było

podważać monety, aby je podnieść.

Zaczął się pocić, a do uczucia paniki dołączyło stare wspomnienie. Dawno temu ojciec pokazał mu dokładnie na tym samym kawałku podłogi, jak najlepiej podnosić monety za pomocą magnesu. Jak bardzo pragnął teraz mieć pod ręką czerwono-czarną podkowę, żeby szybciej uwolnić się z przykrego położenia.

– Może pan spokojnie odebrać, doktorze Larenz! – zawołała Anna z góry. Najwidoczniej stała na podeście schodów i właśnie miała zamiar zejść. Głośny dzwonek telefonu nie pozwalał mu dokładnie zlokalizować jej kroków.

– Tak! – krzyknął z pełną świadomością tego, że odpowiedź nie ma zbytniego sensu. Przynajmniej jeszcze dziesięć monet leżało przed sofą i pod nią. Jedna potoczyła się pod kominek i zatrzymała dopiero na osłonie od iskier.

– Proszę spokojnie rozmawiać. Nic nie szkodzi, jeśli na dłużej przerwiemy sesję.

Głos Anny zabrzmiał teraz całkiem blisko. I kiedy jeszcze się dziwił, dlaczego już dawno nie zeszła do pokoju, z osłupieniem popatrzył na swoją dłoń. Monety. To, co tak gorączkowo zbierał, to nie były pieniądze. Przynajmniej nie miały żadnej wartości. Były to stare monety jednomarkowe, które od czasu wprowadzenia euro straciły funkcję płatniczą. Isabell też miała jeszcze starą markę niemiecką, której używała jako żetonu do wózków na zakupy w supermarkecie. Ale Anna miała w swojej portmonetce przynajmniej pięćdziesiąt sztuk dawnej waluty.

Dlaczego?

Kim ona jest? Po co jej te stare monety? Dlaczego nie ma przy sobie dokumentów ani kart bankowych? Co ma wspólnego z Josy? I dlaczego nie wróciła do salonu?

Viktor działał teraz błyskawicznie i bez zastanowienia. Włożył w połowie pustą portmonetkę z powrotem do kieszeni płaszcza i rękoma wsunął pozostałe monety głęboko pod sofę. Teraz mógł mieć tylko nadzieję, że Anna nie policzyła pieniędzy i nie zajrzy pod obitą skórą kanapę.

Kiedy nerwowo się rozglądał, żeby ustalić, czy nie przeoczył jeszcze jakiejś monety, zauważył mały, starannie złożony kawałek papieru. Widocznie spadł na podłogę razem z pieniędzmi i wylądował w kałuży pod krzesłem, na którym Anna położyła swój czarny kaszmirowy płaszcz. Viktor jak w transie wsunął go do kieszeni dzinsów i właśnie chciał wstać.

– Co się stało?

Odwrócił się gwałtownie i zobaczył przed sobą Annę. Musiała bezgłośnie przejść ostatnie metry do pokoju. Nie słyszał też, jak otwiera drzwi, chociaż zazwyczaj zawsze przejmująco skrzypią.

– Ja... ja... tylko...

W jednej chwili uzmysłowił sobie, jak dziwaczne wrażenie musiała zrobić ta sytuacja na Annie. Cały spocony klęczał przy sofie, kiedy ona tylko na trzy minuty wyszła do łazienki. Czy było na to jakieś rozsądne wytłumaczenie?

– Ja...

– Mówię o telefonie. Mam nadzieję, że nic złego?

– Telefon?

I wtedy zrozumiał, dlaczego nie weszła do pokoju.

W nerwowej gorączce nawet nie zauważył, że telefon przestał dzwonić. Widocznie Anna sądziła, że podniósł słuchawkę, i z grzeczności czekała w korytarzu, aż skończy rozmowę.

– Ach, telefon? – powtórzył Viktor i sam przed sobą poczuł się głupio.

– Tak.

– To tylko pomyłka – powiedział i wstał, cały czas jeszcze drżąc, i zaraz znowu się wzdrygnął, kiedy ponownie zadzwieczał dzwonek.

– Aha, ktoś się uparł. – Anna uśmiechnęła się i usiadła na swoim miejscu na sofie. – Nie odbierze pan?

– Ja? Tak. Ja... – zająknął się Viktor, ale szybko wziął się w garść. – Odbiorę w kuchni. Przepraszam na chwilę.

Anna uśmiechnęła się do niego beztrąsko i Viktor wyszedł z pokoju.

Kiedy w kuchni podniósł słuchawkę, miał poczucie, że o czymś zapomniał. O czymś ważnym. O czymś, co mogło go kosztować utratę zaufania Anny.

O monecie. Przed kominkiem.

Ale nie miał zbyt dużo czasu, żeby się zastanawiać, co by się stało, gdyby Anna zobaczyła monetę. O ile bowiem jeszcze kilka sekund wcześniej był przekonany, że dzisiaj już nie będzie przeżywał większego stresu, to dzwoniący już pierwszym zdaniem wyprowadził go z błędu.

To bez wątpienia krew kobiety, Viktorze.

– W jakim wieku?

– To nie takie proste. Nie jest łatwo to ustalić – odpowiedział Kai, a jego głosowi towarzyszyło dziwne echo.

– Dlaczego?

– Ponieważ jestem detektywem, a nie genetykiem!

Viktor położył sobie dłoń na karku, ale to nie pomogło uśmierzyć bólu głowy.

– Gdzie teraz jesteś? – zapytał.

– Stoję na korytarzu szpitala w Westendzie przed laboratorium mojego dobrego kumpla. W zasadzie nie wolno używać tu komórek, bo te wszystkie elektroniczne aparaty mogą zwariować.

– Tak, tak, wiem. W takim razie pośpiesz się z informacjami.

– Dobrze. Mój przyjaciel jest tu biochemikiem. W czasie przerwy obiadowej zrobił dla mnie analizę próbki krwi. Tej z łazienki twojego bungalowu. Tego świństwa było tak dużo, że łatwo pobrałem próbkę.

– No i co? Co stwierdził?

– Tak jak już mówiłem: ustalił, że krew pochodzi od kobiety. Starszej niż lat dziewięć i młodszej niż lat pięćdziesiąt. Raczej znacznie młodszej.

– Josy miała dwanaście, kiedy zniknęła.

– Wiem. Ale zdecydowanie nie jest to krew twojej córki.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Bo jest za świeża. Ślady mają dwa, najwyżej trzy dni. Twoja córka zniknęła przed czterema laty.

– Nie musisz mi o tym przypominać – wysyczał Viktor i lekko uchylił drzwi od kuchni. Salon był zamknięty, ale mimo to nie mógł wykluczyć, że Anna go słyszy. Jeszcze bardziej ściszył głos. – Dobrze. To nie jest krew Josephine. Ale w takim razie powiedz mi, co mam sądzić o Annie i jej opowieściach. Do tej pory przekazała mi bardzo dokładne opisy mojej córki, naszego domu weekendowego w Sacrow, a także willi na Schwanenwerder. Wszystko do siebie pasuje, Kai. Ona tam była. U mnie w domu. Nawet opisała reporterów, którzy koczowali przed willą w dniu porwania.

– Anna? – zapytał Kai.

– Tak.

– I co dalej?

Viktor odetchnął głęboko i dostał ataku kaszlu.

– Nazywa się... – Na krótko odsunął słuchawkę od ust, zanim znowu mógł mówić. – Przepraszam, przeziębilem się. A więc posłuchaj, podam ci teraz fakty. Kobieta nazywa się Anna Spiegel, jest autorką książek dla dzieci, podobno bardzo poczytnych, szczególnie w Japonii. Jej ojciec pracował w amerykańskiej rozgłośni AFN i wcześniej zmarł na zakrzepicę w następstwie błędu lekarskiego. W dzieciństwie mieszkała w Steglitz, a przez ostatnie cztery lata przebywała w Parkklinik w Dahlem.

Detektyw wolno powtórzył ostatnie słowa i robił przy tym odręczne notatki.

– Dobrze, każę to sprawdzić.

– Ale przedtem musisz zrobić coś innego.

Usłyszał westchnienie na drugim końcu.

– Co?

– Czy masz jeszcze klucz do Schwanenwerder?

– Masz na myśli kartę magnetyczną, która umożliwia wejście na posesję?

– Właśnie tak.

- Owszem, mam.
 - To dobrze. Musisz wejść do mojego gabinetu. Otwórz sejf, szyfr to data urodzin Josy w odwrotnej kolejności, i wyjmij proszę wszystkie CD-ROM-y. Nie da się ich przeoczyć.
 - Co na nich jest?
 - Policja poprosiła nas wtedy, żeby zachować wszystkie nagrania z zewnętrznych kamer monitoringu z pierwszego miesiąca po wprowadzeniu.
 - Przypominam sobie. Mieli nadzieję, że porywacz wmieszał się w tłum gapiów.
 - Właśnie. Weź nagrania z pierwszego tygodnia po porwaniu i przejrzyj je.
 - Przecież robili to już specjaliści. Bez żadnego rezultatu.
 - Ponieważ szukali mężczyzny.
 - A kogo ja mam szukać?
 - Anny. Szukaj delikatnej blondynki, która czekała przed wjazdem do posiadłości razem z dziennikarzami. Masz już jej personalia, na pewno znajdziesz jej zdjęcie w Internecie.
- Viktor usłyszał, że jakość połączenia się nieco polepszyła, kiedy Kai mówił dalej. Prawdopodobnie opuścił szpitalny korytarz i znowu wszedł do laboratorium.
- Dobrze. Skoro o to prosisz. Sprawdzę Annę i przejrzę nagrania. Ale nie rób sobie za dużych nadziei. Wprawdzie historie, które ona opowiada, brzmią interesująco, ale są w nich zbyt duże luki. Nie zapominaj, że włamanie do twojego bungalowu miało miejsce dopiero w ostatnim tygodniu.
 - No tak. Wiem, co myślisz. Ale w takim razie wyjaśnij mi to, co się tam stało, jeśli to wszystko tutaj nie ma nic wspólnego z Josy. Mówiłeś, że łazienka jest pełna krwi. Czy chcesz mi powiedzieć, że w moim domu nie zamordowano Josy, lecz inną dziewczynkę?
 - Po pierwsze: nie jest pewne, że chodzi o krew dziewczynki. A po drugie: nie.
 - Co „nie”?
 - W twojej łazience nikogo nie zamordowano, ponieważ krew z całą pewnością nie pochodzi z rany.
 - Jak ktoś może zapaprać całą łazienkę krwią, jeśli nie jest ranny?! – Viktor wykrzyczał ostatnie zdanie do telefonu. Był tak wyczerpany i jednocześnie tak przejęty, że w ogóle już nie myślał o tym, czy Anna podsłuchuje jego rozmowę, czy nie.
 - Przecież cały czas próbuję ci to powiedzieć. Badanie wykazało obecność komórek błony śluzowej we krwi.
 - Co to ma oznaczać? – zapytał Viktor i zaraz sam sobie odpowiedź. – Myślisz, że tu chodzi...
 - Tak. Uspokój się, proszę. Wynik analizy jest jednoznaczny. To krew menstruacyjna.

Dzień dzisiejszy. Pokój 1245. Klinika w Wedding

Na dworze zrobiło się ciemno. Na korytarzach kliniki automatycznie włączyło się oświetlenie i w białozółtym świetle plafonu na suficie doktor Roth wyglądał jeszcze bardziej blado niż zazwyczaj. Viktor Larenz po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że ordynator ma niezwykle duże zakola. Do tej pory zrecznie maskował je, zaczesując do przodu włosy. Ale w ostatnich kilku sekundach opowieści Viktora doktor Roth coraz częściej przejeżdżał palcami po włosach, odsłaniając wyłysiałe miejsca.

– Jest pan zdenerwowany, doktorze Roth?

– Nie. Tylko ciekawy. Jestem bardzo ciekawy, jak dalej potoczy się ta historia.

Viktor poprosił lekarza o szklankę wody i doktor Roth podał mu ją ze słomką, żeby mógł pić, nie używając przy tym rąk, które miał przywiązane.

– Ale mam też sporo pytań – kontynuował doktor Roth, podczas gdy Viktor pociągnął pierwszy łyk.

– Na przykład?

– Dlaczego nie szukał pan Sindbada? Gdyby mnie uciekł pies, nie mógłbym spokojnie usiedzieć w domu ani minuty.

– Ma pan rację. Sam dziwiłem się mojemu niemal całkowitemu zubożeniu, teraz myślę, że wszystkie siły i emocje straciłem na poszukiwanie córki. Czuję się jak weteran wojenny, który tyle razy był już w ogniu bitwy, że teraz, kiedy koło uszu świszczą mu kule, on siedzi nieruchomo i beznamiętnie w okopie. Potrafi pan to zrozumieć?

– Tak. Ale dlaczego nie poinformował pan żony o tym, co działo się na Parkum? Musiał pan sięgnąć po słuchawkę, chociażby po ucieczce psa.

– Tak zrobiłem. Prawie codziennie próbowałem się do niej dodzwonić. Muszę przyznać, że na początku nie byłem pewny, czy powinienem opowiedzieć jej o Annie. Była przeciwna nawet wywiadowi, nad którym wtedy już nie pracowałem. Gdyby się dowiedziała, że zamiast tego znów przeprowadzam sesje terapeutyczne, to już tego samego dnia przyleciałaby z Nowego Jorku. Ale najpierw nie udawało mi się połączyć z jej pokojem. Wszystko, co mogłem zrobić, to zostawiać dla niej kolejne wiadomości w recepcji.

– I oddzwoniła do pana?

– Tak. Raz.

– I co?

Viktor wskazał głową w kierunku stolika przy łóżku i doktor Roth ponownie podsunął mu szklankę z wodą.

– Ile...?

Viktor przerwał zdanie, żeby pociągnąć długi łyk.

– Ile czasu nam jeszcze zostało?

– Myślę, że jakieś dwadzieścia minut. Pana adwokaci są już w budynku i w tej chwili naradzają się z profesorem Malziusem.

Adwokaci.

Viktor próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz potrzebował pomocy prawnej. Teraz już nie wystarczy mu ten dryblasowaty prawnik specjalizujący się w wykroczeniach drogowych, który w 1997 roku uratował mu prawo jazdy. Tym razem będą mu potrzebni prawdziwi profesjonaliści. Bo teraz nie chodziło o stłuczkę.

Teraz chodziło o jego życie.

– Czy oni są naprawdę dobrzy?

– Adwokaci? Tak. O ile wiem, są to najlepsi znawcy prawa karnego, których można wynająć w Niemczech za pieniądze.

– I chcę dowiedzieć się ode mnie, co stało się z Anną?

– Między innymi. Muszą to wiedzieć, jeśli mają podjąć się pana obrony. W końcu chodzi o morderstwo.

Morderstwo.

Po raz pierwszy padło to słowo. Do tej pory cały czas go unikali. Chociaż obaj doskonale wiedzieli, że doktora Viktora Larenza czeka więzienie. Chyba że zakończenie jego opowieści zdoła przekonać sędziego, że nie miał innego wyboru niż zabić.

– Morderstwo czy nie, ale nie wydaje mi się, żebym miał dzisiaj jeszcze tyle siły, żeby wszystko powtórzyć. Poza tym ciągle mam nadzieję, że za dwadzieścia minut już mnie tu nie będzie.

– Niech pan o tym zapomni. – Doktor Roth zabrał mu szklankę i znowu przejechał dłonią po włosach. – Lepiej niech mi pan opowie, co działo się dalej. Co ma do tego krew menstruacyjna? I co jeszcze powiedziała panu Anna, kiedy wrócił pan do salonu?

– Nic.

Doktor Roth spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Jeszcze podczas mojej rozmowy z detektywem niepostrzeżenie wyszła z domu. „Nie chcę przeszkadzać. Jest pan bardzo zajęty. Porozmawiamy jutro”, napisała na kartce, którą zostawiła na biurku. Miałem nerwy w strzępach. Teraz, kiedy sobie poszła, znowu musiałem jakoś przetrwać noc, zanim dowiem się czegoś więcej.

O Charlotte. O Josy.

– Więc poszedł pan spać?

– Nie. Jeszcze nie. Przedtem miałem jeszcze jedną, całkowicie niespodziewaną wizytę.

Dziesięć minut po tym, jak zakończył rozmowę z Kaiem, rozległo się pukanie do drzwi. Przez chwilę Viktor miał nadzieję, że to wróciła Anna. Jednak ta nadzieja szybko się rozplynęła, kiedy stwierdził, że był to tylko Halberstaedt, który walcząc z wichrem, przyszedł do jego domu i teraz stał w drzwiach z poważną miną. Również tym razem stary burmistrz nie chciał wejść do środka, podał tylko Viktorowi bez słowa małą paczuszkę.

– Co to jest?

– Rewolwer.

Viktor cofnął się o krok, jakby Halberstaedt rozsiewał zarazki.

– Co, na Boga, mam z tym zrobić?

– Tak będzie lepiej. To dla pana obrony.

– Obrony przed czym?

– Przed nią. – Halberstaedt wskazał kciukiem za siebie. – Widziałem, że znowu była u pana.

Viktor z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Niech pan posłucha. Wie pan, że darzę pana szacunkiem. – Wyciągnął chustkę z kieszeni spodni i dyskretnie wytarł ciekący nos, nie wydmuchując go. – Ale jestem psychiatrą. I nie mogę pozwolić, żeby pan szpiegował mnie i moich pacjentów.

– A ja jestem tu burmistrzem i bardzo się martwię o pana.

– Rozumiem. Dziękuję. Wiem i doceniam to. Naprawdę. Ale dopóki nie będzie ku temu uzasadnionego powodu, nawet nie dotknę tego przedmiotu. – Viktor chciał oddać paczuszkę, ale Halberstaedt nie wyjął rąk z kieszeni zniszczonych dzinsów.

– Jest powód – mruknął ponuro.

– Słucham?

– Jest powód, dla którego powinien pan mieć w domu broń. Dowiadywałem się o tę kobietę. Rozmawiałem ze wszystkimi, którzy widzieli ją na wyspie.

– I co? – Viktor poczuł nagle metaliczny smak w ustach. A więc Kai Strathmann nie był jedynym człowiekiem, który szpiegował teraz Annę.

– Ta kobieta nieźle wystraszyła Burga.

– Michaela Burga? Tego od promu? A co mogło go przestraszyć?

– Powiedziała mu, że ma z panem rachunek do wyrównania.

– Co takiego?

– Tak. I że to napsuje panu dużo krwi.

– Nie wierzę.

Wszędzie pełno krwi.

Halberstaedt wzruszył ramionami.

– Mnie tam wszystko jedno. Może pan wierzyć, w co pan chce. W każdym razie będę spał spokojniej, kiedy będę wiedział, że jest pan uzbrojony. Ona też jest uzbrojona.

Viktor nie miał pojęcia, co powinien odpowiedzieć. Zaraz jednak przyszło mu na myśl coś równie ważnego i złapał za ramię Halberstaedta, który już się odwrócił, żeby odejść.

– Mam inny problem. Może widział pan mojego psa?

– Sindbad nie żyje?

Brutalne pytanie całkowicie Viktora zaskoczyło, jak nagle trzęsienie ziemi. W dodatku poczuł się tak, jakby był bardzo blisko jego epicentrum.

– Skąd panu to przyszło do głowy? Znaczy... Nie, mam nadzieję, że jednak nie. Tylko uciekł. Zostawiłem panu wiadomość na sekretarce.

– Hm, rozumiem – powiedział cicho Halberstaedt i lekko skinął głową. – Od razu panu mówiłem, że coś nie gra z tą kobietą.

Viktor chciał odpowiedzieć, że nie ma żadnego dowodu na to, że Anna ma jakiś związek ze zniknięciem Sindbada, ale zatrzymał to dla siebie.

– Będę miał oczy i uszy otwarte – obiecał Halberstaedt, ale jego słowa nie zabrzmiały tak, jakby myślał o tym poważnie.

– Dziękuję.

– I pan też powinien zrobić to samo. Nie tylko z powodu psa. Ta kobieta jest niebezpieczna.

Burmistrz odszedł bez słowa pożegnania.

Viktor przez jakiś czas patrzył za nim i zmarzył tak bardzo, że zaczął szcząkać zębami jak mały chłopiec, który za długo siedział w basenie. Szybko zamknął drzwi, zanim wiatr zdążył nawiać do domu jeszcze więcej zimna i wilgoci.

Jeszcze w korytarzu zastanawiał się, czy nie wrzucić rewolweru do pojemnika na śmieci stojącego przed domem. Broń przejmowała go grozą i z zasady nie chciał jej mieć w swoim zasięgu. W końcu włożył nierozpakowaną paczuszkę do najniższej szuflady mahoniowej komody w korytarzu i postanowił, że jutro rano zwróci ją Halberstaedтови.

Przez następne minuty wpatrywał się pogrążony w myślach w gasnący ogień w kominku i zastanawiał się, co ma sądzić o wydarzeniach z ostatnich godzin.

Sindbad zniknął.

Ktoś, młoda kobieta, może dziewczynka, włamała się do jego weekendowego bungalowu i dostała tam miesięczki.

A burmistrz wyspy przyniósł mu rewolwer.

Viktor zdjął buty i położył się na sofie. Sięgnął do kieszeni spodni i połknął ostatnią tabletkę valium, którą w zasadzie trzymał w zapasie na dzisiejszą noc. Następnie poczekał na jej rozluźniające działanie. Miał nadzieję, że złagodzi to objawy grypy. Zamknął oczy i próbował pozbyć się bólu, który niczym obręcz ścisnął mu głowę. Na krótką chwilę nawet mu się to udało i po raz pierwszy od długiego czasu jedna dziurka od nosa się odetkała. Dzięki temu znowu poczuł ciężki zapach perfum, jaki zostawiła po sobie Anna, kiedy zaledwie pół godziny temu siedziała dokładnie w tym miejscu.

Viktor zastanawiał się, co w tej chwili przyprawia go o większy niepokój: budzące obawy zachowanie Anny czy tajemnicza przepowiednia burmistrza.

Nie zdążył jeszcze dojść do żadnych wniosków, kiedy wrócił dawny koszmar.

Od czasu zniknięcia Josy wizja ciągle wracała w nieregularnych odstępach czasu. Ale nieważne, czy nawiedzała go kilka razy w tygodniu, czy tylko raz w miesiącu – nigdy się nie zmieniała. Wszystko rozgrywało się zawsze w środku nocy. Viktor siedział za kierownicą swojego volvo, Josy obok niego, na przednim siedzeniu. Viktor usłyszał o nowym specjalistcie na północy kraju, który ewentualnie mógł pomóc jego dziecku. I teraz już od kilku godzin byli w drodze do tego lekarza, który mieszkał nad morzem. Samochód jechał o wiele za szybko, ale Viktor nie mógł zredukować biegów. Choć Josy prosiła go, żeby zmniejszył prędkość, nie udawało mu się tego zrobić. Na szczęście szosa prowadziła prosto nad morze. Bez zakrętów, bez rozjazdów. Nigdzie nie było świateł ani skrzyżowań. Od czasu do czasu z przeciwka nadjeżdżał inny pojazd, ale droga była dostatecznie szeroka i mimo znacznej szybkości ani razu nie znaleźli się w niebezpiecznej sytuacji. Po jakimś czasie Viktor zapytał, czy nie powinni być już dawno nad morzem. Josy tylko wzruszyła ramionami. Ona również wydawała się zdziwiona długą jazdą. Przy tak dużej prędkości powinni byli już dawno dotrzeć do nadmorskiej promenady. W zasięgu wzroku nie było widać innego pojazdu. I jeszcze coś dziwnego: robiło się coraz ciemniej. Im dalej jechali, tym mniej latarni stało na poboczu drogi. Zamiast tego gęstniały szpalery drzew. Wreszcie skończyło się oświetlenie i po obu stronach coraz węższej drogi rozciągał się gęsty, nieprzenikniony las.

W tym miejscu snu Viktor zawsze czuł pierwszą oznakę zbliżającego się przerażenia. Nie strachu, nie obawy, lecz niezdefiniowanej zgrozy, która go paraliżowała i stawała się jeszcze silniejsza, kiedy stwierdzał, że nie może zwolnić. Naciskał na hamulec, ale ten nie działał. Zamiast tego samochód jeszcze zwiększał prędkość i coraz szybciej mknął prostą jak strzelił drogą. Viktor zapalił wewnętrzne oświetlenie volvo i Josy szukała drogi na mapie. Ale nie mogła znaleźć szosy, na której się znajdowali.

W którymś momencie roześmiała się z ulgą i wyciągnęła rękę przed siebie.

– Tam, tam jest światło. Coś musi być przed nami.

Viktor też zobaczył w dużej odległości słabe światło, którego natężenie rosło, im bardziej się do niego zbliżali.

– To musi być skrzyżowanie lub wieś. Może plaża. Po prostu musimy jechać dalej.

Viktor przytaknął, a jego puls znowu nieco się uspokoił. Wiedzieli, że tam, dokąd prowadziła ich droga, będą bezpieczni. Teraz nawet celowo zwiększył prędkość samochodu i jechał jeszcze szybciej niż do tej pory. Chciał wyjechać z lasu. Z ciemności.

Ale potem w jednej chwili wszystko wróciło.

Zgroza. Przerażenie.

Nagle bowiem wszystko wokół niego stało się zupełnie wyraźne. W jednej chwili Viktor zrozumiał, co to było za światło, które czekało tam na nich. Zauważył pomyłkę Josy i własny błąd, który zaczął się od tej podróży w środku nocy. Josephine również się zaniepokoiła, kiedy wyjrzała przed boczna szybę.

Nie było drzew, które rosły po bokach drogi w ciemności. W ogóle nic tam nie było. Tylko woda. Czarna, zimna, ciemna i nieskończenie głęboka woda.

Ale było za późno. Viktor wiedział, że nic im już nie pomoże.

Cały czas jechali pomostem nad wodą. Prawie godzinę szukali drogi do morza, a cały czas znajdowali się dokładnie nad nią. Odjechali na kilka kilometrów od brzegu i pędzili teraz do świateł na końcu mola, nie mając możliwości zatrzymania się.

Viktor próbował skrócić kierownicę, ale ta też nie działała. Ponieważ to nie on kierował samochodem, lecz samochód wiózł go tam, gdzie chciał.

Auto z ogromną prędkością dojechało do końca drogi, spadło z pomostu i przeleciało kilkanaście metrów nad falami Morza Północnego, aż wreszcie zaczęło opadać w dół. Viktor patrzył przez przednią szybę, próbował coś zobaczyć w słabym świetle reflektorów. Ale przed nim nie było widać nic poza

nieskończenie wielkim oceanem, który za chwilę miał ich pochłonać. Josy, samochód i jego.

Viktor za każdym razem budził się w tej samej sekundzie, a więc tuż przed tym, jak samochód uderzał w powierzchnię wody. Był to dla niego najgorszy moment snu. Nie dlatego, że wiedział, że za chwilę utopi się razem ze swoją jedyną córką, ale dlatego, że popełnił błąd. Na krótko przed tym, jak wbili się w fale, jeszcze raz spojrzął w lusterko wsteczne. To, co tam zobaczył, za każdym razem zmuszało go do krzyku, a krzyk zawsze budził jego i wszystkich, którzy znajdowali się w pobliżu. Była to najgorsza, przyprawiająca go o zgrozę wizja. Nie widział w nim nic. Lusterko było puste.

Molo, którym tak długo jechali w morze, rozplynęło się w powietrzu, wyparowało.

Viktor powoli usiadł na łóżku i zauważył, że jego piżama jest całkiem przepocona. Prześcieradło było miejscami przemoczone, a ból gardła stał się jeszcze silniejszy.

Co się ze mną dzieje?, myślał, czekając, aż jego serce się uspokoi i tętno wróci do normy. Nawet nie pamiętał, kiedy wczoraj wieczorem wstał z kanapy i poszedł na górę do sypialni. A cóż dopiero, że się rozebrał. I było coś jeszcze, czego nie potrafił sobie wytłumaczyć: temperatury w sypialni. Viktor sięgnął po omacku w prawo do nocnego stolika i zapalił diodę wyświetlacza w budziku. Było dokładnie wpół do czwartej w nocy, a termometr przy zegarze wskazywał zaledwie osiem stopni Celsjusza. Widocznie stanął agregat prądowórczy i jak na potwierdzenie tego, kiedy Viktor chciał włączyć lampkę nocną, nic się nie zmieniło. W pokoju nadal panowała ciemność.

Niech to wszystko szlag! Najpierw Sindbad, potem Anna, przeziębienie, sen, a teraz to. Viktor odrzucił kołdrę, sięgnął po latarkę, którą trzymał w pogotowiu obok łóżka właśnie w razie takiej sytuacji, i wstrząsany dreszczami zszedł po skrzypiących drewnianych schodach. Chociaż dawniej nie był specjalnie bojaźliwy, to teraz, kiedy światło latarki omiało fotografie wiszące na ścianie przy schodach, poczuł się nieswojo. Jego roześmiana matka na plaży z psami. Ojciec z fajką przy kominku. Cała rodzina podziwiająca zdobycz wędkarską ojca.

Jak u człowieka, który zasypia w narkozie, wspomnienia rozbłyskiwały na ułamek sekundy, żeby po chwili znowu zniknąć w ciemności.

Kiedy Viktor otworzył drzwi frontowe, uderzył go w twarz silny podmuch wiatru, który przyniósł do domu nie tylko wilgoć, lecz także resztki jesiennych liści. No, świetnie, pomyślał. Teraz oprócz grypy dostanę na dodatek zapalenia płuc.

Włożył sportowe buty i niebieską kurtkę przeciwdeszczową z kapturem na jedwabną piżamę. W tym stroju pobiegł do szopy z generatorem, która stała za domem oddalona o jakieś dwadzieścia metrów od tarasu. Deszcz całkowicie rozmiękczył piaszczystą ścieżkę i gdzieś tam utworzyły się na niej spore kałuże i dziury wypełnione wodą, ale Viktor nie widział ich w skąpym świetle latarki. Dlatego już po przebyciu dwóch trzecich drogi jego buty i nogawki spodni od piżamy były przemoczone. Mimo deszczu, który smagał go po twarzy, Viktor zmuszał się, żeby zwolnić kroku, bo nie chciał się pośliznąć i przewrócić. W jego apteczce podróźnej znajdowały się tylko najpotrzebniejsze leki na przeziębienie, ale nie miał niczego do opatrzenia większych zranień. A otwarte złamanie nogi było na pewno ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował na tej odciętej od świata i nawiedzanej przez sztorm wyspie.

Błaznana szopa, w której znajdował się generator, stała na granicy działki stanowiącej publiczną plażę i była odgradzona od niej zniszczonym białym płotkiem.

Viktor dobrze pamiętał wysiłek, z jakim rodzina po raz kolejny zabezpieczała płot przed złymi warunkami pogodowymi. Najpierw szlifowano spróchniałe już drewno, następnie kładziono lakier konserwujący i wreszcie malowano go okropnie śmierdzącą białą farbą. Przy każdej z tych czynności musiał asystować ojcu. Ale dzisiaj z powodu zaniedbania w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci płot podupadł tak samo jak generator, który Viktor miał nadzieję znowu uruchomić.

Wierzchem dłoni wycierał krople deszczu z czoła i z oczu, i nagle przestał. No nie! Przypomniał to sobie, zanim lekko nacisnął nadłamaną plastikową klamkę. Klucze. Wisiały na desce na narzędzia obok skrzynki z bezpiecznikami w piwnicy, i to ich zapomniał.

Cholera!

Wściekle kopnął w zamknięte metalowe drzwi i przestraszył się zgrzytliwego hałasu, jaki w ten sposób wywołał.

– Nie ma się czym przejmować. Tu, na odludziu, nikt mnie nie usłyszy. A już na pewno nie w taką pogodę.

Znowu rozmawiał sam z sobą i mimo niskiej temperatury na dworze zaczął się pocić. Zsunął kaptur z głowy. I nagle wszystko wokół niego zwolniło tempo. Ogarnęło go irracjonalne uczucie, że ktoś

zatrzymał jego wewnętrzny zegar i czas stanął w miejscu. W rzeczywistości trwało to tylko ułamek sekundy, ale nagle Viktor zaczął rejestrować zdarzenia dziejące się wokół niego w zwolnionym tempie.

Trzy rzeczy szukały sobie drogi w jego świadomości. Pierwszą był hałas, który usłyszał dopiero teraz, kiedy jego uszu nie zakrywał już kaptur – generator cały czas warczał.

Jak może warczeć, skoro nie ma prądu?

Drugą rzeczą było światło. Viktor odwrócił się i zobaczył, że jego sypialnia jest oświetlona. Lampka nocna, którą daremnie próbował włączyć przed kilku minutami, łagodnie rozjaśniała pokój.

I trzecią rzeczą był człowiek. Stał w jego sypialni i patrzył przez okno. Wprost na niego.

Anna?

Viktor odrzucił latarkę i zaczął biec. Ale to był błąd. Znajdował się już w połowie drogi do werandy, kiedy światło w sypialni znowu zgasło i dom wraz z całym otoczeniem ponownie pograżył się w całkowitej ciemności. Viktor musiał najpierw odszukać miejsce, gdzie rzucił latarkę, zanim mógł z powrotem pobiec do domu i po schodach na górę na korytarz. Wciąż jeszcze w upiornych ciemnościach, przecinanych coraz słabszym światłem latarki, pędził długimi susami po schodach do sypialni. Nic.

Dysząc, oświetlił każdy róg pokoju. Nic, poza kompletem mebli wypoczynkowych z drewna tekowego obok okna, antyczną komodą wraz z toaletką Isabell, na której teraz leżały jego płyty CD, i wzbudzającym szacunek małżeńskim łóżem jego rodziców. Nikogo nie było widać również wtedy, kiedy włączył górne światło. Najwidoczniej generator znowu pracował.

A może w ogóle nie miał awarii?

Usiadł na brzegu łóżka i próbował uspokoić zarówno oddech, jak i myśli. Co się z nim dzieje? Czyżby tego wszystkiego było już dla niego za wiele? Anna, Josy, Sindbad? Najpierw wymknął się chory podczas ulewnego deszczu z domu. Poszedł do rzekomo popsutego generatora, który nagle znowu zaczął pracować, a potem, jakby stracił resztki rozumu, popędził za zjawą.

Wstał, obszedł dookoła łóżko i wytrącony z równowagi popatrzył na budzik: dwadzieścia i pół stopnia Celsjusza. Wszystko było w całkowitym porządku.

Z wyjątkiem mojego zachowania, pomyślał i pokręcił głową. Co się ze mną dzieje?

Ponownie zszedł na dół, żeby zamknąć drzwi.

Prawdopodobnie był to koszmar, skutek sprawy z Sindbadem czy też przeziębienia, próbował się uspokoić i zaryglował drzwi, a za chwilę znowu je otworzył. Schylił się i wyjął spod donicy zapasowy klucz. *Lepiej dmuchać na zimne*, pomyślał i od razu poczuł się o wiele lepiej, kiedy jeszcze sprawdził okiennice na parterze.

Wrócił do łóżka, wypił duży łyk syropu na przeziębienie i na kilka godzin zapadł w niespokojny sen.

Tej nocy zgodnie z ostrzeżeniami przed sztormem podawanymi przez kanał pogodowy wiatr dalej się utrzymywał i uderzał w małą wyspę od strony otwartego morza coraz gwałtowniejszymi porywami. Spiętrzał wodę w kilkumetrowe fale i nie słabnąc, pędził je na brzeg i dalej aż na wydmy. Porywy wichru łamały gałęzie drzew, trzęsły oknami domów i rozwiewały wszystkie ślady na piasku. Także małe odciski stóp kobiety, które prowadziły z domu doktora Larenza w ciemność.

Parkum, dzień przed poznaniem prawdy

Krótko po ósmej obudził Viktora dzwonek telefonu. Ciężko poczłapał na dół i podniósł słuchawkę z nadzieją, że wreszcie dzwoni Isabell. Ale się mylił.

– Czy przeczytał pan moją wiadomość?

Anna.

– Tak. – Viktor chrząknął i znowu musiał zakasać. Zajął mu kilka sekund, zanim był zdolny kontynuować rozmowę.

– Nie chciałam wczoraj panu więcej przeszkadzać, ale wieczorem i w nocy jeszcze długo nad tym myślałam.

I wybrałaś się na spacer? Może do mojej sypialni?

– I teraz wreszcie mam siłę, żeby opowiedzieć o końcu.

Końcu Josy.

– Dobrze – zaskrzeczał Viktor do słuchawki i zdziwił się, że tym razem Anna jeszcze nie skomentowała znacznie gorszego stanu jego zdrowia. Prawdopodobnie dlatego, że dziś rano sama miała dość niewyraźny głos, ale można to było zrzucić na karb złego połączenia. Telefon szumiał jak podczas rozmowy z Ameryką w latach siedemdziesiątych.

– Jeśli to panu nie przeszkadza, chętnie omówiłabym to teraz przez telefon. Dzisiaj nie czuję się na tyle dobrze, żeby pana odwiedzić. Ale mimo wszystko chciałabym to już z siebie zrzucić.

– Oczywiście.

Viktor spojrzął na swoje bose stopy i był zły na siebie, że nie włożył przynajmniej kapci i szlafroka.

– Mówiłam już panu, że musiałyśmy uciekać z domu Charlotte, czyli tego zamku na wyspie?

– Przed Złem, jak się pani wyraziła. Tak.

Viktor przyciągnął jedną nogą mały perski dywanik, który zwykle leżał pod stolikiem przy kanapie. Teraz przynajmniej nie musiał już stać boso na parkiecie.

– A więc pobiegłyśmy z powrotem do samochodu i ruszyłyśmy w kierunku Hamburga. Charlotte nie powiedziała, po co miałyśmy tam jechać. Dawała mi jedynie polecenia, a ja je wykonywałam.

– Co wydarzyło się w Hamburgu?

– Wynajęłyśmy pokój w hotelu Hyatt przy Mönckebergstrasse. Charlotte pozwoliła mi wybrać hotel. A ja zdecydowałam się na to dość luksusowe miejsce, ponieważ w lepszych dla mnie czasach miałam kiedyś w holu tego hotelu bardzo dla mnie korzystne spotkanie z moim agentem. Miałam teraz nadzieję, że szlachetny, korzenny zapach, jaki czuło się w całym atrium, ożywi stare, dobre wspomnienia.

Viktor przytaknął. Sam często zatrzymywał się w pięciogwiazdkowych hotelach. Przeważnie w De Lux Suite.

– Niestety, było całkiem odwrotnie. Pograżałam się w coraz większej depresji i rozdrażnieniu. Ledwie mogłam zebrać myśli. Poza tym Charlotte stawała się dla mnie coraz większym ciężarem. Nie było z nią najlepiej. Ciągle robiła mi wyrzuty. Więc znowu dałam jej lekarstwa i, kiedy zasnęła na łóżku, zaczęłam pracować.

– Nad dalszym ciągiem książki?

– Tak. Jeżeli nie chciałam wiecznie żyć w tym koszmarze, musiałam napisać ją do końca. Przynajmniej tak sobie myślałam. Po długim namyśle znalazłam wreszcie coś w rodzaju nici przewodniej następujących rozdziałów.

– A mianowicie?

– Musiałam napisać o przyczynie choroby Charlotte, a przy tym uwzględnić ślady, jakie mi dotąd wskazała. Powiedziała, że wszystko zaczęło się w bungalowu. Dlatego najpierw pomyślałam, że muszę tak opowiedzieć tę historię, jakby pierwsze symptomy choroby Charlotte wystąpiły w domu w lesie.

Nie, pomyślał Viktor. Wszystko zaczęło się od lekarza pogotowia w drugi dzień świąt. Nie w Sacrow. Lecz na Schwanenwerder.

– Ale potem zrozumiałam, że Charlotte, mówiąc „początek”, musiała mieć na myśli coś innego. Wysłała mnie do domu weekendowego, żeby sprawdzić, czy czegoś nie brakuje.

Toaletki? Telewizora? Plakatu boysbandów?

– Miałam szukać jakiejś zmiany. Poza tym musiało tam stać się coś złego. Tak złego, że Charlotte nie odważyła się wejść do środka. I musiało to mieć związek z osobą, która była w pokoju, kiedy chciałam do niego wejść.

Viktor odczekał, aż mógł być pewien, że Anna sama z siebie nie powie nic więcej.

– I co?

– Co znaczy „i co”?

Viktor już miał ochotę ją ofuknąć, że musi o wszystko ciągnąć ją za język. Ale zachował spokój, żeby Anna nie przerwała rozmowy w rozstrzygającym miejscu, jak to robiła ostatnio.

– I co pani w końcu napisała?

– Jeszcze pan pyta? Przecież ma pan to przed sobą jak na dłoni.

– W jakim sensie?

– Nie widzi pan tego? Przecież jest pan analitykiem. Po prostu niech pan wszystko ze sobą połączy.

– Nie jestem pisarzem.

– Proszę nie używać takich samych argumentów jak Charlotte. – Anna próbowała zażartować, ale Viktor nie podchwycił tego tonu. Zamiast tego czekał na odpowiedź.

Był to stan, w którym znajdował się przez ostatnie cztery lata: czekanie. W strachu. Szukając odpowiedzi. W tym czasie zdążył już przeanalizować w duchu setki tysięcy wariantów. Kazał umierać córce na setki tysięcy sposobów, aż w końcu sam od tego umarł. To sprawiło, że był teraz przygotowany na każdy rodzaj bólu. Ale kiedy wreszcie usłyszał słowa Anny, zrozumiał, że tak mu się tylko zdawało.

– To przecież oczywiste, że Charlotte została otruta! – powiedziała Anna.

Na to zdanie Viktor nie był przygotowany. Oddychał płytko i był niemal wdzięczny, że chłód, który w czasie rozmowy telefonicznej stawał się coraz bardziej dokuczliwy, zagłusza dominujące w nim uczucie: przerażenie. Najchętniej odłożyłby słuchawkę i pobiegł na górę do łazienki, żeby wymiotować. Ale na to brakowało mu siły.

– Doktorze Larenz?

Wiedział, że musi coś powiedzieć. Cokolwiek, żeby zachować pozór, że dalej jest neutralnym analitykiem, a nie ojcem jej urojenia. Charlotte była halucynacją. Nieprawidłową reakcją chemiczną w mózgu Anny.

Żeby trochę zyskać na czasie, Viktor zdecydował się na standardowy frazes wszystkich psychologów.

– Proszę mówić dalej.

Ale popełnił błąd. Ponieważ następne słowa Anny okazały się jeszcze trudniejsze do zniesienia.

Otruta? – Głos detektywa, nawet biorąc pod uwagę właściwy mu głęboki bas, nabrał nienaturalnej siły. Viktor złapał go w samochodzie, w drodze z Schwanenwerder do biura w Berlin-Mitte.

– Jak ta Spiegel na to wpadła?

– Ja też tego nie rozumiem. Najwidoczniej posklejała poszczególne fakty w całkiem prawdopodobną historię.

– Fakty? Masz na myśli jej halucynacje.

Viktor usłyszał niecierpliwy dźwięk klaksonu i domyślił się, że Kai znowu jedzie autostradą bez zestawu głośnomówiącego.

– Tak. Powiedziała, że w bungalowie musiało się coś wydarzyć. Stało się coś, co wywołało u Josy poważną zmianę...

– U Charlotte – poprawił Kai.

– Tak, oczywiście, tak chciałem powiedzieć. Ale przez chwilę założmy, że rozmowa rzeczywiście dotyczyła mojej córki. W takim razie Josephine przeżyła w domu weekendowym coś, co nią silnie wstrząsnęło. Coś złego. Co stało się impulsem.

– Do czego? Że ktoś przyszedł i ją otruł?

– Tak.

– I kto to niby miał zrobić?

– Josy.

– Czy możesz powtórzyć?!

Szum w telefonie Viktora przycichł. Widocznie Kai zjechał na pobocze.

– Sama Josy. Sama się otrula. To jest puentą historii Anny. Zdarzenie musiało być tak straszne, że postanowiła zakończyć życie za pomocą trucizny. Stopniowo, w małych dawkach. Przyjmowała ją miesiącami, żeby lekarze nic nie zauważyli.

– Zaczekaj. Co ty mówisz? Na Boga, dlaczego?

– Co prawda nie jesteś psychiatrą, ale pewnie znasz syndrom Münchhausena?

– Chodzi ci o patologicznych kłamców?

– Coś w tym rodzaju. Pacjent z zespołem Münchhausena to człowiek, który sam wyrządza sobie krzywdę, żeby wywołać współczucie innych ludzi. Człowiek, który się nauczył, że skupia na sobie większą uwagę, jeśli jest chory.

– I dlatego sam się truje? Żeby ktoś przychodził do jego łóżka?

– Żeby przynosił mu prezenty i smakołyki i ciągle współczuł, i matkował pozornie choremu. Tak to właśnie wygląda.

– To jest chore.

– Tacy ludzie są nawet bardzo chorzy. Niezwykle trudno jest ich leczyć, ponieważ pacjenci z zespołem Münchhausena są bardzo utalentowanymi aktorami. Potrafią wiarygodnie symulować najcięższe choroby i nabierają nawet najlepszych lekarzy i psychologów. U takich pacjentów zamiast prawdziwej choroby przeważnie leczy się udawane objawy. Albo prawdziwe, jeśli na przykład pacjent wypił środek chwastobójczy, żeby uwiarygodnić opowieść o chronicznych wrzodach żołądka.

– Zaczekaj, ale... chyba nie wierzysz, że twoja córka... Na Boga, ona miała dopiero jedenaście lat, kiedy zaczęła się u niej choroba!

– Albo zatrucie. Sam już nie wiem, w co mam wierzyć. W tym momencie uczepliłem się nawet wypowiedzi mającej urojenia, chorej umysłowo kobiety. Jak widzisz, daję wiarę każdej hipotezie, o ile wnosi ona trochę światła w ten najciemniejszy rozdział mojego życia. I rzeczywiście, to byłaby możliwa odpowiedź. Pierwsza rzeczywiście konkretna odpowiedź, jakkolwiek byłaby okrutna.

– Dobrze. Zapomnij na krótko, że wszystko, co tu robimy, jest szaleństwem.

Kai znowu włączył się do ruchu.

– Przyjmijmy, że ta Anna faktycznie mówi o Josy. I założmy, że ma rację, i twoja córka sama się truła. W takim razie chciałbym jeszcze wiedzieć: czym? I nie mów mi teraz, że dwunastolatka wiedziałaby, jaki brać środek, żeby uśmiercać się w taki sposób, żeby przez prawie rok nie wpadł na to żaden lekarz.

– Ja też jeszcze tego nie wiem. Ale teraz ty mnie posłuchaj. Jest mi obojętne, czy opowieść Anny zgadza się co do joty, czy w ogóle ma jakiś sens. Chcę tylko wiedzieć, czy ona ma jakikolwiek związek ze zniknięciem mojej córki. I nadal cię proszę, żebyś to sprawdził.

– Dobrze. Pomogę ci, zwłaszcza że ja też znalazłem coś ważnego.

– Nagrania?

Viktor poczuł, jak pot spływa mu po plecach, i nie wiedział, czy jest to spowodowane strachem, czy chorobą.

– Tak. Wykonałem twoje ostatnie polecenie i wyjąłem z sejfu nagrania z kamery przed domem. I teraz trzymaj się mocno.

– I co, zniknęły?

– Nie. Ale nagrania CD z pierwszych tygodni zostały skasowane.

– To niemożliwe. Były chronione hasłem. Nie można ich skasować. Najwyżej zniszczyć.

– Ale zrobiono to. Wczoraj wyjąłem je z sejfu i przejrzałem dziś rano osobiście. Nic na nich nie ma.

– Na wszystkich?

– Nie. I to jest zabawne. Tylko na tych z pierwszego tygodnia. Niedawno byłem u ciebie jeszcze raz, żeby rozejrzeć się, czy nie przeoczyłem jakichś płyt.

Viktor mocno trzymał się gzymsu kominka, ponieważ nogi ugięły się pod nim ze strachu.

– No i co? O czym to twoim zdaniem świadczy? – zapytał detektywa. – Czy ciągle jeszcze uważasz, że to wszystko nie ma ze sobą związku? Że to wszystko tylko przypadek?

– Nie, ale...

– Żadne ale. To pierwszy ślad od czterech lat. I nie dam się od niego odwieść.

– Przecież wcale tego nie chcę. Ale jest jedno ale, o którym powinieneś wiedzieć.

– Co to takiego?

– To ale nazywa się Anna Spiegel.

– I co z nią?

– Coś się z nią nie zgadza.

– Ach tak?

– Nie rozumiesz. Odrobiłem moje zadanie domowe. Sprawdziliśmy ją na wylot.

– I co?

– I nic.

– Co masz na myśli?

– Nie znalazłem niczego o tej kobiecie. Niczego.

– Czy to źle?

– Mało powiedziane. To bardzo źle. Ponieważ oznacza, że ta kobieta nie istnieje.

– Co przez to rozumiesz?

– To, co mówię: nie ma pisarki o tym nazwisku. A już na pewno nie odnoszącej sukcesy. Również w Japonii. Nie mieszkała w Berlinie, nie miała ojca, który kiedyś był moderatorem w rozgłośni AFN. Nie mieszkała w Steglitz.

– Cholera. Sprawdziłeś jej pobyt w klinice?

– Tam mi się na razie nie udało. Nie miałem dotąd dość czasu, żeby znaleźć w tej luksusowej klinice kogoś, kto za drobne kieszonkowe zapomni na chwilę o obowiązku zachowania tajemnicy lekarskiej. Ale pracuję nad tym. W następnym kroku chciałem zadzwonić do twojego następcy, van Druisena.

– Nie.

– Co znaczy „nie”?

– Zostaw to mnie. Jestem lekarzem, na pewno szybciej niż twój zespół zdobęde informacje zarówno u van Druisena, jak i w szpitalu. A ty rób swoje, sprawdź jeszcze raz pokój Josy. Wiesz, że od czasu jej zniknięcia nikt tam nie wchodził. Może znajdziesz tam jakieś wskazówki.

Truciznę? Proszki?

Viktor nie musiał mówić, czego Kai ma szukać.

– Okay.

– Sprawdź też, czy w hotelu Hyatt w Hamburgu przypominają sobie blondynkę z chorym dzieckiem, która mieszkała tam w zimie przed czterema laty.

– A po co?

– Po prostu zrób to.

– Ale przed czterema laty? Zdziwiłbym się, gdybym w ogóle znalazł tam kogoś, kto wtedy tam pracował.

– Zrób to.

– Dobrze. Ale w takim razie ja też proszę cię o przysługę.

– Mianowicie?

– Uważaj na siebie. Przestań się z nią spotykać. Nie wpuszczaj tej Anny Spiegel do swojego domu. Dopóki się nie dowiemy, kim ona jest naprawdę. Może jest niebezpieczna.

– Zobaczę.

– Hej. Mówię poważnie. Taka jest umowa: ja wykonam to, o co mnie prosisz, ale ty powstrzymasz się od dalszych osobistych kontaktów z tą osobą.

– Tak, tak. Spróbuję.

Kiedy Viktor odkładał słuchawkę, w głowie kołatała mu tylko jedna myśl:

Uważaj na siebie. Ta kobieta jest niebezpieczna.

W ciągu dwudziestu czterech godzin usłyszał te same słowa od dwóch różnych osób. I powoli sam zaczynał w nie wierzyć.

Parkklinik w Dahlem, mówi Karin Vogt, w czym mogę pomóc?

– Halo, nazywam się Viktor Larenz, doktor Viktor Larenz. Obecnie jestem lekarzem prowadzącym waszej byłej pacjentki. Chciałbym mówić z lekarzem, który zajmował się nią przede mną.

– Jak się nazywa ten lekarz? – spytała słodkim głosem Karin.

– I tu jest mały problem. Nie wiem. Mogę podać pani tylko nazwisko pacjentki.

– W takim razie przykro mi, szanowny panie. Dane pacjentów są, jak sam pan wie, ściśle poufne i chroni je tajemnica lekarska. To obejmuje również nazwisko lekarza prowadzącego. Ale jeśli ta kobieta jest pana pacjentką, to dlaczego jej pan o to nie zapyta?

Bo nie wiem, gdzie teraz jest. Bo nie chcę, żeby się dowiedziała o moich poszukiwaniach. Bo prawdopodobnie to ona uprowadziła moją nieżyjącą już córkę.

Viktor zdecydował się na bardziej wiarygodną odpowiedź:

– Ponieważ z powodu choroby nie ma z nią kontaktu.

– W takim razie proszę zajrzeć do historii choroby wystawionej przez naszą klinikę, doktorze Larenz.

Głos recepcjonistki stał się nieco mniej słodki.

– Nie mam dostępu do żadnej historii choroby, kobieta zgłosiła się do mnie sama z siebie. Proszę posłuchać, doceniam to, że chce pani chronić prywatność waszych pacjentów. I naprawdę nie chciałbym pani od tego odwozić. Dlatego proszę panią tylko o małą grzeczność. Czy nie mogłaby pani rzucić okiem do komputera i sprawdzić, czy znajduje się tam nazwisko, które pani podam? I jeśli je pani znajdzie, to połączy mnie z oddziałem, na którym kobieta leżała. W ten sposób nie naruszy pani obowiązujących zasad, a pomoże mnie i mojej pacjentce.

Viktor niemal wyobraził sobie, jak recepcjonistka w prywatnej klinice na drugim końcu linii telefonicznej niezdecydowanie kręci nienagannie uczesaną głową.

– Bardzo panią proszę. – Teraz Viktor postarał się, żeby było słychać uśmiech w jego głosie. Widocznie jego argumenty wypowiedziane przyjaznym tonem przyniosły zamierzony skutek, usłyszał bowiem, jak kobieta stuka w klawiaturę komputera.

– Jak się nazywa?

– Spiegel – odpowiedział tak szybko, jak wystrzał z rewolweru. – Anna Spiegel.

Stukanie urwało się, a słodycz w głosie recepcjonistki zniknęła bez śladu.

– Czy to jakiś niemądry żart, czy co?

– Dlaczego?

– A kogo mam szukać jako następnego? Elvisa Presleya?

– Obawiam się, że nie rozumiem...

– Proszę posłuchać... – Kobieta na drugim końcu sapnęła wściekle do telefonu. – Jeśli to ma być żart, to bardzo niesmaczny. I chciałabym zwrócić panu uwagę, że tego rodzaju próby zasięgnięcia informacji bez zgody pacjenta są prawnie zabronione.

Viktor był całkowicie zaskoczony nagłym zwrotem w rozmowie i postanowił przejść do kontrataku.

– Teraz niech pani dobrze uważa. Nazywam się doktor Viktor Larenz i nie mam zwyczaju robić głupich kawałów przez telefon. Jeśli natychmiast nie otrzymam od pani rozsądnego wyjaśnienia, to osobiście złożę skargę na pani zachowanie u profesora Malziusa, kiedy następnym razem będę grać z nim w golfa.

Było to wprawdzie kłamstwo, ponieważ Viktor nie cierpiał zarówno kierownika kliniki, jak i gry w golfa, ale przynajmniej odniosło skutek.

– Okay, przykro mi, jeśli byłam nieuprzejma, doktorze Larenz, ale pana pytanie jest makabryczne. W każdym razie dla mnie.

– Makabryczne? Co jest w tym makabrycznego, że pytam o panią Spiegel?

– Ponieważ to ja byłam tą osobą, która ją znalazła. Nie czyta pan gazet?

Znalazła?

– Gdzie pani ją znalazła?

– Leżała na podłodze. To było straszne. Proszę, naprawdę muszę już kończyć. Mam już trzy inne rozmowy oczekujące na linii.

– Co pani ma na myśli, mówiąc: to było straszne? – Viktor próbował dopatrzeć się sensownego związku w tym, co usłyszał, ale chwilowo mu się to nie udawało.

– No tak, a jak by pan to opisał, skoro kobieta zadławiła się własną krwią?

Nie żyła? Anna nie żyje? Ale jak to możliwe?

– To niemożliwe. Przecież Anna była tu jeszcze wczoraj. U mnie.

– Wczoraj? Wykluczone. Znalazłam Annę przed rokiem, kiedy miałam ją zmienić na dyżurze, w pokoju pielęgniarek. Było już za późno na jakąkolwiek pomoc.

Przed rokiem? Zmienić? W pokoju pielęgniarek?

– Co pacjentka robiła w pokoju pielęgniarek? – Ze wszystkich pytań, na które chciał jednocześnie otrzymać odpowiedź, to przeszło mu przez usta jako pierwsze.

– Okay, przyjmuję założenie, że się pan ze mnie nie nabija. Otóż Anna nie była pacjentką. Odbywała u nas praktykę w ramach wymiany studenckiej. I teraz nie żyje. Ale ja jeszcze żyję i muszę teraz wracać do pracy. Jasne?

– Tak.

Nie, nic nie jest jasne.

– Jeszcze tylko jedno pytanie, proszę. Co było przyczyną? Jak umarła?

– Otrucie. Anna Spiegel została otruta.

Viktor wypuścił słuchawkę z ręki i spojrzał przez okno na morze. Z minuty na minutę wszystko stawało się coraz bardziej mroczne i nieprzeniknione.

Zupełnie jak zasnute deszczowymi chmurami niebo nad Parkum.

Kiedy pojawiły się mdłości, biegunka, a później jeszcze zaburzenia widzenia, Viktor powinien się zorientować, że nie chodzi tu o zwykłą gripę. Ani aspiryna plus witamina C, ani rumiankowy spray do gardła nie przynosiły ulgi, tak jak to bywało wcześniej. Tak samo herbata assam, która dawniej zawsze uśmierzała ból gardła, wydawała się teraz działać wręcz przeciwnie. Z każdą filiżanką miała bardziej gorzki smak, jakby Viktor wyjmował liście z dzbanka o wiele za późno.

Początek końca zaczął się od przedostatniej wizyty Anny w jego domu. Przyszła niezapowiedziana i wyrwała go z niespokojnej popołudniowej drzemki.

– Ciągłe nie jest panu lepiej? – brzmiało pierwsze pytanie, jakie mu zadała, kiedy przyczłapał do drzwi ubrany w szlafrok. Nie wiedział, jak długo pukała. W którymś momencie zorientował się, że młot pneumatyczny w jego śnie w rzeczywistości był stukaniem do drzwi jego domu przy plaży.

– Ujdzie. Czy nie umówiliśmy się przez telefon na dziś wieczorem?

– Tak, przepraszam. Nie będę wchodzić, chcę tylko coś panu dać.

Viktor zobaczył, że Anna trzyma coś w rękach, i szerzej uchylił drzwi. Jej widok trochę go przestraszył. Mocno się zmieniła i nie wyglądała już tak olśniewająco jak podczas poprzednich spotkań. Jej włosy nie były już starannie uczesane, bluzka sprawiała wrażenie lekko wygniecionej. A oczy niespokojnie biegały na wszystkie strony, kiedy jej długie, smukłe palce nerwowo bębniły w brązową papierową kopertę, którą mocno trzymała w obu rękach.

– Co to jest?

– Zakończenie mojej historii. Ostatnie dziesięć rozdziałów, to, co przeżyłam z Charlotte. Dzisiaj rano spisałam je dla pana z pamięci, kiedy nie mogłam się uspokoić.

Kiedy? Przed naszą rozmową? Po tym jak włamałaś się do mnie?

Wyglądziła kopertę palcami, tak jakby to był zapakowany prezent.

Viktor zawahał się. Głos rozsądku podpowiadał mu, żeby nie wpuszczać Anny do środka.

Ta kobieta jest niebezpieczna.

Wszystkie informacje wskazywały na to, że kobieta nie była tą osobą, za którą się podawała. W każdym razie posługiwała się nazwiskiem zamordowanej studentki. Z drugiej strony Viktor trzymał teraz w rękach klucz do poznania losu Josy. Mógłby zaprosić Annę do środka i wreszcie zadać jej wszystkie te pytania, które omal nie przyprawiły go u utratę zmysłów.

Jak naprawdę się nazywa? Jaki rachunek był między nimi do wyrównania?

I to w taki sposób, żeby nie narazić się na niebezpieczeństwo, że jednak nie pozna zakończenia historii Charlotte.

– Chwileczkę!

Viktor powziął decyzję i otworzył drzwi.

– Proszę, może pani przynajmniej wejdzie, żeby się rozgrzać.

– Dziękuję! – Anna strząsnęła krople deszczu ze swoich blond włosów i z wahaniem weszła do ciepłego domu.

W drodze do salonu puścił ją przodem, a sam zatrzymał się przy komodzie. Otworzył szufladę z paczuszką od Halberstaedta, wygładził palcami zmięty papier i zdjął jasnobrązowy gruby sznurek z pudełka.

– Czy mogłabym poprosić o herbatę?

Viktor drgnął i natychmiast odłożył paczkę, kiedy zobaczył, że Anna stoi w drzwiach. Zdjęła już płaszcz i miała na sobie czarne spodnium i prześwitującą szaroniebieską bluzkę, krzywo zapiętą na guziki.

– Tak, oczywiście. – Wyjął chusteczkę z szuflady i zamknął komode. Jeśli zauważyła paczuszkę, to w każdym razie nie dała tego po sobie poznać. Viktor ponownie zaprosił ją do salonu i po kilku minutach dołączył do niej z dzbankiem wypełnionym do połowy herbatą. Tak opadł z sił, że przeniesienie

dzbanka z kuchni do salonu stanowiło dla niego przeszkodę niemal nie do pokonania.

– Dziękuję.

Anna nie zwracała uwagi na Viktora i nie dziwiły jej również krople potu, które musiał wytrzeć z czoła chustką, zanim powoli dowlókl się do biurka.

– Lepiej już pójdę – powiedziała, ledwie Viktor usiadł.

– Nawet nie wypila pani herbaty.

Wyjął pierwszą kartkę z okładki, żeby przeczytać nagłówek: *Przeprawa*.

Natychmiast zauważył, że ma przed sobą wydruk z drukarki laserowej. Widocznie miała ze sobą laptopa i Trudi, właścicielka, pozwoliła jej skorzystać z drukarki w biurze gospody Pod Kotwicą.

– Naprawdę muszę już iść. Przepraszam.

– Okay. Przeczytam to później. – Viktor wsunął drżącymi rękoma kartkę z powrotem do koperty.

– Ale zanim pani wstanie, muszę porozmawiać z panią o wczorajszej... – Przerwał w połowie zdania, kiedy spojrział na Annę.

Anna z nerwowo zaciśniętymi dłońmi wpatrywała się w sufit. Bardzo się zmieniła. Wydawało się, że coś w jej wnętrzu rozpełtało burzę i chciało wydostać się na zewnątrz. Bardzo go korciło, żeby zapytać ją o ostatnią noc. Czy tu była. I dlaczego kłamała, podając fałszywe nazwisko. Ale teraz nie chciał jeszcze bardziej denerwować ją w tym stanie. Choć pytania cisnęły mu się na usta, Anna wciąż była jego pacjentką. Nie chciał wywołać u niej ataku schizofrenii. A obowiązek zawodowy nakazywał mu przerwać własne dociekania i ostatecznie zająć się tym, z czym kobieta do niego przysłała: jej schizofrenią.

– Jak długo to jeszcze potrwa? – zapytał ją łagodnie.

– Do nadejścia ataku?

– Tak.

– Dzień? Dwanaście godzin? Nie wiem. Pierwsze oznaki już są – odpowiedziała słabym głosem.

– Kolory?

– Tak. Niespodziewanie wszystko na tej wyspie wydaje mi się bardziej kolorowe. Drzewa wyglądają jak pomalowane lakierem, morze lśni głęboką czernią. Mimo padającego deszczu kolory są tak intensywne i błyszczące, że aż nie chce mi się nawet na chwilę zamykać oczu. I jeszcze coś. Zapach. O wiele wyraźniej czuję słony zapach spienionej wody. Nad wyspą unoszą się wspaniałe aromaty i tylko ja jestem w stanie je poczuć.

Viktor przeczuwał taki bieg wypadków, ale wcale się z tego nie cieszył. Może Anna była niebezpieczna. Ale na pewno była bardzo chora. Wkrótce będzie musiał poradzić sobie z pacjentką chorą na schizofrenię, która w niedługim czasie spodziewała się ataku halucynacji. Odcięty od stałego lądu, tylko z nią na tej samotnej wyspie.

– Słyszysz już pani głosy?

Anna pokręciła głową.

– Jeszcze nie. Ale to tylko kwestia czasu. W moim przypadku wszystko przebiega jak w podręczniku. Najpierw przychodzą kolory, potem głosy i na końcu wizje. Ale przynajmniej przy nadchodzącym ataku nie muszę się martwić, że Charlotte będzie mnie znowu dręczyć.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ Charlotte już nie przychodzi. Już nigdy nie przyjdzie.

– Dlaczego jest pani tego taka pewna?

– Proszę przeczytać, co napisałam, a wtedy...

Viktor nie usłyszał jej ostatnich słów, ponieważ zadzwonił telefon i Anna przerwała w połowie zdania.

– Co się stało z Charlotte? – zapytał niezmiernie.

– Proszę odebrać, doktorze Larenz. Już się przyzwyczaiłam, że zawsze ktoś dzwoni, kiedy jestem u pana. Poza tym chciałabym teraz szybko wrócić do domu.

– Nie. Jeszcze nie. Nie mogę pani tak pozwolić wyjść. Jest pani na krótko przed załamaniem. Pani potrzebuje pomocy.

A ja potrzebuję informacji. Co stało się z Charlotte?

– Proszę przynajmniej poczekać, aż skończę rozmawiać – nalegał Viktor. Anna wpatrywała się w podłogę i nerwowo drapała palcem wskazującym paznokcie prawego kciuka. Viktor zauważył, że zdążyła już zedrzeć sobie do krwi skórę u nasady paznokcia.

– Dobrze. Zostanę – zgodziła się w końcu. – Ale proszę coś zrobić, żeby to przeraźliwe dzwonięcie wreszcie się skończyło.

Podniósł słuchawkę w kuchni.

– No, nareszcie. Posłuchaj, wydarzyło się coś niewiarygodnego! – Kai zaczął rozmowę bez zbędnych wstępów.

– Zaczekaj – szepnął Viktor i położył słuchawkę na blacie obok zlewu. Następnie zdjął kapcie i bosy przekradł się przez sień, zachowując się, jakby cały czas rozmawiał przez telefon.

– Tak, tak... hm... Tak zrobię.

Zajrzał przez szparę w drzwiach i z zadowoleniem stwierdził, że Anna nie ruszyła się z miejsca.

– Okay, co się stało? – zapytał, kiedy wrócił do kuchni.

– Czy ona znowu jest u ciebie?

– Tak.

– Czy się nie umawialiśmy?

– Przyszła bez uprzedzenia. Nie mogę jej wyrzucić, nie w taki sztorm, jaki tu szaleje. Więc? Co masz dla mnie?

– Do mojego biura przyszedł dzisiaj faks.

– Od kogo?

– Nie jestem pewny. Myślę, że powinieneś to sam zobaczyć.

– Co to ma znaczyć? Co tam jest napisane?

– Nic.

– Dostałeś czystą kartkę papieru? I to jest to, co chciałeś mi powiedzieć?

– Spokojnie. Nie powiedziałem, że jest pusta. Jest na niej obrazek.

– Obrazek? A dlaczego powinienem go obejrzeć?

– Ponieważ uważam, że to dzieło twojej córki. Sądzę, że namalowała go Josy.

Viktor, drżąc na całym ciele, oparł się plecami o lodówkę i zamknął oczy.

– Kiedy?

– Faks?

– Tak. Kiedy go dostałeś?

– Przed godziną. I przyszedł na mój prywatny numer. Poza tobą ten numer zna tylko garstka ludzi.

Viktor wziął głęboki oddech i znowu zaczął kasłać.

– Nie wiem, co mam powiedzieć, Kai.

– Czy masz faks na Parkum?

– Tak. Stoi w salonie.

– To dobrze. Prześlę ci to za dziesięć minut. Postaraj się do tej pory pozbyć Anny. Zadzwoń później jeszcze raz i powiesz mi, co o tym sądzisz.

Viktor podał Kaiowi numer faksu na Parkum i odłożył słuchawkę.

Kiedy wyszedł z kuchni na korytarz, drzwi do salonu były zamknięte. Do diabła. Zaklął pod nosem i liczył się z najgorszym. Czyżby znowu uciekła? Szybko otworzył drzwi i odetchnął z ulgą, ponieważ się mylił. Anna stała przy jego biurku i jak poprzednio była odwrócona do niego plecami.

– Halo – powiedział, ale z powodu bólu gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

I wtedy uczucie ulgi zmieniło się nagle w przerażenie, ponieważ Anna nie zauważyła jego powrotu i nie odwracała się w jego stronę. Zamiast tego ukradkiem wsypywała do jego herbaty biały proszek.

Proszę natychmiast opuścić mój dom!

Anna odwróciła się raptownie i spojrzała na niego, jakby nie rozumiejąc, co do niej mówi.

– O Boże, na śmierć mnie pan wystraszył, doktorze. Co w pana wstąpiło?

– To ja muszę zadać pani pytanie. Od kilku dni dziwię się, dlaczego moja herbata ma inny smak.

A odkąd jest pani na wyspie, z godziny na godzinę czuję się bardziej chory. I teraz już wiem dlaczego.

– Niech pan najpierw usiądzie doktorze. Jest pan całkiem roztrzęsiony.

– Mam ku temu wszelkie powody. Co pani wsypała mi do herbaty?

– Słucham?

– Co pani wsypała?! – wrzasnął Larenz. Głos mu się załamywał i każde słowo sprawiało ból jego zaognionemu gardłu.

– Niech pan się nie ośmiesza – odpowiedziała spokojnie Anna.

– Co to było?! – krzyknął.

– Paracetamol.

– Parace...?

– Tak. Środek na przeziębienie. Proszę. Przecież pan wie, że od sprawy z Charlotte zawsze mam coś takiego przy sobie. – Otworzyła szaroczną, markową torebkę. – Wyglądał pan na tak chorego, że chciałam wyświadczyć panu przysługę. Oczywiście powiedziałabym panu o tym, zanim wypiłby pan pierwszy łyk. Mój Boże, chyba nie myślał pan, że chcę pana otruć?

Viktor nie miał już pojęcia, co myślał, a czego nie.

Sindbad zniknął. On sam miał gorączkę, biegunkę i dreszcze. Wszelkie objawy przeziębienia.

Albo zatrucia. Jego lekarstwa nie pomagały.

Na dodatek dwóch ludzi wielokrotnie ostrzegało go przed Anną.

Uważaj na siebie. Ona jest niebezpieczna.

– A może się panu zdaje, że przy okazji sama też chcę się zabić? – zapytała Anna. – Proszę bardzo. Do swojej herbaty również coś wsypałam, ponieważ ja też nie czuję się najlepiej. I zdążyłam już wypić duży łyk.

Viktor nadal patrzył na nią do tego stopnia wzburzony, że nie potrafił znaleźć właściwych słów, żeby jej odpowiedzieć.

– Już sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć! – wykrzyknął. – No bo nie wiem, czy wczoraj w nocy nie włamała się pani do mnie. Nie mam też pojęcia, dlaczego pytała pani w sklepie na wyspie o broń i po co kupiła pani nóż i żyłkę. I nie wiem, jaki rachunek mamy ze sobą do wyrównania.

Viktor sam czuł, że dla osoby postronnej jego słowa musiały brzmieć co najmniej dziwnie, chociaż zadawał tylko uzasadnione pytania. – Na Boga, przecież nawet nie wiem, kim pani jest!

– A ja nie wiem, czego pan teraz ode mnie chce. O czym pan mówi? Jaki rachunek?

– A skąd ja mam wiedzieć? Rachunek, za który rzekomo mam zapłacić krwią i o którym mówiła pani Michaelowi Burgowi.

– Czy pan ma gorączkę?

Tak, mam, pomyślał Viktor. *I właśnie odkryłem jej przyczynę.*

– Nie zamieniłam z Burgiem ani słowa, kiedy przewoził mnie z Syltu. – Teraz i ona podniosła głos. – I naprawdę nie wiem, o czym pan mówi.

Anna wstała i wygładziła spodnium. Znowu kłamstwo. Albo z jej strony, albo Halberstaedta.

– Skoro tak pan o mnie myśli, to uważam, że dalsza terapia nie ma sensu.

Po raz pierwszy Viktor ujrzał swoją pacjentkę tak bardzo wzburzoną.

Sięgnęła po płaszcz i torebkę i gwałtownie ruszyła do wyjścia. Ale zaledwie wyszła na korytarz, zawróciła. I zanim Viktor zdążył zareagować, zrobiła najgorszą rzecz, jaką mogła mu wyrządzić.

Złapała brązową kopertę z biurka i wrzuciła do kominka, gdzie natychmiast zajęła się

płomieniem.

– Nie!

Viktor chciał ją stamtąd wyciągnąć, ale brakowało mu sił, żeby zrobić choćby jeden krok.

– Ponieważ nasze rozmowy są zakończone, to również te papiery nie mają już dla pana żadnej wartości.

– Niech pani zaczeka! – krzyknął za nią, jednak Anna nawet się nie odwróciła, tylko z hukiem zamknęła za sobą frontowe drzwi.

Odeszła. A razem z nią zniknęła też nadzieja, że on kiedykolwiek dowie się prawdy o Josy. Płomienie zamieniały tę prawdę w dym, który powoli ulatniał się przez komin.

Viktor z jękiem opadł z powrotem na sofę.

O co tu chodzi? Co tu się dzieje na tej wyspie?

Podciągnął kolana pod brodę i objął je rękami.

O Boże.

Do silnych potów znowu dołączyły się znajome dreszcze.

Co się ze mną dzieje? Teraz już nigdy nie dowiem się niczego o Josy.

Chciała cię otruć, mówił mu wewnętrzny głos. Paracetamol, odpowiedziało nieczyste sumienie.

Trwało to krótką chwilę, zanim dreszcze ustały na tyle, że bez większego problemu mógł wstać.

Kiedy Viktor wreszcie postawił na tacy porcelanę z herbatą, która zdążyła już ostygnąć, i niósł ją do kuchni, zdumiony spojrzał na obie filiżanki. Był tak rozproszony, że potknął się o próg i upuścił na podłogę całą zawartość tacy. Teraz już nie miał możliwości, żeby potwierdzić swoje przypuszczenie. Ale był pewny tego, co zobaczył, zanim herbata rozlała się na podłogę w korytarzu.

Filiżanki. Obie były wypełnione po brzegi. Mógłby przysiąc, że Anna nawet nie tknęła swojej herbaty.

Jeszcze zanim poszedł do kuchni, żeby przynieść ścierkę do podłogi, usłyszał charakterystyczne warczenie i skrzypienie staromodnego faksu.

Zostawił tacę i skorupy na podłogę i wrócił do salonu. Już z daleka poznał, że coś się tu nie zgadza. Powoli wziął w rękę pojedynczą kartkę, którą wyrzuciła maszyna, i przyjrzał się jej w świetle lampki stojącej na biurku. Ale mógł ją obracać dowolnie na wszystkie strony, a i tak nie dojrzałby niczego nawet pod mikroskopem. Kartka była czysta. Nie było na niej obrazka. Żadnej wskazówki, że został namalowany przez jego córkę. Tylko pojedynczy, podłużny, czarny pasek.

Kiedy Halberstaedt przekazał mu wstrząsającą wiadomość, Viktor był już tak wycieńczony, że nie pamiętał nawet numeru swojego telefonu. A cóż dopiero numeru Kaia. Detektyw nie dotrzymał umowy. Kiedy nie zgłosił się po dwudziestu minutach, jak obiecał, Viktor sam chciał do niego zadzwonić. Najwidoczniej jednak podwyższona temperatura chwilowo zaćmiła jego pamięć. Było tak, jakby w jego mózgu ktoś przerobił zmagazynowane tam dane na zupełną składającą się z liter i cyfr, która teraz przy każdym kroku przelewała się w jego głowie. Dlatego nie mógł powiadomić Kaia, że faks nie przyszedł prawidłowo.

Ale w tej chwili zdecydowanie nie było to jego największe zmartwienie. Czuł paniczny strach przed trucizną. Plecy bolały go jak po oparzeniu słonecznym, a migrena promieniowała od karku przez skronie do czoła. Poza nim na wyspie nie było innego lekarza. Przy tej sile wiatru, który obecnie szalał nad morzem, nawet wojskowy helikopter przyleciałby tylko do naprawdę pilnego przypadku. A Viktor nie wiedział nawet, czy rzeczywiście kwalifikuje się, by go za taki uznać. Czy Anna powiedziała prawdę? Czy skłamała i ukradkiem truła go przez ostatnie dni?

Tak jak Charlotte? Czy Josy?

Czy w ogóle miała do tego sposobność? Viktor postanowił odczekać następne godziny. W żadnym razie nie chciał ryzykować życia lekarzy pogotowia w tej burzy stulecia. Przypuszczalnie stwierdziliby później, że przylecieli przez orkan z powodu zwykłego przeziębienia. Na szczęście miał dość węgla i innych środków przeciw bieguncie, które przezornie zażył razem z silnym antybiotykiem.

Później Viktor pomyślał, że być może jego wyjątkowy stan fizyczny był najbardziej odpowiedni do przyjęcia strasznej wiadomości od Halberstaedta. Choroba i uboczne działanie leków tak bardzo stępiły mu umysł, że nie był nawet w stanie odpowiednio zareagować na widok śmierci, którą ujrzał na swojej werandzie.

– Bardzo mi przykro, doktorze – powiedział burmistrz. Trzymał w rękach swoją czarną czapkę z daszkiem, nieustannie obracając ją w palcach.

Viktor lekko się zachwiał, kiedy pochylił się nad swoim martwym psem.

– Znalazłem Sindbada na tyłach gospody Pod Kotwicą, obok pojemnika na śmieci.

Viktor słyszał kierowane do siebie słowa jakby stłumione przez ciężką teatralną kurtynę. Przyklęknął i delikatnie pogłaskał ciało golden retrievera. Nawet kompletny laik natychmiast by poznał, że ktoś zamęczył zwierzę na śmierć. Miało złamane dwie łapy, szczękę i prawdopodobnie kręgosłup.

– Wie pan, kto tam mieszka?

– Co? – Viktor otarł łzy z oczu, podnosząc wzrok na burmistrza. Sindbad został na dodatek uduszony. Wędkarska żyłka wrzynała się głęboko w sierść na szyi i karku psa.

– To ona. Ta kobieta. Mieszka Pod Kotwicą. Jeśli chce pan znać moje zdanie, to uważam, że to jej sprawka.

W pierwszym odruchu Viktor chciał się z nim zgodzić. Chciał go poprosić, aby zaczekał, aż przyniesie broń. Chciał ją zastrzelić. Ale szybko zmusił się do opamiętania.

– Proszę posłuchać, nie mogę teraz rozmawiać. A już na pewno nie o zachowaniu mojej pacjentki.

Coś z nią jest nie tak. Żyłka.

– Ta kobieta w dalszym ciągu jest pana pacjentką? Widziałem, jak wracała od pana z płaczem i bardzo wzburzona.

– To w ogóle nie powinno pana obchodzić – wybuchnął Viktor coraz bardziej łamiącym się głosem.

Halberstaedt uniósł ręce obronnym gestem.

– Wszystko jasne, doktorze. Rozumiem. A tak w ogóle, to nie wygląda pan dobrze.

– Dziwi się pan?

– Nie, tylko stwierdzam fakt. Wygląda pan źle nawet jak na człowieka, któremu zamordowano

psa. Czy mogę panu jakoś pomóc?

– Nie. – Viktor znowu spojrzął na zadrapane zwierzę. Dopiero teraz zauważył rany klute na brzuchu. Były głębokie.

Jak zadane długim nożem.

– To znaczy, tak. Jednak mógłby pan coś dla mnie zrobić. – Viktor wstał. – Czy może pan pochować Sindbada? Ja nie jestem w stanie.

Ani fizycznie, ani psychicznie.

– Oczywiście. – Halberstaedt włożył czapkę na głowę i dotknął palcem wskazującym daszka. – Wiem, gdzie jest łopata, doktorze. – Spojrzął do tyłu na szopę z narzędziami. – Ale zanim to zrobię, jest jeszcze coś, co muszę panu pokazać. Może dzięki temu zrozumie pan powagę sytuacji.

– Co takiego?

– Proszę. – Halberstaedt podał Viktorowi zakrwawioną zielonkawą kartkę. – Kiedy znalazłem Sindbada, miał to w pysku.

Viktor wygładził papier.

– Czy to...

– Tak, to wyciąg z konta. Jeśli się nie mylę, należy do pana.

Viktor starł krew z górnego prawego rogu i rzeczywiście zobaczył nazwę swojego banku. Był to wyciąg z jego lokaty bankowej, na której zdeponowali z Isabell rodzinne oszczędności.

– Niech pan rzuci na to okiem – poradził mu Halberstaedt.

Na górze po lewej stronie była data i numer wyciągu.

– Przecież to z dzisiaj!

– No właśnie.

– Jak to możliwe? – zastanawiał się Viktor. Na wyspie nie było oddziału tego banku. Ale prawdziwa panika ogarnęła go dopiero wówczas, kiedy spojrzął na stan konta.

Jeszcze przedwczoraj saldo wynosiło 450 322 euro.

Ale wczoraj ktoś podjął całą sumę.

Dzień dzisiejszy. Pokój 1245. Klinika w Wedding

I to był pierwszy raz, kiedy pomyślał pan o Isabell? – Doktor Roth, wbrew regulaminowi sali chorych, zapalił papierosa i dawał Larenzowi zaciągać się pomiędzy zdaniami.

– Tak. Ale myśl, że mogła mieć z tym coś wspólnego, była tak przerażająca, że natychmiast ją odrzuciłem.

– Ale jedynie ona miała pełnomocnictwo?

– Tak. Miała dostęp do wszystkich moich kont. Jeśli to nie był jakiś błąd po stronie banku, to ona musiała być osobą, która podjęła pieniądze. Przynajmniej tak pomyślałem.

Znowu odezwał się pager doktora Rotha, ale on tym razem tylko go wyłączył, nie wychodząc z pokoju.

– Nie musi pan iść?

– To nieważne.

– Żona? – zadrwił Larenz, ale Roth nie podchwycił żartu.

– Lepiej zostanmy przy pańskiej żonie, doktorze. Dlaczego nie zlecił pan Kaiowi, żeby wziął pod lupę Isabell?

– Pamięta pan sprawę pamiętników Hitlera? – zapytał Larenz w odpowiedzi. – To fałszerstwo, na które nabrał się tygodnik „Stern”?

– Oczywiście.

– Dawno temu rozmawiałem z pewnym dziennikarzem, który wtedy pracował w tym piśmie i był bezpośrednio zamieszany w ten skandal.

– To ciekawe.

– Poznałem tego człowieka przy okazji pewnego talk-show. Najpierw nie chciał specjalnie rozmawiać o tej sprawie, ale po skończonym nagraniu dwa, trzy piwa wypite w barze w budynku telewizji rozwiązały mu język. I wtedy wyznał mi coś, czego nigdy nie zapomnę.

– I co to było?

– Powiedział: „Tak długo zajmowaliśmy się tymi pamiętnikami, że dla nas one musiały być prawdziwe. Zgodnie z dewizą: To, co nie może być prawdą, nie jest prawdą. I dlatego nigdy nie szukaliśmy oznak fałszerstwa. Szukaliśmy tylko dowodów potwierdzających, że te zapiski są prawdziwe”.

– Co pan chce mi przez to powiedzieć?

– Co do Isabell zastosowałem tę samą zasadę, jaka dotyczyła pamiętników Hitlera. To, co nie może być prawdą, nie jest prawdą.

– I dlatego nie drażył pan tej sprawy?

– Jak najbardziej drażyłem. Ale nie od razu. Najpierw musiałem załatwić coś innego.

Viktor jeszcze raz zaciągnął się papierosem, którego podał mu doktor Roth.

– Musiałem zadbać, żeby żywy wydostać się z wyspy.

Pomóż mi!

Dwa słowa. A pierwszą rzeczą, jaka przemknęła Viktorowi przez głowę, było trywialne stwierdzenie, że po raz pierwszy Anna zwróciła się do niego na ty.

Horyzont groźnie przybliżył się do jego domu. Gęste, ciemnoszare, piętrzące się chmury zawisły nad wyspą i jak betonowa ściana przesuwwały się w jego kierunku. Sztorm osiągnął pełną siłę. Kiedy Viktor wygrzebał się z łoża boleści, żeby zobaczyć, kto tak głośno dobija się do drzwi, służba meteorologiczna zapowiadała właśnie wiatr o sile dziesięciu do jedenastu stopni. Ale Viktor nie doświadczył potęgi sił natury. Na krótko przedtem wziął silny proszek nasenny, żeby na kilka godzin zapomnieć zarówno o swojej chorobie, jak i o kłopotach. Kiedy otworzył drzwi, wszystkie jego zmysły, które nie były jeszcze przyćmione barbituranem, w jednej chwili zostały zaabsorbowane przez inną katastrofę. Otóż wbrew wszelkim oczekiwaniom wróciła Anna i Viktor nigdy by nie pomyślał, że w tak krótkim czasie ktoś może przeżyć takie pogorszenie stanu zdrowia. Minęło dopiero półtorej godziny, odkąd Anna opuściła go rozwścieczona, a jej twarz straciła wszelką barwę, włosy zwisały w strąkach, a źrenice były rozszerzone ze strachu. Jej budzący współczucie stan dodatkowo podkreślało całkowicie przemoczone i zabłocone ubranie, które miała na sobie.

– Pomóż mi!

Te dwa słowa były zarazem jej ostatnimi w tym dniu. Anna osunęła się na jego oczach na ziemię i padając, mocno wpiła się w jego niebieski bawełniany sweter. Najpierw pomyślał, że ma atak epilepsji. Epilepsja była częstą przyczyną ataków schizofrenii. Ale po chwili zobaczył, że nie ma ani spazmatycznych drgawek, ani nie wykonuje niezbornych ruchów. Nie wystąpiły też inne typowe objawy, na przykład piana na ustach czy samorzutne opróżnienie pęcherza, jak trzeźwo zdiagnozował. Nie straciła też całkiem świadomości, ale była mocno oszołomiona i nie mogła mówić, jak pod wpływem silnych narkotyków.

Viktor szybko zdecydował się wnieść Annę do domu. Kiedy podnosił ją z drewnianej podłogi werandy, zdziwił się, jak bardzo jest ciężka. Ciężar ciała zupełnie nie pasował do jej kruchej postaci.

Naprawdę nie jestem w formie, pomyślał i ciężko dysząc, zataszczył Annę na górę do pokoju gościnnego.

Z każdym krokiem po schodach dudnienie w jego głowie przybierało na sile. Poza tym Viktor czuł, że jego ciało wciąga jak gąbka ogarniające go zmęczenie, a jego ciało z sekundy na sekundę staje się coraz cięższe.

Pokój gościnny znajdował się na pierwszym piętrze, a sypialnia Viktora po przeciwnej stronie, na drugim końcu korytarza. Na szczęście przed przyjazdem kazał przygotować wszystkie pokoje, tak że również w tym łóżko było pościelone.

Kiedy położył Annę na białym lnianym prześcieradle, zdjął z niej zabrudzony kaszmirowy blezer i rozwiązał jedwabną chustkę na szyi, żeby móc lepiej zmierzyć tętno.

Wszystko w porządku.

Wiedziony profesjonalnym impulsem jedną po drugiej unióś jej powieki i małą latarką sprawdził źrenice. Nie ulegało wątpliwości, że z Anną naprawdę nie jest dobrze. Obie źrenice reagowały z dużym opóźnieniem. Nie było to groźne i mogło być spowodowane zażyciem określonych leków. Ale jednoznacznie wskazywało, że Anna nie symuluje. Była chora albo przynajmniej silnie wyczerpana. Tak jak on. Ale od czego?

Nie zastanawiając się specjalnie, Viktor postanowił zdjąć z Anny mokre ubranie. I chociaż był lekarzem, a jego postępowanie było usprawiedliwione medycznie, czuł się nieswojo, kiedy rozpinał jej spodnie, bluzkę i na koniec zdjął elegancką jedwabną bieliznę. Miała nieskazitelne ciało. Szybko zawinął Annę w gruby, śnieżnobiały płaszcz kąpielowy, który przyniósł z przylegającej do pokoju łazienki, a potem przykrył ją lekką kołdrą puchową. Anna była najwidoczniej tak wyczerpana, że zasnęła, zanim

jeszcze zdążył to zrobić.

Viktor przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, zwrócił uwagę na ciężki, regularny oddech i w końcu stwierdził, że Anna musiała mieć chwilowe zaburzenia krążenia i nie grozi jej już niebezpieczeństwo.

Mimo to cała ta sytuacja zupełnie mu się nie podobała.

Sam był chory i całkowicie pozbawiony sił. W jego pokoju gościnnym przebywała schizofreniczna pacjentka, co do której nie był pewny, czy nie chce go zabić. I od której, gdy tylko się obudzi, będzie żądał pilnych wyjaśnień dotyczących Josy, Sindbada oraz wyciągu z konta.

Gdyby nie był tak osłabiony działaniem środka nasennego i antybiotyków, na pewno nie zdecydowałby się ryzykować i natychmiast zaniósłby Annę na własnych rękach z powrotem do wioski.

Viktor zastanawiał się przez chwilę, po chwili podjął decyzję i zszedł na dół do telefonu, żeby zadzwonić po pomoc.

W chwili, kiedy podniósł słuchawkę, błyskawica oświetliła całą plażę. Viktor natychmiast odłożył słuchawkę, powoli liczył od jednego i doszedł zaledwie do czterech, kiedy potężny huk wstrząsnął nim i całym domem. Nawałnica była oddalona o niecałe dwa kilometry. Szybko obszedł cały dom i wyjął z kontaktów wtyczki wszystkich urządzeń elektrycznych, żeby nie uszkodziły ich gwałtowne wyładowania atmosferyczne. Kiedy był zajęty małym telewizorem w pokoju Anny, zobaczył, jak przekręca się na drugi bok i z westchnieniem zapada ponownie w sen. Widocznie z minuty na minutę jej stan się polepszał. Za godzinę lub dwie powinna znowu stanąć na nogi.

Cholera. Pewnie obudzi się, kiedy będę spał.

Musiał zdobyć się na najwyższy wysiłek, żeby tak się nie stało. W żadnym wypadku nie chciał być zdany na jej łaskę i niełaskę we własnym domu. Ponownie zszedł na dół, żeby zadzwonić, ale w połowie drogi musiał usiąść na schodach, żeby się nie przewrócić.

Kiedy dotarł do telefonu, był tak wycieńczony, że dopiero po kilku sekundach zauważył brak sygnału. Kilka razy zastukał w widełki staroświeckiego aparatu, ale ten pozostał głuchy.

– Cholerny sztorm. Cholerna wyspa.

Widocznie burza zerwała łączność. Viktor usiadł na kanapie i zdesperowany myślał. W jego pokoju gościnnym leżała niebezpieczna pacjentka. On nie miał siły, żeby pójść do wioski. Telefon przestał działać. A lekarstwa nasenne właśnie utorowały sobie drogę przez jego żyły.

Co ma teraz zrobić?

W tym samym momencie, w którym przyszło mu do głowy rozwiązanie, zasnął.

Tym razem było inaczej. Koszmar nie przebiegał według utartego scenariusza, lecz nieco się zmienił. Główna różnica polegała na tym, że Viktor nie dojechał do szumiącego morza razem z Josy. Najpierw nie poznał swojej towarzyszki podróży. We śnie ciągle zastanawiał się, kim może być młoda kobieta, która siedzi obok niego w samochodzie i bębni palcami o deskę rozdzielczą. Aż w końcu ją rozpoznał i chciał głośno zawołać jej imię.

Anna.

Ale nie wydobył z siebie słowa, ponieważ czyjaś ręka zasłoniła mu usta i przeszkodziła w mówieniu.

Co się...?

Ze śmiertelnym przerażeniem stwierdził, że straszny koszmar zmienił się w jeszcze straszniejszą rzeczywistość. Leżał na kanapie. Ale już nie spał. Był rozbudzony, a ręka na jego ustach była prawdziwa.

Zaraz się uduszę, pomyślał Viktor i chciał odepchnąć ręką napastnika. Ale środek nasenny i choroba były cichymi współnikami agresora. Jakby ciągnięty w dół niewidzialnym ciężarem, Viktor ledwie mógł poruszać rękami.

Uduszę się. To już koniec. Halberstaedt miał rację.

Z najwyższym wysiłkiem Viktor przekręcił się na bok i odruchowo zaczął wierzgać nogą na wszystkie strony. Najpierw ciężar, który go przygniatał, stał się jeszcze większy. Potem jednak trafił nogą w coś miękkiego i wreszcie usłyszał nienaturalne chrupnięcie i stłumiony krzyk. Nagle przestał czuć rękę na ustach i zaniósł się kaszlem. Ciężar również zniknął.

– Anna?! – Viktor głośno krzyknął jej imię i zamachał rękami jak topielec, kiedy próbował wstać z kanapy.

– Anna?! – wrzasnął.

Nie było odpowiedzi.

To sen. A może jawa?

Spod warstwy odurzenia środkami nasennymi i otępienia, jakie spowodowała gorączka, wypęzła niekontrolowana panika.

Na pomoc! Światło! Potrzebuję światła!

– Aaaaannnaaaa!!

Viktor słyszał swój krzyk i czuł się jak nurek, który powoli wynurza się na powierzchnię.

Gdzie jest ten przeklęty wyłącznik?

Zdażył już niepewnie stanąć na nogach i gorączkowo, po omacku szukał go na ścianie. Wreszcie znalazł kontakt i cztery żarówki halogenowe pod sufitem rozświetliły pokój nienaturalnie jaskrawym światłem. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do niego, rozejrzał się dookoła.

Nic. Jestem sam. Nie ma nikogo.

Powoli podszedł do okna, ale było zamknięte. Ledwie dotarł do biurka, poczuł, że za jego plecami z głośnym hukiem zatrzęsły się drzwi. Szybko się odwrócił. Usłyszał, jak ktoś bosy wbiega po schodach.

– Pomóż mi!

Dwa słowa, które przed kilkoma sekundami powiedział do niego niespodziewany gość, wyszły teraz z jego ust. Wróciło paniczne przerażenie, które już wcześniej zaskoczyło go tak podstępnie. Po krótkiej, wypełnionej grozą chwili Viktor podszedł chwiejnie do drzwi.

Co tu się dzieje? Czy to naprawdę była ona? Czy to tylko sen?

Viktor szybkim ruchem otworzył dolną szufladę w komodzie stojącej w korytarzu i zaczął szukać rewolweru. *Nie było go tam!*

Usłyszał ciężkie kroki na korytarzu na piętrze.

W panice jeszcze raz przeszukał szufladę i w końcu znalazł do połowy otwartą paczkę w tylnym

rogu, gdzie leżała schowana pod lnianymi chusteczkami do nosa. Drżącymi rękoma rozerwał papier i załadował broń dwoma nabojami. Następnie pobudzony adrenaliną wbiegł schodami na piętro.

Kiedy dotarł do najwyższego stopnia, na końcu korytarza zatrzasnęły się drzwi do pokoju gościnnego. Pośpiesznie przebiegł przez korytarz.

– Anno, co to ma...

Kiedy otworzył drzwi do pokoju gościnnego i wymierzył odbezpieczony rewolwer w łóżko, zaparło mu dech. O mały włos nie wystrzelił. Ale niespodziewany widok pozbawił jego osłabione ciało wszelkich sił.

Opuścił broń.

To nie może być prawda, pomyślał tylko i zdyszany zamknął za sobą drzwi od zewnątrz.

To niemożliwe! Całkowicie niemożliwe!

Coś się tu całkowicie nie zgadzało. I Viktor nie wiedział co. Wiedział tylko jedno: pokój, w którym jeszcze przed kilkoma godzinami spokojnie spała Anna i do którego przed chwilą wbiegła, był pusty. Nie znalazł jej też nigdzie indziej w domu.

Kiedy pół godziny później Viktor zdążył jeszcze raz sprawdzić wszystkie drzwi i okna, jego zmęczenie się ulotniło. Dreszcze i gorączka zagłuszyły działanie środka nasennego. Anna też zrobiła wszystko, żeby już nie mógł zasnąć. Napadła go, a potem w środku burzy uciekła. I to nago! Ponieważ wszystkie jej rzeczy oraz płaszcz kąpielowy leżały rozrzucone na podłodze w pokoju gościnnym. Nie wzięła nic ze sobą.

Podczas gdy Viktor parzył sobie mocną kawę, przez głowę przebiegały mu na zmianę ciągle te same pytania, jak biegacze w sztafecie:

Czego chce ode mnie Anna?

Czy napaść tylko mi się przyśniła?

Ale dlaczego potem zniknęła?

Kim ona w ogóle jest?

Było wpół do piątej rano, kiedy Viktor wzmocnił się dwiema tabletkami tylenolu i jedną ibuprofenem. A przecież dzień dopiero się zaczynał.

Parkum, dzień prawdy

Nawet najbardziej inteligentni ludzie potrafią zachowywać się czasem nader dziwacznie i nielogicznie. Na przykład prawie każdy ma niepoprawny zwyczaj mocniej naciskać przyciski pilota do telewizora, kiedy słabną baterie. Jakby prąd z akumulatora można było wycisnąć jak sok z cytryny.

Dla Viktora takim pilotem był ludzki mózg. Gdy akumulatory z powodu wyczerpania, choroby lub innych przyczyn spowalniają ruch fal mózgowych, nie ma co zmuszać głowy do myślenia. Pewnych myśli po prostu nie da się wtedy wymusić, nawet jeśli człowiek stara się ze wszystkich sił.

Viktor doszedł do tego wniosku w związku z wypadkami ostatniej nocy. To, co się wydarzyło, było dla niego niezrozumiałe. I choć bardzo wyęźżał umysł, nie znajdował zadowalającego wytłumaczenia, a co dopiero spokoju.

Charlotte, Sindbad, Josy, trucizna.

Wszystko wiązało się z odpowiedzią na jedno jedyne pytanie: *Kim jest Anna Spiegel?* Musi się tego dowiedzieć, zanim będzie za późno. Najpierw oczywiście rozważał, czy nie włączyć w to policji. Ale co miały im powiedzieć? Że jego pies nie żyje, że czuje się chory, że ktoś próbował go zamordować i że wyczyszczono mu konto? Brakowało mu przecież jednoznacznych dowodów, które w jakikolwiek sposób łączyłyby Annę z którąkolwiek z tych spraw.

Ponieważ była niedziela, dopiero jutro będzie mógł zadzwonić do swojego banku, żeby unieważnić ostatnią operację. Nie mógł i nie chciał czekać tak długo. Musiał działać dzisiaj i w dodatku sam. Na szczęście mimo nocnego ataku czuł się teraz trochę lepiej. Ale stan ten zaniepokoił go jeszcze bardziej. Mogło to wiązać się z faktem, że od wczoraj nie pił herbaty i proszki na odtrucie powoli zaczęły działać.

Był w łazience, kiedy ponownie przestraszył go jakiś obcy hałas. Na dole. Ktoś był przy drzwiach. Ale brzmiało to inaczej niż kalosze Halberstaedta i wysokie obcasy Anny. Ogarnięty nagłym, prawie irracjonalnym strachem, znowu sięgnął po rewolwer, który teraz stale nosił przy sobie, podkradł się do drzwi i wyjrzał przez wizjer. Kto mógłby chcieć czegoś od niego o tak wczesnej porze?

Nic.

Viktor stawał na palcach, uginał nogi w kolanach – ale obojętnie pod jakim kątem wyglądał na zewnątrz, nie widział żywej duszy. Dokładnie w chwili, kiedy chciał nacisnąć ciężką mosiężną klamkę, żeby uchylić w drzwiach wąską szparę, coś zaszeleściło mu pod prawą stopą. Spojrzał w dół, schylił się i podniósł kopertę, którą widocznie ktoś wsunął do środka pod drzwiami.

Był w niej telegram. Dawniej, przed wynalezieniem faksu i e-maila, Viktor częściej otrzymywał wiadomości w ten sposób. Ale dzisiaj, kiedy do każdego człowieka przebywającego w dowolnym miejscu można było zadzwonić na komórkę, w zasadzie uważał tę formę komunikowania się za martwą. Wprawdzie na wyspie znajdował się poza zasięgiem sieci GSM i dlatego nie można było zadzwonić do niego na komórkę, ale telefon stacjonarny działał normalnie, a ważne wiadomości docierały do niego przez Internet. A więc kto mógł przysłać mu tutaj telegram?

Viktor włożył rewolwer do kieszeni szlafroka i otworzył drzwi, żeby zobaczyć, czy posłaniec znajduje się jeszcze w zasięgu wzroku. Ale poza bezdomnym czarnym kotem, który całkowicie przemoczony biegł w kierunku wioski, nie zobaczył żywej duszy. Jeśli jeszcze kilka chwil wcześniej ktoś był przed jego werandą, to musiał błyskawicznie uciec do pobliskiego lasku sosnowo-świerkowego, którego ciężkie od deszczu gałęzie wydawały się połykać całe światło.

Drżąc na całym ciele, Viktor zamknął drzwi, nie będąc pewnym, czy trzęsie się z zimna, strachu, czy też z powodu choroby. Zdjął przepocony szlafrok frotté i niedbale rzucił go na podłogę. Następnie zamienił go na gruby sweter, który wyjął z szafy, jeszcze w korytarzu gwałtownie rozerwał kopertę i

wyciągnął kartkę z wiadomością. Składała się tylko z jednego zdania. Jego treść dotarła do niego dopiero wówczas, kiedy przeczytał ją po raz trzeci – i ze zdumienia zapało mu dech w piersi.

JAK CI NIE WSTYD!

Było to napisane drukowanymi literami, dwunastopunktową czcionką na standardowym druczku telegramu. A dalej nadawca. Musiał usiąść. Litery rozplywały mu się przed oczami. Nadawca: *Isabell*.

Co to miało, na Boga, znaczyć? Wiadomość nie miała żadnego sensu. Dlaczego miał się wstydzić? Czego? Czego dowiedziała się o nim jego żona, która przecież w dalszym ciągu przebywała na Manhattanie? I dlaczego nie zadzwoniła, tylko wysłała telegram? Co tak rozgniewało Isabell, że nie chciała bezpośredniej rozmowy? Właśnie teraz, gdy jej tak pilnie potrzebował.

Viktor postanowił, że jeszcze raz spróbuje zadzwonić do Nowego Jorku. Podeszedł do telefonu, ale kiedy podniósł słuchawkę, była w niej głucha cisza, podobnie jak wczoraj. Linia, której koniecznie potrzebował, żeby połączyć się z Isabell, była ciągle martwa.

Co robi od wczoraj firma telefoniczna? Grają w karty?, pomyślał Viktor poirytowany. Przypuszczał, że sztorm przewrócił maszt telefoniczny na wyspie lub zerwał kabel podwodny. Ale potem odkrył o wiele bardziej prozaiczną przyczynę. Najpierw odetchnął z ulgą i chciał usunąć problem. Wtedy jednak ogarnęło go straszne, przerażające uczucie: przedwczoraj, do czasu rozmowy z Kaiem, telefon jeszcze działał. Potem nie zadzwonił już ani razu. A powód tego był widoczny jak na dłoni: ktoś wyjął wtyczkę z gniazdka w ścianie.

Kiedy Viktor znowu nie dodzwonił się do Isabell, postanowił działać. Nie mógł usiedzieć sam w domu i beczynnie czekać przy telefonie, aż odezwie się jego żona, Kai lub Anna. Musiał wreszcie przestać przeciwdziałać, a zacząć działać.

Zajęło mu kilka minut, zanim wyciągnął najwyższą szufladę w komodzie w korytarzu. Znalazł w niej czerwony, rozpadający się notes, w którym przed laty jego ojciec zapisał wszystkie ważne numery telefonów na wyspie. Najpierw otworzył go na literze A, ale potrzebny numer znalazł pod „G” jak gospoda. Odczekał dokładnie dwadzieścia trzy dzwonki, po czym zrezygnowany odłożył słuchawkę.

Co wspólnego mają ze sobą Marriott Marquise przy Times Square i gospoda Pod Kotwicą?, zapytał sam siebie ironicznie.

Viktor spróbował jeszcze raz w nadziei, że za pierwszym razem wybrał zły numer, i czekał tak długo, aż sygnał samoczynnie zmienił się w ton zajętości.

Nikogo tam nie było.

Wyjrzał przez okno i miał trudność z rozpoznaniem za gęstą ścianą deszczu czarnych fal przyboju, które w niekończącym się pochodzie torowały sobie drogę z otwartego morza na plażę.

Nerwowo kartkował rozpadający się notes i zatrzymał się na literze H.

Tym razem miał więcej szczęścia. W przeciwieństwie do Isabell i Trudi, Halberstaedt podniósł słuchawkę.

– Przepraszam, jeśli się naprzykrzam, panie burmistrzu. Ale dużo myślałem o tym, co mi pan powiedział w ostatnich dniach. I uważam, że będę jeszcze potrzebować pana pomocy.

– Co pan ma na myśli? Nie rozumiem. – Halberstaedt był nieco zmieszany.

– Sam bym wyszedł, gdyby tak nie padało, ale ponieważ mieszka pan tuż obok, pomyślałem...

– Co?

– Muszę pilnie porozmawiać z Anną.

– Z kim?

– Z Anną – odpowiedział Viktor. – Przecież pan wie. Z tą kobietą. Anną Spiegel.

– Nic mi to nie mówi.

W prawym uchu Viktora narastał cichy gwizd i powoli stawał się coraz głośniejszy.

– Niech pan da spokój. Przecież w ostatnich dniach kilka razy rozmawialiśmy o niej. O kobiecie, którą pan obserwował. Którą pan podejrzewał, że zamordowała mojego psa.

– Nie wiem, o czym pan mówi, panie doktorze.

– Czy to jakiś żart? Przecież sam wielokrotnie ostrzegał mnie pan przed nią. A wczoraj przyniósł mi pan Sindbada.

– Dobrze się pan czuje, doktorze Larenz? Cały tydzień nie byłem u pana. I nie widziałem pana psa.

Gwizd osiągnął teraz przenikliwą siłę i przeszedł również do lewego ucha.

– Niech pan posłucha... – Viktor zatrzymał się w środku zdania, gdy w tle usłyszał znany mu głos.

– Czy to ona?

– Kto?

– Anna. Czy jest u pana?

– Nie znam żadnej Anny, doktorze Larenz. I jestem tu całkiem sam.

Viktor obejmował słuchawkę jak tonący koło ratunkowe.

– No przecież... to... – Nie wiedział, co ma powiedzieć, kiedy nagle coś wpadło mu na myśl. – Chwileczkę.

Pobiegł do sieni i podniósł swój szlafrok. Z ulgą poczuł, że ciągle jest tam, gdzie go włożył: naładowany rewolwer. W prawej kieszeni. Był dowodem na to, że nie zwariował.

Viktor ponownie pobiegł do telefonu.

– Okay, Patrick. Nie wiem, jaką grę pan ze mną prowadzi. Ale właśnie trzymam w ręku broń, którą mi pan dał.

– Och.

– Co znaczy: „Och”? – Viktor prawie krzyczał. – Czy ktoś może mi powiedzieć, o co tu chodzi?

– To... hm... więc... – Halberstaedt zaczął się nagle jękać i Viktor był teraz całkowicie pewny, że ktoś stoi za nim i daje mu wskazówki.

– Nieważne. Proszę posłuchać, Patrick. Nie wiem, o co tu chodzi. Ale teraz muszę pilnie porozmawiać z Anną. Niech pan jej łaskawie przekaże, że niedługo wychodzę i życzyłbym sobie spotkać się z nią w jej pokoju. Najpóźniej za godzinę będę u Trudi Pod Kotwicą. I byłoby najlepiej, gdyby pan też tam był. Wyjaśnimy całą sprawę wspólnie.

Usłyszał sapanie na drugim końcu. Potem głos się zmienił. Dopiero co nerwowo przed chwilą, prawie pokorny ton burmistrza zniknął, a na jego miejsce pojawiła się niepohamowana arogancja.

– Powtórzę jeszcze raz, doktorze. Nie znam żadnej Anny. A nawet gdybym znał, to i tak nie mógłbym zrobić nic z tego, czego pan ode mnie żąda.

– Dlaczego?

– Ponieważ od wielu tygodni gospoda Trudi jest zamknięta. Pensjonat Pod Kotwicą jest nieczynny. Nikt tam nie mieszka.

Potem w słuchawce rozległ się ciągły sygnał.

Poznanie prawdy jest jak układanka z puzzli z nieznaną wcześniej liczbą elementów. I zabawa kończy się dopiero wtedy, kiedy wszystkie zostaną złożone.

Viktor przygotował sobie ramę z pytań i właśnie przystąpił do tworzenia pełnego obrazu sytuacji, wypełniając ją odpowiedziami. Odpowiedziami na dręczące pytania, w rodzaju:

Kto zabił Sindbada?

Dlaczego on sam cały czas czuł się chory?

Co Halberstaedt ma wspólnego z Anną?

Oraz: kim jest Anna Spiegel?

Viktor nie zdążył odbyć decydującej rozmowy, która mogłaby wyjaśnić mu ostatnie z tych pytań, ponieważ telefon zadzwonił dokładnie w chwili, kiedy sięgał po słuchawkę.

– Kim ona jest?

Viktor poczuł tak ogromną ulgę, słysząc jej głos, że w pierwszym momencie nie mógł zdobyć się na odpowiedź, a przede wszystkim nie mógł wydać z siebie jakiegokolwiek dźwięku.

– Powiedz mi natychmiast, kim ona jest!

– Isabell! – wykrztusił wreszcie Viktor, zaskoczony jej zapamiętałym, agresywnym tonem. – Dziękuję, że dzwonisz. Próbowałem cię złapać, ale w recepcji powiedzieli mi...

– Ty próbowałeś mnie złapać?

– Tak. Dlaczego jesteś taka wściekła? Już nic nie rozumiem. Dlaczego wysłałaś mi telegram?

– No nie! – Po okrzyku Isabell zapadła groźna cisza, której towarzyszyły zakłócenia charakterystyczne dla połączenia międzykontynentalnego.

– Kochanie – spróbował łagodnie Viktor. – Co się dzieje?

– Nie mów do mnie kochanie. Nie po tym, co się stało wczoraj.

Tym razem to w Viktorze zaczęła powoli narastać złość i nerwowo przełożył słuchawkę do drugiego ucha.

– Czy możesz być tak dobra i wyjaśnić mi, o co chodzi, zamiast na mnie wrzeszczeć?

– A więc dobrze, skoro chcesz grać te swoje gierki, to ci powiem. Najpierw zacznijmy od całkiem prostego pytania: kim jest ta dziwka?

Viktor roześmiał się z ulgą i poczuł, jak z piersi spadł mu ogromny ciężar. Najwyraźniej Isabell myślała, że wykorzystał wyjazd na wyspę, aby spędzić tu czas z jakąś kobietą.

– Nie śmieję się głupio jak dzieciak. Nie myśl, że jestem kretynką.

– Ej, ej, ej... Isabell, proszę cię. Chyba nie sądzisz, że cię zdradzam? Przecież to niedorzeczność. Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

– Już mówiłam, żebyś nie uważał mnie za kretynkę. Po prostu powiedz mi, kim jest ta zdzira?

– O kim ty mówisz? – Viktor poczuł wściekłość.

– O tej, która wczoraj podeszła do tego cholernego telefonu, kiedy do ciebie zadzwoniłam! – krzyknęła Isabell do słuchawki.

Viktor zamrugał zaskoczony i próbował zrozumieć to, co usłyszał.

– Wczoraj?

– Tak, wczoraj. Wpół do trzeciej twojego czasu, jeśli chcesz wiedzieć dokładnie.

Anna. To ona była u niego wczoraj po południu. Ale przecież nie mogła odebrać...?

Myśli kłębiły się w głowie Viktora. Przez krótką chwilę poczuł takie samo zachwianie równowagi, jak pasażer samolotu po wielogodzinnym locie.

– Czy to już długo trwa między wami? No mów! Przestań kręcić. Udajesz, że pracujesz nad wywiadem, a wykorzystujesz pamięć naszej córki, żeby pieprzyć się z inną?

Przecież cały czas byłem obok niej. Cały czas, aż do...

Kuchnia. Herbata.

Viktor musiał usiąść, kiedy wspomnienie wróciło jak bumerang.

Ale to był tylko krótki...

– Anna.

– Okay, Anna. A jak nazywa się dalej?

– Co?

Najwidoczniej pogrążony w myślach wypowiedział jej imię.

– Posłuchaj, Isabell. To wszystko to jakieś jedno wielkie nieporozumienie. Źle sobie to wszystko tłumaczysz.

O Boże, zachowuję się jak mąż, który zdradza żonę z sekretarką. „Skarbie, to nie jest to, na co wygląda”.

– Anna jest moją pacjentką!

– Pieprzysz swoją pacjentkę?! – krzyknęła Isabell histerycznie.

– Na Boga, nie. Między nami nic nie ma.

– Ha, ha! – W słuchawce rozległ się szyderczy, głośny śmiech. – Oczywiście, że nic między wami nie ma. Po prostu ot tak sobie wstąpiła do naszego domu. Chociaż nie leczysz już pacjentów. I chociaż nie mogła wiedzieć, że w tym czasie jesteś na Parkum! Do cholery! Chyba skończymy tę rozmowę. To dla mnie poniżające.

– Isabell, proszę. Rozumiem, co sobie myślisz, ale daj mi szansę, żebym ci wszystko wyjaśnił. Proszę.

Cisza na drugim końcu. Tylko przenikliwa syrena amerykańskiego ambulansu świadczyła o tym, że połączenie przez Atlantyk z Nowym Jorkiem się nie urwało.

– Posłuchaj. Sam nie mam pojęcia, co tu się dzieje. Ale dobrze wiem, co się nie wydarzyło: z całą pewnością nie spałem z kobietą, z którą wczoraj rozmawiałaś przez telefon. Nigdy nie miałem też zamiaru cię zdradzić. Proszę, zaakceptuj to jako podstawę naszej rozmowy. Ponieważ reszty nie potrafię ci wytłumaczyć. Faktem jest, że przed pięcioma dniami zapukano do moich drzwi i kobieta, która przedstawiła się jako Anna Spiegel, poprosiła, żebym poddał ją terapii. Rzekomo jest autorką książek dla dzieci i cierpi na halucynacje wywołane schizofrenią. Nie mam pojęcia, jak mnie tu znalazła, i nie wiem nawet, gdzie mieszka na wyspie. Wiem tylko, że jej historia choroby jest tak niezwykła i tak interesująca, że faktycznie zrobiłem wyjątek i przeprowadziłem z nią rozmowę wstępną. W zasadzie w dalszym ciągu przebywa na wyspie tylko dlatego, że mamy tu sztorm i prom na stały ląd nie kursuje.

– Miła historyjka. Dobrze wymyślona – wysyczała Isabell do słuchawki.

– To nie jest żadna historyjka. To jest prawda. Nie mam pojęcia, dlaczego wczoraj odebrała telefon. Chyba wyszedłem na krótko do kuchni, żeby zrobić herbatę, i musiała wykorzystać okazję, kiedy zadzwonił.

– Wcale nie dzwonił.

– Co takiego?

– Natychmiast podniosła słuchawkę. Czekala obok telefonu.

Viktor czuł, jak ziemia coraz bardziej usuwa mu się spod nóg. Coś tu się znowu nie zgadzało. Coś, czego nie potrafił wytłumaczyć.

– Isabell, nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tak zrobiła. Odkąd się tu pojawiła, dzieją się zadziwiające rzeczy. Jestem chory. Ktoś mnie napadł. I sądzę, że ta Anna ma informacje o Josy.

– Co takiego?

– Tak. Cały czas próbowałem się do ciebie dodzwonić. Chciałem ci powiedzieć, że być może pojawił się nowy ślad. Znowu zatrudniłem Kaia. I ktoś wyczyścił nasze konto. Ja też tego wszystkiego nie rozumiem i chciałem to z tobą omówić. Ale od kilku dni nie mogę się z tobą skontaktować. Zamiast tego dzisiaj znajduję telegram od ciebie.

– Wysłałam ci telegram, bo nie mogłam się do ciebie dodzwonić.

Kabel od telefonu.

– Wiem. Wczoraj ktoś wyjął wtyczkę.

– Och, proszę cię, Viktorze. Nie nadwyreżaj mojej inteligencji. W nocy zjawiała się kobieta,

przekazała ci informacje o naszej córce, potem odebrała u ciebie telefon, wygadała się przede mną i na koniec wyjęła wtyczkę z gniazdka? Co masz jeszcze na składzie? Opowieść o jednorazowym skoku w bok z wyspą prostytutką po wypiciu alkoholu byłaby bardziej wiarygodna.

Viktor nie słuchał reszty tego zdania. Już po pierwszych słowach włączył się u niego dzwonek alarmowy.

– O czym rozmawialiście?

Wygadała się przede mną.

– Przynajmniej nie kłamała. Powiedziała, że właśnie bierzesz prysznic.

– To kłamstwo. Byłem w kuchni. Krótco rozmawiałem z Kaiem, a kiedy wróciłem do salonu, już jej nie było. – Viktor był teraz bliski hysterii i krzyczał do słuchawki. – Nic mnie nie wiąże z tą kobietą, ledwo ją znam!

– Och, za to ona zna cię całkiem dobrze.

– Dlaczego?

– Mówiąc o tobie, wymieniała twoje przezwisko. Którego tak nie cierpisz i które poza twoją matką znam tylko ja.

– Diddy?

– Tak, Diddy. I wiesz co, Diddy? Pocałuj mnie gdzieś!

Powiedziawszy to, Isabell odłożyła słuchawkę, z której teraz dochodził tylko ciągły, przenikliwy sygnał.

Jak daleko Viktor sięgał pamięcią, jeszcze nigdy nie czuł takiego osaczenia, które ingerowało w całe jego życie. Nie po raz pierwszy zdarzało się, że jakaś pacjentka przekroczyła granicę i chciała wedrzeć się do jego życia. Ale u podstaw wszystkich dotychczasowych prób wkroczenia w jego prywatność leżał patologiczny, a przez to łatwy do rozpoznania wzorzec. Jednak w przypadku Anny zagrożenie brało się z czegoś ukrytego i niewytłumaczalnego. Czego chciała? Dlaczego przybrała nazwisko zamordowanej studentki i okłamała nawet Isabell, jego żonę? I najważniejsze pytanie: Co to wszystko miało wspólnego z Josy?

Viktor zdawał sobie sprawę, że musiał coś przeoczyć. Wydarzenia ostatnich dni splatały się i łączyły ze sobą. Były następstwem niewidocznego gołym okiem planu, który zrozumiałby tylko wtedy, gdyby potrafił połączyć ze sobą w logiczny ciąg wszystkie ogniwa łańcucha dziwnych zdarzeń. A to wciąż mu się nie udawało.

Ale przynajmniej fizycznie czuł się trochę lepiej, ponieważ od wczoraj nie pił herbaty. Wziął solidny prysznic i przebrał się.

Niedługo czas będzie napelnić i uruchomić pralkę, pomyślał jeszcze, kiedy chciał włożyć przedwczorajsze dżinsy. Wywrócił na drugą stronę kieszenie spodni i wyrzucił wszystkie chusteczki, które się w nich zebrały. Przy okazji upadła na ziemię mała kartka papieru i kiedy się po nią schylał, uświadomił sobie, że w ostatnich dniach całkiem o niej zapomniał. Była to kartka z portfela Anny. Viktor w panice wetknął ją wtedy do kieszeni i na śmierć o niej zapomniał. Kartka była złożona jak mały liścik miłosny, który nastolatki ukradkiem podają sobie pod szkolną ławką. Nie wiedział, na co liczył, ale mimo to był rozczarowany, kiedy przeczytał zapisany na niej ciąg cyfr. Mogło to być wszystko: szyfr do skrytki bankowej, numer konta, internetowe hasło lub to, co najszybciej przyszło mu na myśl: *numer telefonu*.

Viktor pobiegł, tak szybko, jak tylko mógł, na dół do kuchni i podniósł słuchawkę. Powoli wybierał numer, nastawiony wewnętrznie na to, żeby natychmiast się rozłączyć, gdy tylko na drugim końcu ktoś się odezwie.

Cieszę się, że wreszcie się pan odezwał, doktorze Larenz!

Całkowicie zaskoczony Viktor zapomniał odłożyć słuchawkę. Nie spodziewał się takiego powitania, ponieważ analogowa linia na Parkum nie dawała możliwości wyświetlenia numeru dzwoniącego. Kto to był? Do kogo się dodzwonił? I dlaczego ta osoba na drugim końcu czekała na jego telefon z takim napięciem.

– Tak? – Viktor nie chciał jeszcze zdradzać własnej tożsamości i odpowiedział możliwie jak najzwięźle.

– Przepraszam, że się panu naprzykrzam, po tym wszystkim, co pan musiał przeżyć.

Coś w tym głosie wydało mu się znajome.

– Ale pomyślałem, że to naprawdę bardzo ważne i że powinien pan dowiedzieć się o tym możliwie jak najszybciej, aby szkody nie stały się jeszcze większe.

Van Druisen! Teraz Viktor wreszcie go rozpoznał. Ale jakim sposobem numer telefonu jego mentora znalazł się w portfelu Anny?

– Drogi profesorze, dlaczego jest pan taki wzburzony? – zapytał.

– No tak, zadaje się, że nie przeczytał pan jeszcze mojego ostatniego e-maila?

E-maila? W ostatnich dniach Viktor całkiem zapomniał o sprawdzaniu elektronicznej poczty. Musiało tam być pełno już choćby e-maili z „Bunte”, bo przecież przekroczył pierwszy termin oddania wywiadu.

– Nie, jeszcze nie zdążyłem zajrzeć do Internetu.

– Przed tygodniem ktoś się do mnie włamał, doktorze Larenz.

– Przykro mi, ale jaki to ma związek ze mną.

– No tak, samo włamanie mniej mnie niepokoi. O wiele bardziej to, co mi ukradziono. Sprawca otworzył tylko jedną szafę i zabrał z niej akta tylko jednego pacjenta.

– Czyje?

– Tego nie wiem. Ale była to szafa z pana przypadkami. Rozumie pan? Przypadkami, które mi pan przekazał, kiedy odkupiłem od pana praktykę. Obawiam się, że ktoś upatrzył sobie któregoś z pana dawnych pacjentów.

– Skąd pan wie, że jakichś akt brakuje, jeśli pan nie może powiedzieć których?

– Ponieważ znalazłem na korytarzu pusty segregator. Naklejka z opisem na grzbiecie była zerwana, tak że identyfikacja nie jest już możliwa. Ale wszystkie papiery, które były w środku, zniknęły.

Viktor zamknął oczy, jakby dzięki temu mógł lepiej zrozumieć to, co usłyszał. Który z jego dawnych przypadków mógłby dzisiaj kogoś zainteresować? I kto dopuściłby się włamania, żeby ukraść jakieś zakurzone akta? Viktorowi przyszła do głowy pewna myśl i znowu otworzył oczy.

– Niech mnie pan dobrze posłucha, panie profesorze. I proszę mi teraz powiedzieć prawdę. Czy zna pan Annę Spiegel?

– O Boże, więc pan wie?

– Co wiem?

– No, to z... Znaczący...

Viktor jeszcze nigdy nie słyszał, żeby ten stary, dystyngowany profesor tak się bezradnie jękał.

– Co pan ma na myśli, mówiąc, że ja wiem?

– No, tak, więc... A więc to o nią pan właśnie pytał.

– Tak. O Annę Spiegel. Czy wysłał ją pan do mnie? Na Parkum?

– O Boże, czy ona jest u pana?

– Tak. A co się stało?

– Wiedziałem. Wiedziałem, że to był błąd. W żadnym razie nie wolno mi było posunąć się tak daleko. – Głos van Druisena przybrał teraz mocno zrozpaczony, prawie lamentujący ton.

– Profesorze, z całym szacunkiem. O co chodzi?

– Jest pan w niebezpieczeństwie. W dużym niebezpieczeństwie, drogi przyjacielu.

Viktor ścisnął słuchawkę tak mocno jak raketę tenisową przed serwisem.

– Co pan ma na myśli?

– Anna Spiegel była moją pacjentką. Najpierw nie chciałem jej przyjąć, ale przyszła z polecenia.

– Czy jest schizofreniczką?

– Czy tak panu powiedziała?

– Tak.

– To jej typowe zagranie, że pozwolę sobie użyć potocznego określenia.

– A więc nie jest chora?

– Jest. I to bardzo. Ale nie jest schizofreniczką. Wprost przeciwnie. Jej choroba polega na tym, że twierdzi, że nią jest.

– Nie rozumiem?

– Czy opowiedziała panu historię o psie, którego zatłukła na śmierć?

– Tak, o Terrym. Powiedziała, że to była jej pierwsza wizja.

– Nieprawda. Faktycznie zabiła psa. To się zdarzyło naprawdę. Ona tylko udaje schizofreniczkę, żeby lepiej dawać sobie radę z rzeczywistością.

– To znaczy, że wszystko, co mi opowiedziała...

– ...wydarzyło się naprawdę. Naprawdę przeżyła te wszystkie okropne rzeczy. Potem uciekła w urojoną chorobę, żeby nie musiała stawiać czoła prawdzie. Rozumie pan, co mówię?

– Tak.

Wszystko było prawdą: Charlotte, włamanie do bungalowu, jazda do Hamburga, trucizna...

– Ale po co wysłał pan Annę do mnie?

– Nie zrobiłem tego, doktorze Larenz. Ostatnio nie chciałem już leczyć pani Spiegel. Dlaczego miałbym pana obarczyć jej przypadkiem, skoro pan już nie praktykuje? Nie, po prostu pewnego dnia już się u mnie nie pojawiła. I właśnie przez to cała sprawa jest taka tajemnicza. Zniknęła w dniu włamania i jestem pewny, że miała z tym coś wspólnego.

– Skąd ta pewność?

– Ponieważ podczas ostatnich sesji bez przerwy mówiła o panu, doktorze. Że ma z panem jakiś dawny rachunek do wyrównania. Powiedziała nawet, że zamierza pana otruć.

Viktor przelknął ślinę i stwierdził, że jego gardło ma się znacznie lepiej niż w ostatnich dniach.

– Otruć mnie? Ale dlaczego? Przecież w ogóle nie znam tej kobiety.

– Och, za to ona zna pana bardzo dobrze.

Viktor pomyślał o Isabell, która kilka minut wcześniej powiedziała prawie dokładnie to samo.

– Pani Spiegel bez przerwy mówiła o panu. Mój Boże, robię sobie z tego powodu duże wyrzuty. Wydaje mi się, że może być niebezpieczna. Nie, nie wydaje mi się, ja to wiem. Ciągłe opowiadała mi straszne rzeczy. O okrucieństwach, które wyrządzała innym ludziom. Przede wszystkim tej biednej, małej dziewczynce.

– Charlotte?

– Tak. Tak chyba miała na imię. Och, robię sobie najgorsze wyrzuty, doktorze, proszę mi wierzyć. Szkoda, że nie posłuchałem intuicji i nie wycofałem się z jej leczenia. Ona powinna jak najszybciej trafić do zakładu zamkniętego.

– To dlaczego pan tego nie zrobił?

– No, przecież... – Profesor znowu się zająknął. – Przecież pan dobrze wie.

– Co wiem?

– Nie mogłem tak po prostu przerwać terapii z Anną.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ obiecałem to pana żonie. Dałem słowo.

– Mojej żonie? – Viktor zachwiał się i musiał mocno przytrzymać się lodówki.

– Tak. Isabell. To ona poprosiła mnie, żeby dalej zajmował się Anną. Co miałem zrobić? W końcu chodziło o jej najlepszą przyjaciółkę.

Isabell. Anna. Josy. Powoli wszystko nabierało sensu. To dlatego Isabell tak długo była spokojna, kiedy zniknęła Josy. Dlatego wydawała się o wiele mniej zaangażowana emocjonalnie niż on. Bez problemu dalej chodziła do pracy, kiedy on musiał sprzedać swój gabinet. Dawniej zawsze podziwiał jej siłę. Ale może jej zachowanie wynikało też poniekąd z oziębłości emocjonalnej?

Myśli Viktora rozbiegały się we wszystkich kierunkach. Kiedy popatrzył wstecz na tę sprawę, uzmysłowił sobie, że właściwie Isabell wcale nie opłakiwała swojego jedyne dziecko. Nie tak jak on. I czy naprawdę znalazła Sindbada, czy też pojechała do schroniska dla zwierząt, żeby przyprowadzić do domu jakąś namiastkę Josy? Czy w ogóle zna swoją żonę? W każdym razie teraz, w najgorszym okresie jego życia, była dla niego nieuchwytna.

To ona wysłała Annę do van Druisena.

No i jeszcze sprawa pieniędzy.

Viktor włączył komputer w salonie, żeby otworzyć w Internecie stronę swojego banku. Czy to naprawdę możliwe? Czy to Isabell opróżniła ich wspólne konto? Czy działała w porozumieniu z Anną, żeby wpędzić go w obłąd?

Chciał uruchomić przeglądarkę internetową, wtedy jego wzrok padł na pasek zadań u dołu ekranu. Mocno speszony zjechał myszką w dół na pasek. Ale rezultat był taki sam.

Wszystkie ikony zostały usunięte.

Otworzył eksploratora Windows przez menu Start, ale tu też nic się nie zmieniło. Jego komputer był pusty. Na twardym dysku nie było żadnych danych.

Ktoś zadał sobie trud, żeby usunąć wszystkie notatki, dokumenty i akta pacjentów. Skasowano rozpoczęty wywiad. Nawet kosz, w którym tymczasowo gromadziły się skasowane pliki, był pusty.

Viktor wstał od biurka tak raptownie, że skórzane krzesło przechyliło się do tyłu i z hukiem upadło obok regału z książkami. A więc czas działać. Koniec z telefonami. Konto też może poczekać.

Viktor wziął rewolwer, który dał mu Halberstaedt, odbezpieczył i włożył do wewnętrznej kieszeni wodoodpornej kurtki z goretexu. Ona też będzie mu potrzebna.

Teraz.

Kiedy walcząc z wiejącą mu w twarz wichurą, będzie zmierzał do wioski, gdzie miał nadzieję znaleźć jedno i drugie:

Odpowiedzi oraz Annę Spiegel.

Są ludzie, którzy mają zimne stopy, i z tego powodu godzinami nie mogą zasnąć, ponieważ stopy nie chcą się rozgrzać nawet energicznym pocieraniem jedna o drugą pod kołdrą. Inni marzną w zimne dni, poczynając od nosa.

U Viktora najbardziej wrażliwe były uszy. Kiedy temperatura spadała, zaczynały boleć, gdy tylko wyszedł na zimne powietrze. Ale przeżywał jeszcze gorsze męki, kiedy wracał do ciepłego pomieszczenia i jego uszy „tajały”. Wtedy ból w uszach przechodził w kłujący ból głowy, który od karku rozchodził się po całej tylnej części czaszki i nie dawał się uśmierzyć ani aspiryną, ani ibupromem. Tę lekcję Viktor przerobił boleśnie już w dzieciństwie i dlatego w drodze do wioski głęboko nasunął kaptur. Nie tyle, żeby osłonić się od deszczu, ile raczej, żeby chronić uszy.

Kaptur i hałas nieustannych uderzeń wichru, który roznosił po okolicy tumany piasku i liści, sprawiły, że nie usłyszał metalicznej melodii, która dochodziła z kieszeni jego kurtki. I gdyby z powodu całkowicie zalanej piaszczystej drogi nie zatrzymał się na chwilę przy starej komorze celnej, nigdy nie usłyszałby dzwonka. Zwłaszcza że z łatwo zrozumiałych względów nie widział powodu, żeby zwracać uwagę na swoją komórkę. Nie mogła tu działać, ponieważ zasięg nie obejmował Parkum. A mimo to dzwoniła, jak Viktor stwierdził zdziwiony, kiedy ściągnął kaptur z głowy.

Spojrzał na wyświetlacz i numer wydał mu się znajomy.

– Halo?

Viktor zatkał lewe ucho palcem, żeby w tym wietrze mógł cokolwiek usłyszeć. Ale wydawało się, że po drugiej stronie nie ma nikogo.

– Halo, kto mówi?

Wicher ucichł na krótką chwilę i wydało mu się, że słyszy szlochanie.

– Anna? Czy to pani?

– Tak, przykro mi, ja...

Reszty Viktor nie mógł zrozumieć, ponieważ w tej sekundzie na dach jego schronienia spadła z trzaskiem gruba gałąź.

– Anno, gdzie pani jest?

– ...ja... Kotwicą.

Strzępy rozmowy były bezładne, ale mimo to Viktor próbował podtrzymać rozmowę.

– Wiem, że nie ma pani Pod Kotwicą. Powiedział mi to Patrick Halberstaedt. Więc niech pani będzie tak dobra i wyśle mi esemesa z dokładnym miejscem pani pobytu. Za kilka minut przyjdę do pani i wszystko omówimy. Osobiście...

– Znowu to się dzieje!

Wykrzyczała to zdanie, podczas kiedy szalejący wicher, który na chwilę ucichł, właśnie wybuchł ze zdwojoną siłą.

– Co się dzieje?

– ...ona... u mnie... Charlotte...

Viktor nie potrzebował pełnego zdania. Już wiedział, co Anna chciała dać mu do zrozumienia. Stało się. Miała ciężki atak schizofrenii. Charlotte budziła się do życia.

Po dwóch minutach namysłu Viktor zorientował się, że znowu brak zasięgu. I chociaż widział, że wyświetlacz jego nokii wskazuje brak sieci, to standardowy sygnał zasygnalizował nadejście esemesa.

„Niech mnie pan nie szuka. To ja znajdę PANA!”

Większość kierowców nienawidzi korków, ponieważ odbierają im poczucie samodzielnego decydowania. Gdy tylko dojeżdżamy do łańcucha czerwonych tylnych świateł i stwierdzamy, że wszyscy przed nami stoją, instynktownie szukamy drogi ucieczki. I nawet jeśli zupełnie nie znamy okolicy, czasem włączamy kierunkowskaz i skręcamy w pierwszy zjazd.

W tej chwili Viktor znajdował się w podobnej sytuacji jak kierowca samochodu, który w wieczornym wzmożonym ruchu stoi przed wyborem, czy minąć ostatni zjazd z autostrady, czy też zjechać w nieznaną teren. I podobnie jak wielu przed nim zdecydował się działać, zamiast biernie czekać. Musi znaleźć Annę, chociaż ostrzegła go, żeby jej nie szukał. Nie chciał czekać, aż sama znowu zgłosi się do niego. Istniało zbyt duże niebezpieczeństwo, że pomiędzy nimi wyrosnie jeszcze jedna bariera.

Dlatego szedł pochylony drogą wzdłuż wybrzeża, znowu naciągnął kaptur na głowę i starał się stawiać wiatrowi możliwie jak najmniejszy opór, jednocześnie omijając wypełnione wodą dziury.

Dzieliło go jeszcze około pięciuset metrów od portu jachtowego i minął już jedyną restaurację na wyspie, kiedy nagle się zatrzymał i rozejrzał dookoła. Mógłby przysiąc, że ktoś jest przed nim.

Viktor starł grube krople deszczu z twarzy i przysłonił oczy wyprostowaną dłonią na wysokości czoła.

Tam.

Nie mylił się. Około dwudziestu metrów przed nim przedzierała się przez burzę postać otulona niebieskim płaszczem przeciwdeszczowym i najwidoczniej ciągnęła coś za sobą.

Najpierw nie był pewny, czy to mężczyzna, czy też kobieta, i czy widzi jej twarz, czy tył głowy. Nawet z tak krótkiego dystansu wicher niemal uniemożliwiał rozpoznanie pojedynczych szczegółów. Dopiero kiedy błyskawica nad morzem blade rozświetliła scenię nad wąską drogą prowadzącą wzdłuż wybrzeża, jednocześnie z groźnym pomrukiem gromu, Viktor poznał, kim jest mężczyzna, do którego się zbliżał, i co trzyma w ręku.

– Michael, czy to pan?! – zawołał na przewoźnika promowego, kiedy ten znajdował się zaledwie kilka kroków od niego. Ale odgłosy orkanu sprawiały, że mogli porozmawiać ze sobą dopiero wówczas, gdy stanęli naprzeciw siebie na wyciągnięcie ręki.

Michael Burg miał obecnie siedemdziesiąt jeden lat i przy lepszej pogodzie było to po nim widać. Wiatr i woda morska naznaczyły głębokie bruzdy na jego czerstwej twarzy. Mimo zaawansowanego wieku w dalszym ciągu miał okazałą postać człowieka, który przez większą część życia ciężko pracował fizycznie, a na dodatek oddychał zdrowym morskim powietrzem.

Michael podał Viktorowi lewą rękę. W prawej trzymał smycz, na której prowadził dygocącego z zimna, całkowicie przemoczonego sznaucera.

– Żona kazała mi wyprowadzić psa, panie doktorze! – krzyknął pod wiatr i pogardliwie pokręcił głową, tak jakby chciał powiedzieć, że tylko kobieta mogła wpaść na tego rodzaju niedorzeczny pomysł.

Viktor z bólem pomyślał o Sindbadzie.

– Ale co pana wyгнаło z domu na taką pogodę? – zapytał Burg.

Daleka błyskawica rozświetliła niebo i Viktor w ułamku sekundy, w którym dobrze widział rozmówcę, dostrzegł głęboką nieufność w jego oczach.

Viktor zdecydował się powiedzieć prawdę. Nie tyle ze szczerości, ile dlatego, że w tej chwili nie przychodziło mu do głowy żadne inne sensowne wyjaśnienie niebezpiecznego spaceru w czasie najsilniejszego od dziesiątek lat sztormu.

– Szukam kogoś. Kto wie, może nawet mógłby mi pan w tym pomóc.

– Tak? O kogo chodzi?

– O osobę o nazwisku Spiegel. Anna Spiegel. Niewysoka blondynka, około trzydziestu pięciu lat. Przewoził ją pan z Syltu przed trzema dniami.

– Przed trzema dniami? To niemożliwe.

Niemożliwe. Viktor zastanawiał się, jak często w ostatnich godzinach słyszał lub pomyślał to słowo.

Tymczasem czarny sznaucer dygotał coraz bardziej i ciągnął smycz. Widocznie miał jeszcze mniejszą ochotę na spacer niż jego pan, zwłaszcza jeśli zrobił się przestój.

– Co ma pan na myśli, mówiąc niemożliwe? – Viktor miał poczucie, że musi coraz głośniejsze krzyknąć, żeby przewoźnik go zrozumiał.

– Prom nie kursuje od prawie dwóch tygodni. Pan był ostatnim pasażerem, którego przewiozłem. Od tamtej pory nikt nie przejawiał ochoty, żeby dostać się na wyspę!

Michael wzruszył ramionami.

– Co pan opowiada! – zaprotestował Viktor, kiedy Michael zbierał się już do odejścia.

– Może przyplynie inną łodzią, chociaż w to też nie wierzę. Musiałbym coś o tym słyszeć. Jak pan powiedział? Jak nazywa się ta kobieta?

– Spiegel, Anna – powtórzył Viktor i zobaczył, jak Michael kręci głową.

– Nigdy nie słyszałem, doktorze. Przykro mi. Ale teraz muszę już iść, bo żona jeszcze pomyśli, że coś mi się stało.

Jakby na podkreślenie, że takie obawy nie byłyby wcale tak bardzo nieuzasadnione, nad wyspą przetoczył się od północy kolejny głuchy grzmot. Z jednej strony Viktor zdziwił się, że wylądowaniu nie towarzyszyła błyskawica, z drugiej zaś próbował wstawić nowo pozyskany element układanki we właściwe miejsce. Skoro prom nie kursował, to jak Anna się tu dostała? I dlaczego kłamała także w tym punkcie?

– Aha, jeszcze jedno...

Stary przewoźnik przerwał Viktorowi tok myślenia i zrobił kilka kroków z powrotem w jego kierunku.

– Nic mnie to wprawdzie nie obchodzi, ale czego pan chce od tej kobiety?

W taki wieczór, w taki deszcz, pan, żonaty mężczyzna? Słowa te pozostały niewypowiedziane, zawisły jednak niemo w burzowym powietrzu.

Viktor wzruszył ramionami i odwrócił się.

Chcę wiedzieć, co się stało z moją córką.

Gospoda Pod Kotwicą była jakby przeniesioną z książki z obrazkami gospodą, jaką wyobrażamy sobie na samotnej wyspie na Morzu Północnym. Położony naprzeciwko portu jachtowego trzypiętrowy dom z pruskiego muru zaliczał się do najwyższych budynków na wyspie, jeśli pominąć latarnię morską. Po śmierci męża Trudi ledwie wiązała koniec z końcem, utrzymując się z niskiej renty i niewielu gości, którzy zabłąkali się tu w sezonie. Ale zarówno dom, jak i jego właścicielka stanowili nieodłączną część wyspy i mieszkańcy zrobiliby wszystko, aby tu pozostali. W razie konieczności gotowi byli nawet u niej nocować. W dobrych dla niej dniach, kiedy na Parkum rozpoczynały się regaty żeglarskie, znajdowało tu wygodne kwatery do dwudziestu osób. A kiedy pozwalały na to nieliczne słoneczne dni, Trudi wystawiała stoliki na świeże powietrze i w ogródku podawała gościom i znajomym własnej roboty lemoniadę lub kawę mrożoną. Jesienią starzy mieszkańcy osady siadali przed kominkiem z kutego żelaza w foyer małego hoteliku i snuli marynarskie opowieści, delektując się upieczonym przez Trudi ciastem. Chyba że Trudi zdecydowała się odwiedzić krewnych w cieplejszych stronach i zamykała interes do wiosny. Tak jak w tym roku. Po tajemniczej rozmowie z Halberstaedtem Viktor nie był zdziwiony, że kiedy zbliżał się powoli do budynku, zobaczył zaryglowane okiennice gospody Pod Kotwicą i brak dymu z komina.

Czego ja tu szukam?, zadał sobie pytanie, rozglądając się za jakimś znakiem życia od Anny.

Przez krótką chwilę Viktor tłumił chęć głośnego zawołania jej po imieniu tylko po to, żeby się upewnić, że nie wtargnęła przemocą do zamkniętego domu, aby stamtąd prowadzić z nim swoją budzącą grozę grę.

Nagle znowu zadzwoniła jego komórka. Tym razem była to inna melodia, którą przypisał najbliższym przyjaciółom i krewnym.

– Słucham?

– Powiedz, w co ty mnie wrabiasz?

– Kai? O czym ty mówisz?

Viktor z powrotem wyszedł na drogę, kilka kroków dalej na wschód, i próbował zrozumieć detektywa.

– W co ty grasz ze mną?

– Ja? O co ci chodzi?

– Mówię o faksie.

– Ach, tak. Dobrze, że dzwonicz, bo nic na nim nie było.

– Nic? Sam wiesz najlepiej, czego nie było, a więc mi tu nie chrzań.

– Co ty mi tu opowiadasz? Co z tobą?

Viktor musiał odwrócić się plecami do wiatru, kiedy nagły szkwał chlusnął mu w twarz strumieniem deszczu. Z tej perspektywy opuszczona gospoda sprawiała wrażenie walącej się dekoracji filmowej.

– Kazałem sprawdzić numer, z którego wysłano do mnie rysunek. Chciałem się dowiedzieć, kto przysłał mi tego kota.

Niebieski kot Nepomuk.

– I co?

– Przyszedł od ciebie. Z twojego domu. Sam wysłałeś mi go z Parkum.

To niemożliwe, pomyślał Viktor.

– Kai, nie wiem, co... – Chciał mu właśnie wyjaśnić, kiedy rozległ się podwójny pisk, a po nim anonimowy kobiecy głos zakomunikował: „Znajdujesz się poza zasięgiem naszej sieci. Proszę spróbować później jeszcze raz”.

– Cholera. – Viktor spojrzał na komórkę i głośno zaklął. Jego ostatni kontakt ze stałym lądem został zerwany. Ponownie się odwrócił i zamarł w bezruchu. Wodził wzrokiem na wszystkie strony i w

końcu spojrzął do góry, jakby od granatowocznego nieba oczekiwał odpowiedzi.

Z kim mógłby teraz porozmawiać? Do kogo pójść? Kropla deszczu trafiła go prosto w źrenicę. Gwałtownie zamrugał oczami, zupełnie jak wówczas, kiedy był małym chłopcem i w wannie szampon dostał mu się oka. Viktor tarł oczy, a kiedy skończył, wydawało mu się, że teraz widzi wszystko dookoła znacznie ostrzej. Jego widzenie się polepszyło. Tak jakby w czasie badania wzroku okulistka wreszcie dobrała właściwe soczewki i wreszcie mógł przeczytać litery na planszy wiszącej w drugim końcu gabinetu. Ale może był to tylko przypadek, że nagle już wiedział, dokąd powinien pójść w następnej kolejności.

Tak jak się spodziewał, w małym domku burmistrza jeszcze paliło się światło. Viktor szybko wbiegł po schodach na werandę i przycisnął dzwonek przy drzwiach Halberstaedta.

Gdzieś zaszczekał pies, prawdopodobnie sznaucer Michaela, a w pobliżu trzaskała furka do ogródka. Hałas mogła również powodować źle zabezpieczona okiennica. W każdym razie Viktor nie usłyszał dźwięku dzwonka. Odczekał jeszcze chwilę, na wypadek gdyby Halberstaedt zareagował na pierwszy dzwonek i właśnie był w drodze do drzwi.

Jednak również po drugim dzwonku nikt się nie pokazał, więc Viktor spróbował użyć siły. Ujął wiszącą na drzwiach kołatkę wielkości pięści i kilka razy uderzył nią w cedrowe drewno. Halberstaedt mieszkał sam. Żona opuściła go przed dwoma laty dla bogatego maniaka internetowego z Monachium.

Znowu żadnej reakcji.

Może mnie nie słyszy przez ten hałas, który robi ta paskudna pogoda, pomyślał Viktor i obszedł dom dookoła. Był bardzo ładnie położony, tuż obok gospody, z widokiem na port jachtowy. Ale nie miał własnego dostępu do morza ani własnej przystani. Jeśli chciało się dojść do wody, trzeba było przejść przez wąską drogę. Na tak małej wyspie nie stanowiło to problemu. Ale Viktor był zdania, że jeśli już mieszka się nad morzem, to powinno być tak dosłownie. Inaczej równie dobrze można wynająć dom na lato na stałym lądzie i samochodem dojeżdżać do najbliższej położonej plaży.

Porywy szkwału przychodziły od strony morza, i kiedy Viktor stanął z tyłu domu, przez krótką chwilę cieszył się ochroną, jaką zapewniał mu front budynku.

Wzdłuż całej drogi nad brzegiem oprócz kilku mizernych, suchych i krzywo rosnących z powodu silnego stałego wiatru sosen nie było nic, co mogło przeciwstawić się burzy, tak że jej cały napór nieprzerwanie atakował go od przodu. Teraz, kiedy po raz pierwszy deszcz trochę zelżał, wreszcie znowu mógł swobodnie oddychać. Po krótkim odpoczynku spróbował poszukać jakiegoś znaku życia od właściciela domu.

Rzut oka przez duże tylne okno ukazał mu widok biura Halberstaedta. Widocznie gospodarz znajdował się teraz na piętrze. Biurko było pokryte ręcznie zapisanymi papierami, a na małym stolku stał otwarty notebook, ale nie widać było śladu jego właściciela. Ogień w kominku wygasł i poza jedną jaskrawo świecącą lampką na biurku nic nie świadczyło o tym, że Halberstaedt niedawno tu pracował.

Nawet nie wiedziałem, że Patrickowi potrzebne jest biuro, a co dopiero komputer, zdziwił się Viktor i rozglądał się dalej.

Z górnego piętra nie przedostawał się na zewnątrz ani jeden promień światła, co mogło nic nie znaczyć, jeśli Halberstaedt się położył lub zaciągnął zasłony.

Viktor musiał przyznać, że nie wie, co dalej począć. Jak do tej pory jego wyprawa przez gęsty deszcz nic nie dała. Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ nie miał jasności, czego dokładnie szuka i co zamierza zrobić, gdyby spotkał Annę lub Halberstaedta.

Niech mnie pan nie szuka. To ja znajdę PANA!

Viktor chciał jeszcze raz spróbować szczęścia z kołatką, kiedy jego wzrok padł na szopę w głębi zaniedbanego ogrodu.

W normalnych okolicznościach słaby blask światła, który prześwitywał na zewnątrz spod drzwi z falistej blachy, w ogóle nie zwróciłby jego uwagi. Ale wewnętrzne napięcie tak wyostrzyło zmysły Viktora, że nagle zauważył liczne dziwne rzeczy naraz: w szopie paliło się światło, jedyne okno było bez widocznego powodu zabite od środka grubymi deskami, z żelaznego komina, który wystawał z płaskiego dachu, bez wątpienia wydostawał się dym.

Co Halberstaedt robi w tę paskudną pogodę w szopie na narzędzia? I dlaczego tak starannie zadbał o to, żeby światło nie przedostawało się na zewnątrz, skoro jego biuro było tak jasno oświetlone?

Viktor, nie bacząc na coraz silniejsze poczucie zagrożenia, ruszył przez mokrą trawę do małego domku, żeby zobaczyć, co się tam dzieje.

Drzwi nie były zamknięte. Kiedy Viktor powoli je otwierał, uderzył go stęchły zapach, typowa mieszanina oleju, mokrego drewna i brudnych szmat, zapach, który panuje w każdym nieuprzątniętym warsztacie. Poza kilkanaście pajaków i chrząszczami, które Viktor spłoszył, gdy wszedł z deszczu do szopy, nie zobaczył żywej duszy. Tu również nie było Halberstaedta.

Ale brakowało jeszcze czegoś, co Viktor spodziewał się znaleźć w tym miejscu. Na plastikowych regałach stojących przy ścianach oraz na podłodze pomieszczenia, wielkości mniej więcej przestronnego garażu na dwa samochody, nie było ani narzędzi ogrodniczych, ani zawsze obecnych w takich miejscach resztek materiałów budowlanych lub puszek z farbą.

Ale to nie brak taczek, starych rowerów lub wybrakowanych elementów łodzi wiosłowych przyprawił Viktora o dreszcze. Po raz pierwszy, odkąd wyszedł ze swojego domu i odbył długą drogę do opuszczonej szopy w ogrodzie burmistrza wyspy, fizycznie poczuł przenikający go chłód. Ten chłód owinął mu się wokół bioder i ukradkiem skradał się po plecach w górę aż do karku, następnie pokrył skórę czaszki, aż w końcu wywołał na całym ciele gęsią skórę.

Dlaczego śmierć zawsze jest zimna?

Viktor otrząsnął się, nie tylko po to, aby się upewnić, że to nie sen, ale również, aby pozbyć się irracjonalnych myśli, które się pojawiły, kiedy zdał sobie sprawę z tego, co właściwie znalazł w tej szopie.

To straszne.

Jak bardzo chciałby być teraz w domu, we własnym domu. Razem z żoną siedzieć przed kominkiem lub w ciepłej łazience w wannie z palącymi się świeczkami na jej obrzeżu. W domu zabezpieczonym przez solidne drzwi i zamknięte okna, odizolowanym od niesprawiedliwości otaczającego świata. Chciał być wszędzie, tylko nie tu, pomiędzy setkami okropnych zdjęć i artykułów prasowych.

Halberstaedt, Anna lub ktokolwiek inny, kto przebywał w tym miejscu w ostatnich miesiącach, ozdobił ściany przerażającym kolażem złożonym ze zdjęć, fragmentów artykułów i wyciętych liter. Fotografie nie były tak odrażające dlatego, że pokazywały sadystyczne perwersje, kawałki zwłok lub inne tematy wywołujące mdłości, jakie można znaleźć tylko na ukrytych stronach internetowych. Viktora owładnęła zgroza, ponieważ wszędzie widział tę samą twarz. Na wszystkich wycinkach prasowych, na wszystkich fotografiach, które wisiały w poprzek pomieszczenia na sznurkach do suszenia bielizny i były przyklejone do regałów, widniał zawsze tylko jeden motyw: Josy.

Viktor poczuł się jak człowiek uwięziony w papierowym lesie wspomnień, zmuszony do patrzenia swojej córce w oczy, obojętnie, w którą stronę spojrzał. Ktoś musiał poświęcić cały swój wolny czas na zajęcie się sprawą jej uprowadzenia. Viktor trafił na pogańską świątynię obłędu. Ktoś uczynił Josy przedmiotem szaleńczego, żadną miarą niepojętego, irracjonalnego kultu.

Kiedy pierwszy szok minął, zaczął rozpoznawać detale tego strasznego kolażu, który ukazał mu się w świetle słabej żarówki na suficie.

W pierwszym odruchu sądził, że się myli, ale po chwili był pewny: fotografie były miejscami usiane krwawymi odciskami palców. Odciskami, które, jak się wydawało, musiały pozostawić małe dłonie, za małe jak na grube łapska Halberstaedta.

Gdyby Viktor potrzebował ostatecznego dowodu na to, że właśnie patrzy na dzieło osoby umysłowo chorej, to znalazłby go w treści nagłówek gazet, które zostały starannie wycięte, zaznaczone markerem i przyklejone nad rozmaitymi zdjęciami.

Viktor owinął rękę szalikiem i przyciągnął gorącą żarówkę bliżej ściany, żeby móc lepiej przeczytać napisy kolażu.

„Zniknęła córka sławnego psychiatry

Lekarz uwalniający od koszmarów teraz sam w sidłach koszmaru

Sławny psychiatra opuszczony przez żonę

Mała Josy otruta?

Decyzja zapadła: zakaz praktykowania dla Larenza!”

Co za wariat wymyśla te bzdury?, zapytał Viktor sam siebie. Kilka nagłówków było autentycznych. Ale większość była w oczywisty sposób całkowicie wymyślona i z każdą linijką coraz bardziej absurda.

Albo może powinienem raczej zapytać: co za wariatka?

Ile się trzeba było natrudzić! Najpierw ktoś musiał te teksty wymyślić, następnie za pomocą komputera nadać im gazetowy wygląd, wydrukować i powiesić tu na ścianie. I skąd pochodziły te wszystkie fotografie Josy? Niektóre były mu znane, prawdopodobnie zostały ściągnięte z Internetu. Innych nigdy wcześniej nie widział.

Czyżby potajemnie śledziła jego rodzinę? Czy zdjęcia jego córki robiono z ukrycia? Nawet jeśli nie stanowiło to rozstrzygającego dowodu, to i tak w tej chwili Viktor miał pewność, że musiało to być dzieło Anny.

I zapewne z poszczególnych nagłówków można wyczytać, jaki przyświeca jej cel. Schemat, według którego działała i którego ja poszukiwałem, pomyślał Viktor i przesunął żarówkę bardziej na lewo.

Gdyby w tym momencie nic się nie wydarzyło, to niewykluczone, że wszystko przybrałoby inny obrót. Gdyby Viktor nie krzyknął głośno z przerażenia, lecz zamiast tego usłyszał szuranie dochodzące z zewnątrz. Gdyby nie był tak bardzo skoncentrowany na tym, żeby zobaczyć i zrozumieć to, co wisi na ścianie, lecz zareagował na trzask gałęzi w ogrodzie. I może gdyby się odwrócił i nieco wcześniej dostrzegł nadchodzące niebezpieczeństwo. Może.

Zamiast tego puścił żarówkę i sięgnął po strzęp papieru, który wisiał na zardzewiałym gwoździu wbitym w tylną ścianę szopy. Nie interesowało go, co na nim jest. Od razu wiedział, co trzyma w ręku i gdzie już to wcześniej widział. I to niedawno, przed kilkoma minutami. Był to ten sam szary ekologiczny papier i to samo pismo. Viktor nie miał wątpliwości – ta kartka pochodziła ze stosu papierów, który piętrzył się na oddalonym zaledwie o rzut kamieniem biurku Patricka Halberstaedta. Ten, kto stworzył kolaż grozy, pracował nie tylko tu, w szopie na narzędzia, lecz również w oddalonym o kilka metrów domu burmistrza wyspy.

Uzbrojony w te informacje i odbezpieczony rewolwer Viktor wybiegł do ogrodu.

Potrzebował tylko dwóch minut, żeby znaleźć schowek. Halberstaedt również na wszelki wypadek chował zapasowy klucz pod doniczką na werandzie.

Gdy Viktor otworzył drzwi, głośno zawołał gospodarza i wszedł do każdego pokoju, żeby się upewnić, że przecucie go nie myliło. W domu nie było nikogo. Viktor modlił się w duchu, żeby Halberstaedtowi nic się nie stało. Mimo niedawnej, niezrozumiałej rozmowy, jaką z nim przeprowadził, i mimo przejmującej zgrozą szopy po prostu nie mógł i nie chciał uwierzyć, że Halberstaedt był współnikiem Anny. Znał go zbyt długo. Ale kim był w takim razie? Alternatywa przeraziła go w równym stopniu, w dodatku musiał pomyśleć o Isabell. W tej chwili Anna była poważnym zagrożeniem i mógł tylko mieć nadzieję, że jej obłąd ograniczy się wyłącznie do jego osoby.

Szybkimi krokami podszedł do biurka, nie zwracając uwagi na to, że jego buty zostawiają błoto na jasnej wykładzinie.

Wpatrywał się nieruchomo w stertę papierów obok komputera.

Co jest na tych kartkach? Nad czym pracował Halberstaedt lub Anna? Tym razem Viktor był pewny, że wreszcie trzyma w ręku klucz do wszystkich odpowiedzi.

Zanim usiadł, żeby przeczytać pierwsze strony, zdjął kurtkę przeciwdeszczową i położył rewolwer obok stosu papierów na biurku.

Już na pierwszy rzut oka Viktor zorientował się, że ma przed sobą rękopis. A kiedy przebiegł oczami początek tekstu, doznał uczucia *déjà vu*, jakiego nigdy dotąd nie przeżywał.

B: Jak się pan czuł bezpośrednio po tragedii?

L: Umarłem. Wprowadzie jeszcze oddychałem, od czasu do czasu też piłem i jadłem. I zdarzało mi się nawet przespać jedną albo dwie godziny na dobę. Ale tak naprawdę nie istniałem. Umarłem w dniu, w którym zniknęła Josephine.

Przeczytał tę wypowiedź aż dwukrotnie, a i tak nie był całkowicie pewien, czy to, co widzi, widzi naprawdę. To nie była któraś z kolejnych opowieści Anny. To był jego wywiad. Jego odpowiedź na pierwsze z pytań „Bunte”.

Viktor najpierw zastanawiał się, jak Annie udało się zdobyć jego notatki, skoro – jak sobie przypomniał – cała zawartość twardego dysku jego komputera została skasowana. Musiała wykorzystać moment, kiedy była sama, zapewne wczoraj, w czasie jego snu, żeby wykraść jego wszystkie pliki.

Ale dlaczego zadała sobie tyle trudu, aby wszystko przepisać ręcznie? Dlaczego po prostu nie wydrukowała odpowiedzi? Po co ta niezliczona liczba stron zapisanych długopisem? I co to za osobliwe pismo, które wyglądało raczej na męskie i zupełnie nie pasowało do drobnej, delikatnej kobiety? Jednak Halberstaedt? Nie, burmistrz nigdy nie wchodził do jego domu. Nie miał dostępu do jego komputera.

Viktor nerwowo przewracał kartki i stwierdził, że rzeczywiście Anna musiała wszystko przepisać własną ręką. Każde pytanie. Każdą odpowiedź. Słowo po słowie. Zdanie po zdaniu. Wszystko, co do tej pory zapisał w komputerze.

Spojrzał w bok na włączony laptop. Sony Vaio, identyczny jak ten, na jakim sam pracował. Ten sam model. Viktor dotknął myszki, żeby zdezaktywować wygaszacz ekranu. Chciał – nie, musiał zobaczyć, nad czym ostatnio pracowała Anna.

Od razu pojawił się dokument w Wordzie i Viktor w jednej chwili zobaczył, co zawiera. Były to oryginalne pytania „Bunte”. Dokładnie ten sam e-mail, który przysłała mu redakcja.

Viktor oderwał wzrok od ekranu laptopa i znowu spojrzał na stertę papieru. Wiedział jedno: teoretycznie było możliwe, że Anna ściągnęła jego pliki i być może w Berlinie ukradła nawet akta z jego archiwum. Ale była u niego dopiero co wczoraj wieczorem. I to na dodatek w wyjątkowo złym stanie fizycznym. A więc miała bardzo mało czasu, żeby przepisać jego wywody.

Czy to w ogóle było możliwe?

Znowu obudziło się w nim wspomnienie tym razem jednego z pierwszych spotkań z Anną. Kiedy

podczas ulewnego deszczu przysłała do jego domu przy plaży. A mimo to jej eleganckie buty nie były ani mokre, ani zabłocone.

Nie dawał mu spokoju czynnik czasu. Żeby w ciągu tak niewielu godzin zdążyła tak dużo napisać. Zwłaszcza że sterta papieru wydawała mu się o wiele grubsza od tego, co w ostatnich dniach sam zapisał w swoim laptopie.

Viktor wyciągnął dwie kartki z samego spodu i wstrzymał oddech. Faktycznie. To nie on to pisał. Oblęd Anny musiał być jeszcze silniejszy, niż to było widoczne. Anna nie tylko przepisała jego notatki, lecz uzupełniła je swoimi słowami.

Viktor czytał:

Czuję się winny śmierci mojej córki. I czuję się winny rozpadu mojego małżeństwa. Jest wiele rzeczy, które zrobiłbym inaczej, gdybym teraz mógł zacząć jeszcze raz od początku.

Jak mogłem tak oszukiwać Isabell?

Wpatrywał się w te słowa całkowicie wytrącony z równowagi. Czy był to dowód spisku między Anną a Isabell? Ale dlaczego? W jakim celu? Z sekundy na sekundę wszystko wydawało się coraz bardziej zagmatwane. Już najwyższy czas, żeby ciemność wreszcie rozjaśniło światło i żeby sztorm ucichł.

Nie słysząc kroków za sobą, wziął drugą kartkę i czytał:

Gdybym bardziej słuchał żony. Ona zawsze podejmowała właściwe decyzje. Jak mogłem wtedy myśleć, że jest przeciwko mnie? Jak mogłem się od niej odwrócić? Teraz, kiedy jest już za późno, widzę, jak się myliłem, winiąc ją za wszystko, co przydarzyło się Josy. I jakie niebezpieczeństwo ściągnąłem przez to na głowę naszej córki.

Viktor kilkakrotnie czytał dwa ostatnie zdania. Rozumiał je równie mało, jak gdyby były napisane po chińsku. Zastanawiał się, czy nie powinien po prostu wziąć wszystkich papierów i natychmiast wyjść z tego domu.

Ale na to było już za późno.

Teraz już pan wie?

Kiedy Viktor usłyszał znany mu głos, ze strachu upuścił kartki, które trzymał w ręku. Przerazenie ścisnęło go jak wąż dusiciel. A ponieważ pod rozrzuconymi papierami nie mógł znaleźć rewolweru, odwrócił się całkowicie bezbronny. W przeciwieństwie do Anny, która trzymała w ręku długi nóż. Trzymała go tak mocno, że z palców odpłynęła krew. Mimo groźnej postawy wyglądała tak samo pięknie jak pierwszego dnia. Najwyraźniej czuła się jeszcze lepiej niż wczoraj. Miała starannie ułożone włosy, czarny kostium podkreślał jej zmysłową figurę i był nienagannie uprasowany. Nawet lakierki były wypolerowane na wysoki połysk.

Niech mnie pan nie szuka. To ja znajdę PANA!

– Proszę posłuchać.

Viktor uznał, że najlepszą obroną będzie atak, i po prostu zignorował fakt, że kobieta niedwuznacznie grozi mu przemocą.

– Anno, mogę pani pomóc!

Ona nie jest schizofreniczką. Tylko tak udaje.

– Pan chce mi pomóc? Pan, który zniszczył wszystko we własnej rodzinie? Swoje dziecko, żonę, swoje życie?

– Co panią łączy z moją żoną?

– Jest moją najlepszą przyjaciółką. Teraz mieszkamy razem.

Viktor bardzo chciał zobaczyć w jej oczach błysk szaleństwa. Ale jej ładna twarz sprawiała, że wypowiedane przez nią dziwne słowa brzmiały jeszcze bardziej przerażająco.

– Jak się pani naprawdę nazywa? – zapytał Viktor i szukał śladu jakiegokolwiek emocji na jej twarzy.

– Zna pan moje nazwisko. Nazywam się Anna. Anna Spiegel.

– No, dobrze. Wiem, że to nieprawda. Dzwoniłem do kliniki w Dahlem.

Anna uśmiechnęła się cynicznie.

– Dzwonił pan tam? Czy nie jest pan zbyt ciekawski?

– Tak, dzwoniłem, i powiedziano mi, że nigdy nie była pani ich pacjentką. Ale była studentka o takim nazwisku. I już nie żyje.

– Co za dziwny zbieg okoliczności, nie sądzi pan? Jak ją zamordowano?

Anna przekrzywiła nóż, tak że odbijające się w nim światło lampki na biurku oślepiło go na krótką chwilę.

– Tego nie wiem – skłamał. – Ale proszę, żeby pani była rozsądna.

Viktor myślał gorączkowo. Nie przygotował sobie żadnej strategii na taką sytuację. W Berlinie po znacznie bardziej niewinnym incydencie kazał zainstalować przycisk alarmowy pod biurkiem. *I to jest powód, dlaczego wcześniej nigdy nie przyjmowałem pacjentów poza gabinetem*, pomyślał. Desperacko spróbował innego sposobu.

– No dobrze. Powiedziała pani, że wszystkie postacie, które wymyśla pani w swoich książkach, stają się realne.

– Tak, dobrze pan słyszał, doktorze.

Muszę coś zrobić, żeby cały czas mówiła. Aż Halberstaedt wróci do domu. Aż coś się wydarzy. Obojętne co.

Viktor zdecydował się postępować tak, jakby wierzył w jej opowieść, że jest chora na schizofrenię.

– Jest na to całkiem proste wytłumaczenie. Kiedy niedawno powiedziała pani, że to „znowu się dzieje”, miała pani na myśli fakt, że w jej życiu znowu objawił się ktoś, kogo pani sama stworzyła. Czy mam rację?

Krótkie skinięcie głową Viktor zinterpretował jako potwierdzenie.

– Stało się tak dlatego, że przepisała pani mój wywiad.

– Nie. – Anna gwałtownie zaprzeczyła, kręcąc głową.

– Przepisała pani moje odpowiedzi i przy tym stworzyła mnie. Ale teraz to naturalne, ponieważ ja rzeczywiście istnieję. Rozumie pani?

– Nie. To nieprawda.

– Anno, proszę. Akurat tym razem wszystko jest całkiem proste. Ja realnie istnieję. Nie wyskoczyłem z pani głowy, nie jestem zmyśloną postacią z jednej z pani książek. To, nad czym pani ostatnio pracowała, traktuje o mnie. To nie pani, tylko ja to napisałem!

– Bzdura! – krzyknęła Anna zniecierpliwiona i zaczęła dziko wymachiwać nożem, tak że Viktor na wszelki wypadek cofnął się o kilka kroków, aż oparł się o biurko stojące pod oknem.

– Czy pan nie rozumie, co tu się dzieje? Nie widzi pan znaków? – Oczy Anny wściekle błyszczały i patrzyły na niego ze złością.

– Co pani przez to rozumie? O jakich znakach pani mówi?

– Och, drogi doktorze psychoprofesjonalisto, uważa się pan za superprzebiegłego, tak? Twierdzi pan, że pana okradłam, włamałam się do pana, rozmawiałam przez telefon z pana żoną. I uważa pan, że mam jakiś związek ze zniknięciem pana córki? Nie zrozumiał pan tego? Pan tego naprawdę nie rozumiał.

Wypowiadając ostatnie zdania, Anna nagle znowu całkowicie się uspokoiła. Z jej twarzy zniknęła cała surowość i bezwzględność i w jednej chwili znowu była ładną młodą kobietą w staromodnym kostiumie, którą Viktor poznał przed kilkoma dniami.

– A więc dobrze – kontynuowała i uśmiechnęła się do niego. – Nie ma innej rady, tylko musimy pójść krok dalej.

– Co pani zamierza?

Niepohamowany strach ścisnął mu gardło. Ledwie miał czym oddychać.

Ostatni krok?

– Niech pan tu do mnie podejdzie i wyjrzy na dwór! – Anna wskazała czubkiem noża na okno wychodzące na drogę. Viktor wykonał jej polecenie i wyjrzał przez okno.

– Co pan widzi?

– Samochód. Volvo.

Viktor zawahał się chwilę, bo po pierwsze na wyspie obowiązywał przecież zakaz wjazdu dla prywatnych samochodów, a po drugie pojazd dokładnie odpowiadał modelowi, który zostawił na parkingu na wyspie Sylt.

– Idziemy! – Anna już stała w drzwiach.

– Dokąd?

– Zrobimy sobie krótką wycieczkę. Nasz kierowca czeka.

Rzeczywiście Viktor zobaczył, że ktoś już siedział za kierownicą i zapuścił silnik.

– A co będzie, jeśli nie ruszę się z miejsca? – zaprotestował Viktor i twardo spojrzął Annie w oczy.

Anna bez słowa sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyjęła rewolwer, którego jeszcze przed kilkoma minutami Viktor szukał na biurku Halberstaedta.

Zrezygnowany poddał się losowi i powoli ruszył do drzwi.

Wnętrze volvo pachniało świeżo natłuszczoną i wypolerowaną pszczelim woskiem skórą. Viktor był tak zaabsorbowany wspomnieniem własnego samochodu, że na chwilę zapomniał o niebezpieczeństwie, w którym się znalazł. To auto dokładnie odpowiadało modelowi, którym prawie dwa tygodnie temu przyjechał nad morze. Miał dokładnie takie samo wyposażenie. Wszystko było mu takie bliskie. I chociaż było to praktycznie niemożliwe, Viktor mógłby przysiąc, że ktoś w ten sztorm przetransportował z Sylt na Parkum jego samochód.

– Co to za przedstawienie? – zwrócił się z pytaniem zarówno do Anny, która usiadła obok niego na tylnym siedzeniu, jak i do nieznanego kierowcy, którego widział tylko z tyłu, ponieważ sam siedział bezpośrednio za nim.

– Jak już powiedziałam, zrobimy sobie krótką wycieczkę. – Anna klasnęła w dłonie i volvo powoli ruszyło do przodu.

Dokądkolwiek byśmy nie jechali, pomyślał Viktor, nie może to być daleko. Na wyspie są tylko dwie drogi. Najpóźniej za sześć minut dojedziemy do latarni i będziemy musieli zawrócić.

– Dokąd jedziemy?

– Przecież pan dobrze wie. Musi pan tylko dodać jedno go drugiego i otrzyma pan rozwiązanie.

Samochód zwiększył prędkość i chociaż deszcz z niesamowitą wściekłością walił o przednią szybę, kierowca nie włączył wycieraczek.

– Proszę, niech pan to przeczyta! – Anna podała Viktorowi następne trzy kartki, gęsto zapisane niebieskim długopisem. Najwidoczniej one również wyszły spod jej ręki i Viktor przeczuwał coś złego.

– Co to jest?

– Ostatni rozdział o Charlotte. Zakończenie. To, co chciał pan przeczytać.

Viktor ze zdziwieniem zauważył, że brzegi kartek są lekko nadpalone. Zupełnie jakby Anna cofnęła czas i w porę wyciągnęła je z kominka w jego domu.

– Niech pan czyta! – Anna postukała w kartki lufą rewolweru i Viktor dopiero teraz dokładniej rzucił na nie okiem.

Ucieczka

– Dlaczego nie może mi pani po prostu opowiedzieć, co...

– Niech pan czyta! – przerwała mu Anna wściekłym tonem, wobec czego z ociąganiem spojrzął na pierwsze zdania.

Noc w hotelu Hyatt była okropna. Charlotte dostała obfitego krwotoku z nosa i musiałyśmy poprosić pokojówkę o świeże prześcieradła i ręczniki. Skończyły mi się lekarstwa, ale kiedy chciałam po nie pójść, Charlotte poprosiła mnie, żeby nie zostawiać jej samej. Dlatego nie mogłam sama iść do nocnej apteki. Kiedy wreszcie zasnęła, nie chciałam ryzykować, wysyłając kogoś z recepcji po paracetamol i penicylinę, bo jego pukanie do drzwi z pewnością wyrwałoby ją ze snu.

Nagle poczuł gwałtowne szarpnięcie, kiedy volvo przemknęło przez wypełnioną wodą dziurę w jezdni, Viktor oderwał wzrok od rękopisu. Do tej pory nie przeczytał niczego, co byłoby uzasadnieniem tej absurdalnej sytuacji, w której właśnie się znalazł: zamknięty w samochodzie z uzbrojoną obłąkaną kobietą, która zmuszała go do czytania ręcznie spisanych dowodów jej halucynacji.

Ona nie jest schizofreniczką. Ona tylko udaje.

W dodatku wydawało się, że głuchoniemy kierowca zamierza pobić rekord prędkości, i to w samym środku sztormu stulecia, przy widoczności nieprzekraczającej czterech metrów. Jechał tak szybko, że przez mokre od deszczu boczne szyby nie dało się zobaczyć, gdzie dokładnie się znajdują.

– Niech pan czyta dalej! – Anna natychmiast zauważyła krótki moment jego rozproszenia i podkreśliła swój rozkaz, odbezpieczając rewolwer.

– No, no, no! Już dobrze. Przecież czytam!

Już po raz drugi Viktor poddał się swojemu losowi. I po raz drugi ogarnęło go przerażenie.

Następnego dnia, po krótkim śniadaniu, wymeldowałyśmy się z hotelu i pojechałyśmy na dworzec kolejowy. Tam wsiadłyśmy do pociągu, który miał nas zawieźć do Westerland na wyspie Sylt. Potem zajęło nam jeszcze godzinę, zanim przekonaliśmy starego rybaka, żeby przeprowadził nas na Parkum. Aż do przybycia na wyspę nie wiedziałam, po co Charlotte mnie tu sprowadziła. Przeczuwałam, że chce zakończyć sprawę. I że widocznie ma się to wydarzyć tutaj, w odosobnieniu Parkum.

Gdy tylko postawiłyśmy nogę na lądzie, stało się coś niezwykłego. Charlotte natychmiast poczuła się lepiej. Najwidoczniej morskie powietrze i klimat Morza Północnego służyły jej. I jakby na potwierdzenie tej widocznej gołym okiem odmiany poprosiła mnie o przysługę:

– *Nie nazywaj mnie więcej Charlotte. Tu, na mojej małej wyspie, mam inne imię.*

– Josy? – Viktor podniósł wzrok, a Anna się uśmiechnęła.

– Oczywiście. Przecież chyba oboje wiedzieliśmy od samego początku, o kogo chodzi, prawda?

– Ale to niemożliwe. Nie mogła pani być razem z Josy na Parkum. To by się rzucało w oczy.

Powiedziano by mi...

– Tak, na pewno. – Anna spojrzała na niego w sposób, w jaki patrzy się na niedorozwiniętego pacjenta, mówiąc mu: „Proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze”.

– Po prostu niech pan czyta dalej.

Viktor posłuchał polecenia.

Weszliśmy do małego domu przy plaży, oddalonego o jakieś piętnaście minut piechotą od osady i portu jachtowego. Josy powiedziała mi, że dawniej często przyjeżdżała tu z rodzicami na wakacje. Zawsze, kiedy chcieli zrobić sobie nieco dłuższy urlop, a nie tylko spędzić krótki weekend w Sacrow.

Właśnie rozpalaliśmy ogień w kominku i nastawiłyśmy herbatę, kiedy Josy wzięła mnie za rękę.

– Teraz dam ci ostatni znak – powiedziała i podeszłyśmy do okna w salonie, z którego roztaczał się wspaniały widok na plażę i morze.

– Zło cały czas podążało za nami – powiedziała. – Nie udało nam się go zgubić. Ani w Berlinie, ani w Hamburgu, ani też na Sylt. Teraz jest tu, na wyspie.

Najpierw nie wiedziałam, o czym mówi. Ale potem zobaczyłam w odległości około pięciuset metrów małą postać idącą po plaży. A im bardziej się zbliżała, tym bardziej byłam pewna, że moje przypuszczenie jest słuszne.

Zło rzeczywiście mieszkało u niej w domu na Schwanenwerder. I podążało za nami aż do tego miejsca. Złapałam Josy i pobiegłam z nią do drzwi wejściowych. Nie miałam jeszcze planu działania, ale wiedziałam, że jeśli nie ukryję tej małej dziewczynki, to wydarzy się coś strasznego. Wybiegłam więc z nią na zewnątrz do oddalonej zaledwie o kilka metrów od werandy małej szopy, w której umieszczony był generator.

Weszliśmy do środka i natychmiast ogarnął nas stęchły chłód, jak zimny zapach tytoniu w starej budce telefonicznej. Ale wszystko było lepsze od czekania na dworze. Zamknęłam drzwi – w samą porę.

Ponieważ w tej chwili Isabell była już niecałe sto metrów od nas.

– Moja żona? – Viktor nie miał odwagi spojrzeć Annie w oczy.

– Tak.

– Co zrobiła?

– Po prostu niech pan czyta dalej. Wtedy pan wszystko zrozumie.

Silnik volvo huczał teraz tak głośno, jak krew w uszach Viktora. Nie wiedział, czy wzrost poziomu adrenaliny w jego żyłach został spowodowany gotowością użycia przemocy przez jego porywaczkę, czy szaleńczą prędkością, z którą samochód pędził po nieutwardzonej drodze. Prawdopodobnie jednym i drugim. Viktor dziwił się sam sobie, że w tej sytuacji w ogóle potrafi jeszcze jasno myśleć, a co dopiero czytać.

Na szczęście, kiedy czytam podczas jazdy samochodem, nie robi mi się niedobrze, pomyślał i natychmiast przepędził tę banalną refleksję.

I czytał dalej.

Niestety drzwi szopy z generatorem dawały się zamknąć tylko od zewnątrz. Nie miałam przecież pojęcia, co zamierza Isabell, do czego jest zdolna i co chce zrobić Josy. Ale przeczuwałam, że byłybyśmy zgubione, gdyby nas szukała w środku. Szopa nie miała okien, a jej wnętrze można było ogarnąć jednym rzutem oka. Zastanawiałam się, czy nie powinnyśmy schować się za terkoczącym generatorem, który na szczęście zagłuszał każdy hałas, jaki powodowałyśmy. Ale pusta przestrzeń między agregatem a blaszaną ścianą nie zostawiała wystarczająco dużo miejsca dla nas obu.

– Co ona ci zrobiła? – chciałam dowiedzieć się od Josy, podczas kiedy nadal szukałam wyjścia z tej pułapki.

– Interpretuj znaki – odpowiedziała, ale jej głos nie brzmiał już tak przemądrzale jak wcześniej.

– Nie mamy na to dość czasu – ofuknęłam ją. – Josy, jeśli mam ci pomóc, musisz mi powiedzieć, co nas tu czeka! Co ci zrobiła twoja matka?

– Otruła mnie – odpowiedziała cicho dziewczynka.

W tym momencie odwróciłam się gwałtownie, ponieważ wydało mi się, że usłyszałam jakiś hałas przed szopą.

– Ale dlaczego? – zapytałam, podchodząc do drzwi.

– Bo byłam niedobra. Źle się zachowałam w Sacrow.

– Co takiego zrobiłaś?

– Krwawiłam. A mamusia nie chciała, żebym krwawiła. Miałam na zawsze zostać jej małą dziewczynką. Nie chciała, żebym urosła i sprawiała jej kłopoty.

Viktor był tak przerażony tym, co przeczytał, że upuścił kartki na podłogę.

– Rozumie pan teraz? – zapytała Anna.

– Tak. Chyba tak – wyszeptał Viktor.

Nagle wszystko nabrało sensu. Krew w łazience. Trucizna. Isabell. Czy to mogła być prawda? Czy jego żona nie chciała dopuścić do tego, żeby ich córka dorosła? Czy była tak chora? Czy dlatego truła Josy, żeby ta na zawsze pozostała bezbronną małą dziewczynką i żeby mogła się o nią troszczyć?

– Skąd pani to wszystko wie? – zapytał Viktor. – Co pani ma wspólnego z tą sprawą?

– Nie mogę powiedzieć – odparła Anna. – Żeby zrozumieć, musi pan to przeczytać.

Viktor podniósł kartki leżące pod jego stopami, aby wreszcie poznać zakończenie tego koszmaru, który zaczął się dla niego ponad cztery lata temu.

Uchyliłam w drzwiach wąską szparę i cofnęłam się przerażona. Na drewnianej werandzie stała Isabell uzbrojona w długi nóż kuchenny. Rozejrzała się dookoła i powoli zeszła po schodach.

– Jak ona cię trula, Josy? Czym? – zapytałam, ponownie zamykając drzwi.

– Mam alergię – wyszeptała ochryple mała. – Nie toleruję ani paracetamolu, ani penicyliny. Nikt o tym nie wie. Tylko ona.

Nie miałam czasu, aby przeanalizować znaczenie jej słów. Najpierw musiałam znaleźć jakiś ratunek dla nas obu. Ale co mogłam zrobić? Nie odważyłam się włączyć światła i zapaliłam zapalniczkę, chociaż oczywiście wiedziałam, że w pomieszczeniu takim jak to lepiej tego nie robić.

Rozpaczliwie rozglądałam się dookoła, cały czas starając się nie puszczać ręki Josy, żeby się nie wyrwała i nie uciekła w panice na dwór.

– To nie ma sensu – wyszeptała ochryplym głosem. – Ona nas znajdzie. I zabije. Bo byłam niedobra.

Nie zareagowałam na jej słowa. Błądziłam dalej wzrokiem po ścianach, po suficie, w ciągłym napięciu, że nagle drzwi gwałtownie się otworzą i stanie w nich Isabell z nożem w ręku.

Już słyszałam, jak woła córkę.

– Josy, Josy, kochanie! Gdzie jesteś?! Chodź do mnie! Przecież chcę ci tylko pomóc!

Jej nienaturalnie miękki głos dochodził z bardzo bliska i Josy zaczęła płakać. Na szczęście hałas powodowany przez pracujący generator zagłuszał wszystkie inne dźwięki. W migoczącym świetle zapalniczki rozglądałam się we wszystkie możliwe strony. I wreszcie znalazłam. Mój wzrok po raz któryś z rzędu padł na zardzewiały silnik i podążył za przewodem paliwowym, który wychodził z lewego rogu maszyny, prowadził w dół, pod moje stopy, i ginął w podłodze. Zbiornik na olej!

Jak przypuszczałam, zarówno generator, jak i zbiornik na paliwo nie odpowiadały najnowszym przepisom. Zbiornik został wpuszczony w podłogę szopy na prawo od generatora. Trudno było nazywać go zbiornikiem, raczej średniej wielkości kotłem z tworzywa sztucznego o średnicy zaledwie dwóch metrów, którego wlew wystawał z ziemi około dziesięciu centymetrów. Zerwałam plombę i chciałam odciągnąć na bok betonową płytę, która przykrywała kocioł. Najpierw pomyślałam, że to mi się nie uda, ponieważ pokrywa była dla mnie za ciężka. Ale potem zaparłam się stopami o ścianę szopy i użyłam całej siły, jaką dawała mi rozpacz. I udało się. Pokrywa przesunęła się o prawie czterdzieści centymetrów i dzięki temu otworzyło się dostatecznie szerokie wejście dla mnie i dla Josy.

– Ja tam nie wejść. – Josy stanęła obok mnie i obie patrzyłyśmy w ciemny otwór, z którego wydobywał się wywołujący nudności fetor starego oleju opałowego.

– Musimy to zrobić – powiedziałam. – To nasza jedyna szansa.

Jakby na dowód prawdziwości moich słów wołanie Isabell stało się głośniejsze.

– Josy? Chodź do mamy! Bądź grzeczną dziewczynką!

Isabell była oddalona zaledwie o kilka kroków.

– Chodź – powiedziałam do Joy. – Nie jesteś sama. Jestem przy tobie.

Josy była jak sparaliżowana ze strachu, co bardzo ułatwiło mi sprawę. Bez problemu podniosłam ją do góry i opuściłam na dno zbiornika. Miał około półtora metra głębokości i był tylko do połowy wypełniony olejem, więc nie zachodziło niebezpieczeństwo, że Josy może utonąć. Gdy tylko znalazła się w środku, podbiegłam do drzwi i podstawiłam stare ogrodowe krzesło pod metalową kłamkę. Potem zdjęłam łom ze ściany i rozbiłam żarówkę na suficie.

Następnie w prawie całkowitej ciemności podłożyłam łom pod betonową pokrywę i uniosłam ją do góry. Włożyłam w to wszystkie siły, nie zwracając uwagi ani na rzepki w kolanach, ani na kręgosłup... i udało mi się. Pokrywa zsunęła się i upadła z głuchym łoskotem na ziemię pomiędzy generatorem a zbiornikiem, przy okazji przecinając przewody doprowadzające paliwo.

Ja również przewyciężyłam wstręt i opuściłam się na dół w ciemny kleisty płyn. Zrobiłam to

dostłownie w ostatniej chwili. Zaledwie dotknęłam stopami dna, próbując utrzymać równowagę na śliskim podłożu, ktoś zaczął szarpać drzwiami.

– Josy? Jesteś tam?

Isabell jeszcze nie zdołała pokonać przeszkody, jaką było krzesło blokujące klamkę, ale na pewno nie zajmie jej to dłużej niż parę sekund.

– Po co to zrobiłaś? Dlaczego pokrywa jest odsunięta? – zapytała Josy, szlochając, i chwyciła umazaną w oleju ręką moją dłoń.

– Ponieważ tak mniej rzuca się w oczy – wyjaśniłam. – Nigdy bym nie dała rady zasunąć jej od wewnątrz. A tak możemy mieć nadzieję, że Isabell nic nie zauważy i nas tu nie znajdzie.

Miałam świadomość, że mój plan jest szalony i nie ma cienia szansy powodzenia.

Drzwi blaszanej szopy otworzyły się gwałtownie z głośnym zgrzytem i poczułam zimne powietrze, które dostało się z zewnątrz i wtargnęło do środka zbiornika.

– Josy?

Wiedziałam, że Isabell jest teraz w szopie, ale nie słyszałam jej kroków nad nami, ponieważ coraz głośniejszy pracujący generator zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

Ponieważ oprócz coraz słabszego blasku popołudniowego słońca nie widziałam innego źródła światła, z ulgą stwierdziłam, że Isabell nie ma ze sobą latarki. Modliłam się w duchu, żeby nie zauważyła otwartego zbiornika. A jeśli nawet – bez latarki i przy braku światła na suficie nie zdoła nas zauważyć. Chyba nie przyjdzie jej do głowy, żeby oświetlić wnętrze zbiornika z olejem zapalką...?

Kazałam Josy przykucnąć. Posłuchała mnie. Teraz jej całe ciało było zanurzone w zimnej galarecie, tak że wystawała tylko głowa do poziomu ust.

Zaczął ją dusić kaszel. Ale tym razem jego przyczyną nie była choroba, lecz nieznośny smród oleju. Chciałam pogłaskać ją po głowie, ale tylko zabrudziłam jej włosy.

– Spokojnie. Wszystko będzie dobrze – wyszeptalam, ale moje słowa nie odniosły skutku. Josy zaczęła tylko jeszcze silniej drżeć i płakała teraz niepohamowanie. Zasłoniłam jej ręką usta, starając się jednak, żeby nadal mogła oddychać przez nos. Josy ugryzła mnie w rękę. Mimo ostrego bólu, który przeszył całe moje ramię, nie puściłam jej. Nie mogłam tego zrobić tak długo, jak długo Isabell była w szopie.

Nie wiem, ile czasu tak trwałam: z trudem chwytając powietrze, z rozhisteryzowaną dziewczynką w ciasnym uścisku, klęcząc, spanikowana, w ciemnym i śmierdzącym zbiorniku na olej. Minutę? Pięć? Całkowicie straciłam poczucie czasu. A jednak nagle zorientowałam się, że Isabell odeszła. Poznałam to po tym, że zniknął przytłumiony blask wieczornego słońca. Musiała zamknąć drzwi. Z ulgą rozluźniłam uchwyt, którym przytrzymywałam coraz bardziej szlochającą Josy.

– Boję się, tato – powiedziała do mnie i ucieszyłam się, że zwróciła się do mnie jak do swojego ojca. Przynajmniej widziała we mnie osobę, której ufa.

– Ja też – powiedziałam i mocno przytuliłam ją do siebie. – Ale wszystko będzie dobrze.

I wszystko mogło być dobrze. Wiedziałam to. Isabell sobie poszła.

Chyba zamierzała wrócić do domu. Prawdopodobnie, żeby poszukać tam latarki. To dałoby nam czas. Czas, aby wydostać się ze zbiornika i pobiec do osady, sprowadzić pomoc...

Czas na działanie.

Ale potem stało się. Josy nie potrafiła się pohamować. Zaczęła głośno płakać. To wszystko było ponad jej siły. W kleistym, śliskim zbiorniku, w którym było ciemno jak w grobie, dostała klaustrofobii. I zaczęła krzyczeć. Głośno krzyczeć. Nie mogłam nic na to poradzić. Byłam razem z nią uwięziona w zbiorniku i nie potrafiłam jej uspokoić. Ale nie to było najgorsze. Największy błąd polegał na tym, że przez nieuwagę przerwałam przewody paliwowe. Uświadomiłam sobie to dopiero wtedy, kiedy generator zaczął przerywać i dygotać. A potem nagle zgasł.

To było najgorsze. Ponieważ teraz każdy szmer, jaki powodowałyśmy, wydostawał się na zewnątrz.

Viktor poczuł, że nagle w oczach stanęły mu łzy.

Jego mała dziewczynka żywcem pogrzebana w cuchnącym grobie. Spojrzał na Annę, wciągał w nozdrza zapach wnętrza volvo, czuł wibrację silnika i miał wrażenie, że wpadł w matnię własnego koszmaru.

– Co się z nią stało? Gdzie ona jest?

– Czytaj dalej!

Drzwi znowu otworzyły się z łoskotem i tym razem usłyszałam kroki nad sobą. Nie miałam innego wyboru. W każdej chwili spodziewałam się zobaczyć twarz Isabell przy górnej krawędzi zbiornika, ale teraz nie miałam już pewności, że nie zrobi czegoś tak niedorzecznego i nie zajrzy do środka z zapaloną zapalniczką, szukając nas na dole. Zanim Josy ostatecznie się zdradzi, postanowiłam wykorzystać tę jedną jedyną możliwość, jaka mi jeszcze pozostała. Pociągając ją ze sobą, zanurzyłam się cała w oleistej mazi.

Olej oblepił nas niczym śmiertelny całun. Jego kleista masa przeniknęła całe ubranie i zamknęła wszystkie otwory w twarzy. Zapchała dziurki w nosie i uszy, tak że przestałam cokolwiek słyszeć. Teraz miałam wyobrażenie, jak czuje się umierający ptak, rozpaczliwie próbujący usunąć z piór czarną zarazę w postaci ropy, którą spuszczone statku, zanim na zawsze utonie w skażonym morzu.

Sthumiłam instynkt samozachowawczy, przycisnęłam głowę Josy w dół i sama też nie wstawałam, chociaż moje płuca domagały się tlenu. Nie wiedziałam, co się dzieje nade mną. Nic nie widziałam, nie słyszałam, czułam tylko, że opuszczają mnie siły. Dopiero kiedy nie mogłam już wytrzymać, najpierw szarpnęłam do góry Josy, następnie sama się podniosłam. Musiałam to zrobić, nawet jeśli było za wcześnie i zobaczyłaby nas Isabell. Nie mogłam wytrzymać ani sekundy dłużej.

Ale nie było za wcześnie.

Było za późno.

Kiedy się wynurzyłam, trzymałam w ramionach martwą Josy. Starłam olej z jej ust, rozchylałam wargi. Potrząsałam nią. Chciałam zastosować sztuczne oddychanie. Ale to nie miało sensu. Czułam to. Wiedziałam.

Do dzisiaj nie mam pewności, czy zabił ją szok, strach czy rzeczywiście olej. Ale wiem, że to nie Isabell odebrała jej życie, lecz ja.

– To KŁAMSTWO!

Viktor chciał wykrzyknąć te słowa, ale z jego gardła wydobyło się tylko rżenie.

– Nie. To prawda – odpowiedziała zimno Anna i na krótko wyjrzała przez boczną szybę volvo.

Viktor otarł dłonią łzy z twarzy i pociągnął nosem.

– Powiedz, że to nieprawda.

– Niestety nie mogę.

– Przecież to wszystko to jakiś absurd. Jesteś kompletnie szalona.

– Tak, jestem. Przykro mi.

– Dlaczego mnie dręczysz? Po co zmyślasz to wszystko? Josy wcale nie umarła.

– Niestety.

Ona nie jest schizofreniczką, doktorze Larenz. Wszystko, co mówi, zrobiła naprawdę.

Silnik nagle zawył i Viktor ujrzał przez zalaną deszczem przednią szybę rozmazany rząd świateł, do którego się zbliżali.

– Nie bój się, zaraz będzie po wszystkim – powiedziała, ujmując go za rękę.

– Kim ty jesteś?! – krzyknął. – Skąd wiesz to wszystko?

– Jestem Anna. Anna Spiegel.

– Do cholery, to nieprawda! Kim jesteś naprawdę? Czego chcesz ode mnie?

Światła zbliżały się i teraz mimo braku wycieraczek było wyraźnie widać, gdzie się znajdowali.

Volvo jechało po molo wychodzącym w morze i pędziło prosto w stronę fal.

– Powiedz wreszcie, kim jesteś! – wrzasnął Viktor i mimo śmiertelnego strachu czuł się tak, jak kiedyś po bijatyce w szkole. Zasmakany, zapłakany i nieskończenie przygnębiony.

– Jestem Anna Spiegel. To ja zabiłam Josy.

Od świateł dzieliło ich już tylko około dwustu metrów. Samochód wjechał przynajmniej kilometr w otwarte morze i teraz na końcu drogi czekał na nich bezkres zimnego Morza Północnego.

– KIM JESTEŚ?

Głos Viktora załamywał się, natychmiast ginąc w hałasie będącym mieszaniną ryku silnika, wiatru i szumu fal.

– Anna. Jestem Anna Spiegel. Ale po co marnujesz swoje ostatnie chwile na drobnostki? Historia jeszcze się nie skończyła. Masz jeszcze jedną stronę do przeczytania.

Viktor pokręcił głową i wytarł krew, która kapła mu z nosa.

– No dobrze – powiedziała. – W takim razie wyświadczę ci ostatnią grzeczność i sama ci to przeczytam.

Anna wyjęła mu ostatnią kartkę z ręki.

I podczas gdy samochód bezlitośnie pędził w stronę kipiącego morza, zaczęła czytać.

Josy nie żyła. Nie było wątpliwości. Przytuliłam mocniej drobne ciało martwej dziewczynki i miałam ochotę głośno krzyknąć. Ale olej zakleił mi usta i nie mogłam wykrzyknąć swojego smutku. Teraz było mi już obojętne, czy ktoś mnie usłyszy. Czy Isabell mnie usłyszy. Osiągnęła swój cel. Josy, jej córka, dziewczynka, która towarzyszyła mi od tylu dni, była martwa.

Podniosłam się i wydostałam ze zbiornika. Otworzyłam drzwi, wytarłam olej z ust i zawołałam jej imię.

„Isabell”. Najpierw cicho. Potem głośniej. „ISABELL!”

Przeszłam tych kilka metrów dzielących szopę z generatorem od werandy.

„ISABELL! MORDERCZYNI!”

I rzeczywiście. Nagle usłyszałam jakiś trzask. Za mną. Bardzo cichy. Odwróciłam się i zobaczyłam ją, jak wychodzi z szopy. I wtedy zrozumiałam: w ogóle z niej nie wychodziła. Cały czas była w środku, aż się upewniła, że udusiłam jej dziecko.

Powoli zbliżała się w moim kierunku. Widziałam ją tylko mgliście, ponieważ olej ciągle zaklejał mi lewe oko. Po chwili znalazła się jednak zaledwie kilka kroków ode mnie i zobaczyłam ją bardzo wyraźnie. Równie wyraźne były też moje myśli.

Podala mi rękę, która również była zabrudzona olejem, i wtedy wreszcie zrozumiałam moją pomyłkę. Myliłam się. Cały czas. Wszystko było jedną wielką pomyłką. I była to moja wina. Ponieważ przede mną wcale nie stała Isabell. Przede mną...

...Viktor spojrzał Annie w oczy, zanim wypowiedziała decydujące słowa. I wtedy stało się.

W chwili, w której samochód oderwał się od pomostu i leciał w stronę fal, mgła się przeczodziła i Viktor zaczął wszystko rozumieć.

Ogrzewanie. Światło na suficie. Mały pokój.

Naraz wszystko stało się dla niego jasne.

...białe metalowe łóżko, szara tapeta, kroplówka.

Teraz rozumiał. Teraz wszystko nabrało sensu.

Anna Spiegel!

To odkrycie przeszło całe jego ciało i zawładnęło umysłem.

Przede mną...

Teraz wszystko nagle było jasne: Anna. Imię jednakowo brzmiące zarówno czytane od przodu, jak i od tyłu. Lustrzane odbicie. Lustro! Zupełnie jak nazwisko Spiegel, które znaczy przecież „lustro”!

– Jestem tobą! – powiedział do niej i zobaczył, jak samochód powoli znika i zmienia się w szpitalny pokój.

– Tak.

Viktor przestraszył się po raz ostatni, tym razem własnego głosu, zupełnie jak zwierzę, które widzi swoje odbicie w lustrze. W końcu jeszcze raz powtórzył zdanie, jakby chciał się upewnić, że się nie mylił.

– Przede mną...

Przede mną... stałem ja sam!

Potem zapanowała cisza.

Był poniedziałek, dwudziesty szósty listopada, i jasne zimowe słońce wdzierало się przez zakratowane okno do małego jednoosobowego pokoju w klinice psychiatrycznej Berlin-Wedding. Do pokoju w klinice, gdzie ze względu na wieloletnie urojenia leczono doktora Viktora Larenza, byłą gwiazdę psychiatrii i renomowanego specjalistę od schizofrenii, i gdzie po czterech latach po raz pierwszy odzyskał świadomość, po tym jak przed dwoma tygodniami odstawiono mu leki.

Było piękne, słoneczne, zimowe popołudnie. Wiatr ucichł, chmury się rozeszły i paskudna pogoda panująca w ostatnich dniach ostatecznie minęła.

Dziewięć dni później. Dzień dzisiejszy

Frekwencja w sali wykładowej kliniki psychiatrycznej w Wedding nie zachwycała. Z wyjątkiem dwóch mężczyzn w pierwszym rzędzie i małej, siwej postaci przy mównicy nie było w niej żywej duszy. Mimo to sala, która zazwyczaj mieściła ponad pięciuset studentów, została zaciemniona i zamknięta od wewnątrz.

Jedyni dwaj słuchacze zaliczali się do elity prawniczej kraju, a to, co miał im do powiedzenia dyrektor kliniki, profesor Malzius, było ściśle poufne.

– Doktor Larenz przez wiele lat prowadził dobrze prosperujący prywatny gabinet przy Friedrichstrasse, w dzielnicy Berlin-Mitte. W tym kręgu chyba nie muszę za bardzo rozwodzić się na jego temat, ponieważ niewątpliwie jest on wszystkim obecnym wystarczająco znany z licznych publikacji i wystąpień w mediach, choć było to przed kilkoma laty.

Obaj prawnicy chrząknęli, a profesor Malzius zmienił przezrocze, które pokazywało doktora Larenza jako postawnego młodego mężczyznę stojącego na tle regału z książkami w jego gabinecie, na znacznie mniej przyjemny widok. Znowu był to Larenz, ale tym razem leżał nagi na zwykłej szpitalnej kozetce w pozycji embrionalnej.

– Przywieziono go do nas bezpośrednio po tym, jak doznał załamania nerwowego po zniknięciu córki. Początkowo miał zostać przyjęty tylko przejściowo. Ale jego stan pogarszał się z dnia na dzień, tak że do dzisiaj nie mogliśmy go wypuścić ani przenieść gdzie indziej.

Pojawiło się nowe przezrocze z nagłówkiem gazetowym.

CAŁY KRAJ SZUKA JOSY.

Córka sławnego psychiatry zaginęła przed laty.

– Dwunastoletnia córka doktora Viktora Larenza zaginęła w listopadzie cztery lata temu. Jej zniknięcie poprzedziła trwająca jedenaście miesięcy choroba, której nie potrafiono zdiagnozować. Przyczyna choroby, powód zniknięcia, tożsamość porywacza – wszystko to nigdy nie zostało wyjaśnione.

Malzius teatralnie zawiesił głos po to, aby jego następne słowa wywarły tym większe wrażenie.

– Do dzisiaj.

– Pan pozwoli, że mu przerwę.

Jeden z prawników, niski mężczyzna z jasnymi, kędzierzawymi włosami, wstał ze swojego miejsca w pierwszym rzędzie i zabrał głos jak na sali sądowej.

– Czy mógłby pan się streszczać ze swoimi wywodami? Jak pan pewnie się domyśla, jesteśmy doskonale zapoznani z tymi szczegółami.

– Dziękuję za tę uwagę, doktorze Lahnen. Oczywiście poinformowano mnie, że pan oraz pana kolega, doktor Freymann, macie dzisiaj mało czasu.

– To dobrze. A więc z pewnością wie pan też, że już za pół godziny pacjent ma zostać przewieziony do więziennego szpitala psychiatrycznego w Moabicie, gdzie jutro odbędzie się pierwsze przesłuchanie przed sądem. A my chcielibyśmy jeszcze dziś z nim porozmawiać. Teraz, kiedy może już zostać tam przewiezony, będzie wkrótce odpowiadał za doprowadzenie do śmierci, a może nawet za morderstwo.

– Zgoda. Tym ważniejsze jest, żeby panowie uważnie mnie wysłuchali, skoro jest panów intencją rozsądnie bronić doktora Larenza – upomniał ich profesor Malzius, którego ubodło, że w jego sali wykładowej dyscyplinuje go osoba niebędąca lekarzem.

Lahnen zacisnęła wargi, ale z powrotem usiadł na swoim miejscu, a Malzius kontynuował wykład.

– Z pacjentem nie można było się porozumieć przez ponad cztery lata. Cztery lata, które przeżył

we własnym urojonym świecie, aż wreszcie przed trzema tygodniami zdecydowaliśmy się na odważny, nadzwyczajny, może nawet radykalny krok w terapii. Zaoszczędzę panom szczegółów medycznych i od razu przejdę do tego, co odkryliśmy.

Freymann i Lahnen przytaknęli z wdzięcznością.

– Po pierwsze, powinni panowie wiedzieć, że doktor Larenz cierpi na dwie przypadłości. Na syndrom zastępcy Münchhausena i doskonale znaną wszystkim schizofrenię. Najpierw chciałbym przybliżyć panom aspekt dotyczący Münchhausena. Choroba bierze swoją nazwę od legendarnego łgarza, bohatera *Niezwykłych przygód Barona Münchhausena*. Nazywa się tak, ponieważ pacjenci okłamują swoich bliźnich i lekarzy co do objawów choroby, aby dzięki temu zwrócić na siebie większą uwagę i zyskać współczucie. Istnieją udokumentowane przypadki, w których całkowicie zdrowi ludzie udają przed swoim lekarzem bóle wyrostka robaczkowego i symulują je tak perfekcyjnie, że zostają zoperowani. Później wcierają sobie kał i inne nieczystości w ranę pooperacyjną, żeby nie wyzdrowieć.

– To chore – mruknął Lahnen ze wstrętem. Wyraz twarzy jego kolegi świadczył o tym, że podziela ten pogląd.

– No właśnie – potwierdził Malzius. – Choroba jest bardzo trudna do zdiagnozowana, a na dodatek wcale nie występuje tak rzadko. W Anglii, na niektórych oddziałach intensywnej terapii, zainstalowano już z tego powodu kamery wideo do obserwacji chorych. Ale nawet to w przypadku zastępczego syndromu Münchhausena, jaki zdiagnozowano u Viktora Larenza, nie przyniosłoby sukcesu. Ponieważ Larenz nie szkodził sobie, tylko swojemu „pełnomocnikowi”. Swojej córce Josephine, zwanej Josy.

Profesor odczekał chwilę, aby jego ostatnie słowa wywarły odpowiednie wrażenie, i mówił dalej.

– Ojciec jako jedyny członek rodziny wiedział, że córka ma silną alergię na dwa leki, które wykorzystał do swojego morderczego planu: organizm Josephine nie tolerował paracetamolu i penicyliny. Larenz podawał jej oba leki w coraz większych dawkach. Można przyjąć, że takie systematyczne zatrucie organizmu nosi cechy przestępstwa doskonałego. Ponieważ Larenz przemilczał przed wszystkimi alergię córki, nikt nic nie podejrzewał, kiedy podawał jej paracetamol na ból głowy, a później penicylinę na nieznaną infekcję. Jego otoczenie było przekonane, że czule troszczy się o córkę i profesjonalnie leczy ją odpowiednimi środkami. Ale w rzeczywistości z premedytacją pogarszał stan zdrowia Josephine aż do wystąpienia zagrażających jej życiu wstrząsów anafilaktycznych.

Dyrektor kliniki przerwał na krótko swój wykład, żeby wypić łyk wody ze szklanki i mówił dalej.

– Również maraton po gabinetach lekarskich, który Josy musiała znosić, jest typowym symptomem zastępczego zespołu Münchhausena – kontynuował Malzius. – Końcowy efekt tych morderczych działań nastąpił podczas urlopu. Larenz razem ze swoją żoną Isabell i Josephine spędzał go w rodzinnym domu weekendowym nad jeziorem Sacrow. Josephine miała wtedy jedenaście lat, a jej relacja z ojcem była do tej pory nadzwyczaj bliska. Ale teraz się to zmieniło. Josephine nagle zaczęła zamykać się w łazience. Częściej szukała bliskości matki i jednocześnie unikała ojca. Powód był prosty: dostała pierwszej miesiączki. To całkowicie normalne wydarzenie w życiu dorastającej córki wywołało spiralę obłędu u ojca. Stało się dla niego jasne, że Josephine niedługo dorośnie i że wcześniej czy później uwolni się spod jego opieki. Nikomu nie przychodziło do głowy, że uczucia Larenza do córki są czymś chorobliwym. I nikt nie zauważył, co ojciec robi, żeby móc być jak najbliżej Josephine – że ją truje. Uczynił ją bezbronną i całkowicie zależną od siebie. Na tym polega aspekt Münchhausena jego choroby. Do tej pory takie przypadki w medycynie były znane tylko u matek. Po raz pierwszy zdarzyło się, że coś takiego wyrządził swojej córce ojciec.

– Profesorze – przerwał lekarzowi Freymann. – To wszystko jest w najwyższym stopniu interesujące. Ale musimy uzyskać obraz tego, czy ten człowiek postępował według jakiegoś planu, czy działał impulsywnie. Skoro jego córka była miesiącami podtruwana, wygląda to raczej na działanie świadome i zaplanowane.

– Niekoniecznie. Proszę nie zapominać, że Larenz jest chorobliwym kłamcą. Pacjentem z zespołem Münchhausena. Ale nie tylko. On żyje w swoich światach kłamstw. Wierzy w nie. I tu pojawia się jego druga choroba, schizofrenia.

Malzius rozejrzał się dookoła.

– Ona sprawia, że jest całkowicie nieobliczalny.

Drzwi audytorium były zamknięte, więc doktor Roth musiał wyjść na zewnątrz, na dziedziniec, żeby móc stamtąd przez okno rzucić okiem na zaciemnioną salę wykładową. Po tym jak przed kilkoma minutami Larenz opowiedział mu zakończenie swojej historii, pośpieszył na dół, żeby zobaczyć, gdzie odbywa się spotkanie Malziusa z prawnikami. Miał skrytą nadzieję, że profesor również dzisiaj nie odmówi sobie rozwlekłego wykładu. Jak zawsze, kiedy miał publiczność. I jego przypuszczenie zdawało się potwierdzać. Kiedy zobaczył, że Malzius wyświetla dopiero pierwsze przezrocza, ocenił, że ma jeszcze kwadrans. Mimo to jak najszybciej ruszył z powrotem na oddział zamknięty, zwłaszcza że miał jeszcze zajrzeć do szpitalnej apteki. Zaledwie trzy minuty później stanął zadyszany przed drzwiami z numerem 1245. Przyglądał włosy i zajrzał do środka przez wizjer. Wszystko było bez zmian, Larenz leżał przywiązany na łóżku i wpatrywał się w sufit. Mimo to Roth zawahał się. Ale szybko się przemógł i prawą ręką powoli włożył ciężki żelazny klucz do starego zamka. Kiedy przekręcił go w prawo, drzwi same odskoczyły.

– A więc wrócił pan.

Larenz lekko uniósł głowę i odwrócił ją w stronę drzwi, kiedy wszedł lekarz. Z lewą ręką głęboko wetkniętą do kieszeni kitła, żeby Larenz nie mógł od razu zobaczyć, że coś w niej jest.

– Tak, wróciłem.

– Czyli jednak zmienił pan zdanie.

Doktor Roth podszedł do zakratowanego okna i w milczeniu wyjrzał na ciemny, zaśniewony dziedziniec. Dziś rano spadły pierwsze płatki i przykryły obrzydliwy, betonowy podjazd szpitala.

– Czy ma pan to, o co pana prosiłem?

– Tak, ale...

– Żadne ale! Nie ma żadnego ale, jeśli przed chwilą uważnie pan mnie słuchał.

Larenz miał rację. Doktor Roth to wiedział. Ale mimo to w dalszym ciągu się wahał. Plan był zbyt niebezpieczny. Nie chciał mu tego tak ułatwiać.

– No już, niech pan da spokój. Zostało nam mało czasu, młody kolego. Powinni tu być już od pół godziny.

– Dobrze. Raz jeden złamię obowiązujące mnie zasady i wyświadczę panu przysługę, doktorze Larenz. Ponieważ dzisiaj był pan ze mną bardzo szczery. Ale nie może pan oczekiwać ode mnie niczego więcej.

Roth puścił fiolkę z lekami, którą ścisnął w ręce schowanej w kieszeni kitła, i kilkoma zręcznymi ruchami rozwiązał Larenza. Viktor z ulgą rozcierał kostki i nadgarstki uwolnionych kończyn.

– Dziękuję. Zrobił pan dobry uczynek.

– Mam nadzieję. Zostało nam najwyżej dziesięć minut. Potem będę musiał znowu pana przywiązać. Czy chce pan w tym czasie pójść do toalety i się odświeżyć?

– Nie. Pan wie, czego chcę.

– Wolności?

– Tak.

– To niemożliwe. Nie mogę nic zrobić i pan to wie.

– Ale dlaczego? Nie rozumiem. Teraz, kiedy pan zna całą historię.

– Czy aby na pewno całą?

– Ależ oczywiście. Wszystko panu opowiedziałem.

– Nie wierzę. – Doktor Roth pokręcił głową, ciężko oddychając przez nos. – Raczej uważam, że zataił pan coś istotnego. I pan dobrze wie, o czym mówię.

– Czy aby na pewno? – Larenz uśmiechnął się szelmowsko.

– Co tu jest do śmiechu?

– Nic. – Larenz wyszczerzył się jeszcze bardziej. – W zasadzie zupełnie nic. Zastanawiałem się tylko, jak długo to jeszcze potrwa, zanim wreszcie pan na to wpadnie.

Profesor Malzius zakaszłał i ponownie sięgnął po szklankę z wodą. Następnie znowu popadł w monotony ton, którego na ogół zmuszeni byli słuchać tylko wybrani lekarze, pacjenci i studenci.

– W wyniku schizofrenii Larenz przejściowo uciekał do swoich urojonych światów. Na początku tylko od czasu do czasu. A potem nieprzerwanie. Ataki schizofrenii pomagały mu wyprzeć ze świadomości wszystko to, co wyrządził Josy. Mogą panowie uznać, że był to odruch samoobrony. Pacjent wypierał fakt, że truje córkę, podając jej leki wywołujące alergię. Nie tylko innym, ale również sam sobie wydawał się troskliwym ojcem, który nawet porzucił swój zawód, żeby lepiej zająć się córką. I ze wszystkich sił szukał przyczyny jej cierpienia. Chodził z nią do wszystkich możliwych lekarzy; darował sobie i dziecku jedynie dawno wyznaczoną wizytę u alergologa. Ale im bardziej rozwijała się jego choroba, tym ostrzejszą postać przybierały schizofreniczne wizje. Stosunki z żoną Isabell pogarszały się i nagle przyszło mu go głowy, że to ona może mieć coś wspólnego z chorobą Josephine. W swoim obłędzie Larenz zaszedł tak daleko, że podejrzewał Isabell, chociaż sam był sprawcą.

– Jeśli to wszystko prawda, co pan nam tu mówi, to z punktu widzenia karnoprawnego doktor Larenz, w momencie dokonywania tych czynów, znajdował się w stanie niepoczytalności.

Tym razem głos zabrał doktor Freymann. Niezdarny, dwumetrowy wielkolud nosił niebieski dwurzędowy blezer z rzucającymi się w oczy guzikami. Ponad paskiem jego szarych flanelowych spodni zaznaczały się początki brzucha; przy szlufce widać było złoty łańcuszek zegarka kieszonkowego.

Malzius odpowiedział mu pouczającym tonem, jak źle wychowanemu, zarozumiałemu dziecku.

– Ja mogę panom tylko przedstawić fakty. Taki jest stan rzeczy według naszych aktualnych ustaleń. Wnioski prawnicze muszą panowie wyciągnąć już sami. Ale ja również podzielał w tym punkcie opinię panów: Viktor Larenz zdecydowanie nie był poczytalny. Nigdy nie chciał śmierci swojej córki. Nigdy nie miał takiego zamiaru. Jedynie chciał zachować swój wpływ na nią. I w końcu to przecież nie trucizna spowodowała śmierć Josephine. Ona została przez niego uduszona niechcący.

Profesor Malzius nacisnął przycisk pilota i wyświetlił na ścianie nowe przezrocze. Tym razem na ekranie pojawiła się rodzinna willa na Schwanenwerder w Wannsee.

– To jest dom lub, mówiąc ściślej, posiadłość rodzinna.

Freymann i Lahnen przytaknęli niecierpliwie.

– Podczas najcięższego ataku schizofrenii doktor Larenz miał śmiertelną wizję. Myślał, że znajduje się na Parkum, małej wyspie na Morzu Północnym. W rzeczywistości bawił się z Josy w ogrodzie rodzinnej willi. Nagle wystąpił u niego atak choroby. Słyszał głosy i widział swoją żonę Isabell, która w tym czasie była jeszcze w pracy, w mieście. Jak już mówiłem, doktor Larenz uroił sobie, że to Isabell stanowi zagrożenie dla Josephine. Był przekonany, że chce ona zrobić dziewczynce coś złego, i dlatego ukrył się z Josephine w szopie na łodzi, o tutaj, bezpośrednio nad wodą.

Przezrocze zmieniło się i na ekranie ukazał się nowy widok, piękny domek na brzegu jeziora Wannsee.

– Ojciec kazał Josephine być cicho, żeby Isabell nie mogła jej usłyszeć. Kiedy nie chciała go posłuchać, wepchnął jej głowę pod wodę pomiędzy łodziami i tak długo zakrywał jej usta, aż się udusiła.

Obaj prawnicy siedzący w pierwszym rzędzie zaczęli szeptać między sobą i profesor Malzius usłyszał ciche strzępy słów, jak „paragraf 20, 63 kodeksu karnego” i „tymczasowe odosobnienie”.

– Jeśli wolno mi jeszcze na krótko zwrócić panów uwagę. – Malzius przerwał ich szepty. – Co prawda nie jestem prawnikiem, ale powiedzieliście panowie, że sąd będzie badał, czy było to morderstwo, czy tylko wypadek.

– Między innymi, tak.

– Więc, jak już mówiłem: faktem jest, że Larenz nigdy nie chciał zabić swojej córki. Za bardzo ją kochał, aby mógł się tego dopuścić. Kiedy sobie uświadomił, co zrobił w szopie na łodzi, popadł w kolejne urojenie. Chciał wszystko cofnąć. Chorobę Josephine. Jej dolegliwości. A przede wszystkim jej

śmierć. A więc w swoim umyśle przywrócił dziewczynkę do życia. Udał się, jak mu się wydawało, razem z Josephine, do pewnego alergologa przy Uhlandstrasse, żeby ten zbadał dziewczynkę. Było tam wówczas mnóstwo czekających pacjentów. Nikt z nich nie zwrócił uwagi, że ojciec zjawiał się bez córki. W rejestracji również się nie zdziwiono, że nie miał wyznaczonej wizyty, ponieważ nowa rejestratorka, która pełniła wtedy dyżur, często popełniała błędy. Lekarz, doktor Grohlke, a później też policja, nie mieli powodu, aby wątpić, że dziewczynka została uprowadzona z poczekalni, kiedy ojciec był w toalecie. W gabinecie doktora Grohlkego Viktor Larenz doznała załamania nerwowego i został przewieziony do nas. Jeszcze miesiąc temu nie mieliśmy żadnych sukcesów w jego leczeniu. Jego stan przypisywaliśmy cierpieniu spowodowanemu niewyjaśnioną stratą córki, nie potrafilismy jednak dociec, dlaczego mimo stosowania sprawdzonych leków jego stan się nie polepsza. W rzeczywistości działa się wręcz przeciwnie: jego stan pogarszał się z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc. A ponieważ nie wiedzieliśmy, że on sam jest odpowiedzialny za zniknięcie Josephine, w leczeniu przyjęliśmy całkowicie błędne założenia. Najpierw leczymy go na ciężką depresję. Ale jego stan ciągle się pogarszał. W końcu całkowicie straciliśmy z nim kontakt, zapadł w katatoniczne odrętwienie. Teraz wiemy, że znowu uciekł do swojego zmyślonego świata urojeń i żył wśród nieprzerwanych halucynacji na wyspie Parkum. Mieszkał tam ze swoim psem Sindbadem, utrzymywał kontakt z burmistrzem o nazwisku Halberstaedt, z rybakiem Burgiem, pracował też nad wywiadem dla prasy. Wszystko tylko w swojej głowie. Nic z tego nie było realne.

– Ale skoro rzeczywiście jest tak ciężko chory... – wtrącił Freymann i wyciągnął zegarek kieszonkowy, żeby sprawdzić, czy mają jeszcze dość czasu – ...i jeśli przez cztery lata w ogóle nie było z nim kontaktu, dlaczego nagle odzyskał świadomość dziewięć dni temu? Sam powiedział nam pan podczas rozmowy wstępnej, że w obecnym stanie może być sądzony. Dlaczego?

– Bardzo dobre pytanie – zgodził się Malzius. – Proszę się przyjrzeć tym zdjęciom. – Wsunął nowe przezrocze do rzutnika. – Tutaj widzą panowie przebieg jego choroby. Od pierwszego dnia po przywiezieniu go do nas, kiedy w otępieniu wpatrywał się w obiektów, aż do całkowitej zapaści, kiedy śliniąc się, wegetował bez kontaktu z otoczeniem w swoim pokoju.

Obrazy szybko się zmieniały.

– Nawet dla laika nieobeznanego z medycyną jest sprawą oczywistą, że wszystko, co przedsięwzięliśmy przez te lata, środki farmakologiczne, całe leczenie, tylko pogarszało jego stan. Tracił siły i zamiast lepiej było gorzej. Aż pewien młody lekarz wpadł na zuchwały pomysł. Mam na myśli doktora Martina Rotha. Na jego wniosek z dnia na dzień odstawiliśmy wszystkie leki.

– I kiedy już nie dostawał zastrzyków...! – zawołał zaintrygowany Lahnen.

– ...uaktywniła się jego zdolność do samoleczenia. W stanach halucynacji stworzył sobie własnego terapeutę: Annę Spiegel.

Lahnen cicho gwizdnął przez zęby, co wywołało gniewne spojrzenie Freymanna. Widocznie nawet pomiędzy tymi dwoma znakomitymi prawnikami panowała wyraźna hierarchia.

– Początkowo doktor Larenz myślał, że Anna Spiegel jest jego pacjentką. W rzeczywistości było dokładnie odwrotnie. To on był pacjentem, a Anna Spiegel jego psychoterapeutką. Zjawiała się przed nim i tak jak sugerowało samo jej nazwisko, widział w niej jak w lustrze, co zrobił: zabił własną córkę. Tym samym doktor Larenz może zostać uznany za pierwszego chorego na schizofrenię pacjenta, który sam siebie leczył za pomocą własnych wizji.

Zapaliło się światło i obaj prawnicy z wdzięcznością przyjęli do wiadomości, że wykład dobiegł końca. Już od godziny chcieli być na górze u swojego klienta i woleliby, żeby profesor Malzius streścił im to wszystko na piśmie. Mimo wszystko jednak dowiedzieli się właśnie nowych ważnych faktów, na podstawie których można było zbudować wiarygodną i przekonującą linię obrony.

– Czy mogę panom jeszcze jakoś pomóc? – zapytał profesor Malzius, otwierając drzwi do audytorium i prowadząc swoich gości do holu.

– Tak, z pewnością – odpowiedział Freymann, a Lahnen przytaknął ruchem głowy.

– To wszystko, co pan powiedział, naprawdę było bardzo przydatne, tylko że...

– Tak? – Malzius uniósł brwi, bo tak właściwie spodziewał się wyłącznie pochwały swojego

wykładu bez jakichkolwiek zastrzeżeń.

– No bo wszystko, co pan nam zrelacjonował, ostatecznie opiera się jednak na tym, co opowiedział panu sam Viktor Larenz, kiedy znowu wróciła mu jasność myślenia. Czy mam rację?

Malzius przytaknął.

– Mniej więcej. Dotąd nie był za bardzo rozmowny. Większość musieliśmy wydedukować sami z nielicznych, luźno rzucanych przez niego wzmianek.

Już podczas wstępnej rozmowy telefonicznej profesor zwrócił prawnikom uwagę na to, że pacjent w ostatnich dniach całkowicie zamknął się w sobie. Z nikim nie chciał rozmawiać oprócz doktora Rotha i dlatego lekarze przez długi czas nie mieli pełnego obrazu tego, co się w istocie wydarzyło w urojeniach Larenza.

– Ale jeśli doktor Larenz, jak pan sam powiedział, jest chorobliwym kłamcą, pacjentem z zespołem Münchhausena, skąd możemy mieć pewność, że ta historia nie jest kolejną sprytnie wymyśloną bajką?

Profesor Malzius spojrział najpierw na zegarek i porównał czas z dużym zegarem, który wisiał za nim na ścianie audytorium. Kiedy już mógł mieć pewność, że adwokaci zrozumieli, co myśli o tych zabierających czas pytaniach, odpowiedział krótko:

– Oczywiście nie mogę dać panom żadnej gwarancji w obecnym stanie rzeczy. Nigdy nie można mieć takiej pewności. Ale uważam jednak za nader mało prawdopodobne, by pacjent z zespołem Münchhausena przez prawie cztery lata symulował schizofrenię po to tylko, żeby uwiarygodnić kłamstwo. A teraz jeśli nie mają panowie dalszych pytań, chciałbym...

– Chwileczkę! – przerwał mu niemal niegrzecznie Freymann. Adwokat tylko lekko podniósł głos, ale to wystarczyło, żeby powstrzymać Malziusa przed odwróceniem się do nich plecami.

– O co jeszcze chodzi? – zapytał profesor, a w jego głosie słychać było wyraźną irytację.

– Jeszcze tylko jedno pytanie.

Malzius ściągnął brwi i patrzył na przemian to na Lahna, to na Freymanna.

– Słucham. Na jakie pytanie jeszcze panom nie odpowiedziałem? – zapytał prawników.

– Cóż, chyba na najważniejsze. Na to, z powodu którego w ogóle tu dzisiaj przyszliśmy.

Freymann uśmiechnął się dobrodusznie.

– Gdzie jest ciało?

Brawo! – Larenz bez siły zaklaskał w dłonie. – Bardzo dobrze. Proste, ale bardzo trafne pytanie.

– A więc? Gdzie jest ciało pana córki? – Doktor Roth po raz drugi powtórzył pytanie.

Larenz przestał klaskać, pocierając teraz nadgarstki i patrząc na brązową podłogę wyłożoną linoleum, które z powodu sztucznego światła padającego z sufitu nabrało lekko zielonkawego połysku.

– No dobrze. – Westchnął. – Ale w takim razie ubijemy nasz interes.

– Pan opowie mi swoją historię, a ja podaruję panu wolność?

– Tak.

– Nie!

Viktor westchnął ciężko.

– Wiem, że jestem winny. Popelnilem najgorszą zbrodnię, jaką można sobie wyobrazić. Zabiłem istotę, którą najbardziej kochałem. Własną córkę. Ale pan wie, że jestem chory. Chory. Nie można mnie wyleczyć. Rozegra się spektakl medialny. Odbędzie się proces i zostanę skazany. Jeśli będę miał szczęście, zamkną mnie w zakładzie zamkniętym dla psychicznie chorych. Ale czy sądzi pan, że to pomoże społeczeństwu?

Doktor Roth wzruszył ramionami.

– W opinii społeczeństwa popelnilem morderstwo. Tak. Ale można mnie uwolnić i mieć absolutną pewność, że nigdy więcej tego nie zrobię. Ponieważ już nigdy nie będę nikogo kochał tak, jak kochałem swoją córkę. Proszę pana, czy nie uważa pan, że zostałem już dostatecznie ukarany? Komu to miałyby służyć?

Doktor Roth odmownie pokręcił głową.

– Może i ma pan rację. Ale nie wolno mi tego zrobić. Popelnilbym przestępstwo.

– Mój Boże, przecież ja wcale nie chcę, żeby pan mi otworzył drzwi, doktorze Roth. Martin! Proszę! Przecież ja tu zostanę. Daj mi po prostu garść pigułek i będę mógł wrócić na Parkum.

– Na Parkum? Czego pan tam zamierza szukać? Przecież właśnie tam przeżył pan wszystkie okropności, o których dzisiaj opowiadał mi pan przez kilka godzin.

– Ale to było dopiero w ostatnich tygodniach. Przedtem żyłem na wyspie jak ze snów. – Viktor aż się zaśmiał, czując dwuznaczność tych słów. – Była piękna pogoda, ciepło, moja żona dzwoniła codziennie i chciała niedługo do mnie przyjechać. Halberstaedt troszczył się o generator, Michael przynosił złowione przez siebie świeże ryby. Sindbad leżał przy moich nogach. I co najważniejsze: mieszkała ze mną Josy. Do tego czasu wszystko było idealne. Burza nadciągnęła dopiero wówczas, kiedy odstawiście mi leki.

Doktor Roth włożył rękę do kieszeni i mocno ścisnął fiolkę z tabletkami. Słowa Larenza poruszyły go.

– Nie wiem. To nie w porządku.

– Okay. – Larenz usiadł na łóżku. – Ułatwię to panu, doktorze Roth. Odpowiem na pana ostatnie pytanie. Powiem panu, gdzie jest ciało Josy. Pod jednym warunkiem: najpierw da mi pan proszki.

– Odwrotnie – odpowiedział lekarz i nerwowo przyglądał włosy zakrywające zakola. – Najpierw pan mi to powie, a potem ja dam panu leki.

– Nie. Do tej pory cały czas mówiłem, nie wiedząc, czy otrzymam coś w zamian. Teraz pana kolej. Niech mi pan zaufa i da tabletki. To potrwa przynajmniej dwie minuty, zanim podziałają. Wystarczy, żeby podać panu miejsce.

Doktor Roth z wahaniem stał przy łóżku Larenza i zastanawiał się. Wiedział, że to, co teraz zrobi, będzie zaprzeczeniem wszystkiego, czego nauczył się w życiu. Ale nie mógł zrobić nic innego. Ciekawość była silniejsza niż rozsądek.

Wyjął rękę z kieszeni kitla i podał Viktorowi Larenzowi białą fiolkę z żądanymi lekami. Był to dokładnie ten sam środek, który regularnie wstrzykiwano mu przez ostatnie lata, aż wreszcie przed

dwoma tygodniami zrezygnowano z tego.

– Bardzo dziękuję. – Larenz nie tracił czasu i natychmiast odliczył osiem pastylek na pobladłą dłoń. Ordynator patrzył na niego z niewzruszonym wyrazem twarzy. W chwili, gdy Larenz wkładał pastylki do ust, chciał go złapać za rękę, żeby naprawić swój błąd. Ale było za późno. Larenz już połknął wszystkie.

– Nie ma obawy. Proszę mi zaufać, doktorze Roth. Postąpił pan właściwie. To odpowiednia pora na nawrót choroby. Nikt nie zażąda analizy krwi, kiedy za kilka chwil będę bez świadomości leżał na łóżku. Moi obrońcy już się o to zatroszczą. Przecież chcą, żebym był niezdolny do postawienia mnie przed sądem. Profesor Malzius pomyśli, że moja zdolność samoleczenia jednak nie wystarczyła, i wróci do klasycznego leczenia farmakologicznego. W końcu to nie był jego pomysł, żeby odstawić zastrzyki.

– Albo i nie, i zleci płukanie żołądka.

– Z tym ryzykiem muszę żyć i... umrzeć.

Viktor opadł na łóżko, ciężko oddychając. Połknął podwójną dawkę i jego głos już zdradzał pierwsze tego oznaki. Słabym ruchem dłoni przywołał do siebie doktora Rotha, który nachylił się, żeby Larenz mógł mówić mu do ucha.

Oczy Larenza zaczęły już uciekać i doktor Roth przestraszył się, że Viktor zabierze odpowiedź na jego pytanie ze sobą na Parkum.

– Gdzie jest Josy? – spytał, potrząsając Larenza za ramię. – Gdzie jest jej ciało?

Przez moment widział, jak oczy pacjenta tracą wyraz, ale potem wzrok jego znowu był przytomny.

Larenz wypowiedział swoje ostatnie słowa silnym, wyraźnym głosem.

– Niech pan uważa – powiedział, a doktor Roth pochylił się nad nim jeszcze niżej. Całkiem blisko. – Niech pan dobrze słucha, mój młody przyjacielu. Teraz powiem panu coś, co uczyni pana sławnym.

Epilog

Pół roku później. Lazurowe Wybrzeże

Apartament 910 hotelu Vista Palace w Roquebrune wyróżniał się nie tylko wspaniałym widokiem na przylądek Cap Martin i Monako. Obok trzech oddzielnych sypialni i dwóch łazienek miał również własny mały basen, żeby płacący wysoką cenę goście nie musieli kąpać się w jednym basenie razem z pospółstwem ze zwykłych pokoi.

Isabell Larenz leżała na leżaku na brzegu wody i rozkoszowała się zaletami 24-godzinnego serwisu. Zamówiła poledwicę z ziemniakami po włosku, do tego kieliszek szampana. Kelner w białej liberii właśnie garniował przy niej potrawę na ciężkim porcelanowym talerzu. Drugi kelner wyniósł na dwór fotel z apartamentu i postawił go przy stole z drewna tekowego, przy którym Isabell chciała spożyć posiłek. Odmówiła siedzenia na zwykłym krześle ogrodowym.

– Dzwonek, madame.

– Co?

Zdziwiona, że ktoś z obsługi ją zagaduje, Isabell odłożyła najnowsze francuskie wydanie pisma „InStyle” i ręką przesłoniła oczy przed słońcem.

– Ktoś dzwoni do drzwi. Czy mam otworzyć?

– Tak, tak, proszę. – Isabell przepłoszyła mężczyznę z obsługi ze swojego pola widzenia i wstała. Była głodna i miała nadzieję, że obaj kelnerzy wreszcie sobie pójdą. Ale przedtem zanurzyła duży palec u nogi w prywatnym basenie i zdecydowała, że po południu znowu zamówi manikiurzystkę. Lakier, który wczoraj wybrała, nie pasował do jej dzisiejszej wieczornej toalety.

– Dzień dobry, pani Larenz.

Isabell odwróciła się niechętnie i ujrzała nieznanego mężczyznę wchodzącego na taras przed rozsuwane drzwi. Był średniego wzrostu, zwyczajnie ubrany i miał niedbałą rozczochraną fryzurę. I mówił po niemiecku.

– Kim pan jest? – zapytała Isabell, rozglądając się przez chwilę.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że obaj kelnerzy odeszli, nie czekając na napiwek. I nie serwując dodatków, co spostrzegła z oburzeniem.

– Nazywam się Roth. Doktor Martin Roth. Jestem lekarzem prowadzącym pani męża.

– Ach tak? – Isabell wciąż jeszcze stała przy basenie. Właściwie chciała usiąść i zacząć jeść. Ale wtedy musiałyby zaproponować coś również nieproszonemu gościowi.

– Przyszedłem, żeby pani coś powiedzieć. Coś bardzo ważnego, co powierzył mi pani mąż na krótko przed nawrotem choroby.

– Nie całkiem rozumiem, dlaczego pan się tak trudził. Czy z tego powodu przyleciał pan tu aż z Berlina? Tylko żeby ze mną porozmawiać? Dlaczego po prostu pan nie zadzwonił?

– Ponieważ uznałem, że lepiej będzie jak omówimy to osobiście.

– No dobrze, niech będzie. Wprawdzie wszystko to wydaje mi się trochę osobliwe, ale proszę. Zechce pan usiąść? – zaproponowała z udawaną uprzejmością.

– Nie, dziękuję. Nie będę pani długo przeszkadzał. – Doktor Roth minął basen i stanął w słońcu na pokrytej trawą części tarasu.

– Całkiem ładnie pani tutaj ma.

– Tak, nader przyjemnie.

– Często spędza pani urlop w tym hotelu?

– Nie, jestem pierwszy raz w Europie od ponad czterech lat, doktorze. Ale czy moglibyśmy przejść do rzeczy? Obiad mi stygnie.

– Buenos Aires, prawda? – Doktor Roth zignorował jej sugestię. – Wyjechała pani z kraju krótko

po śmierci Josy.

– Miałam swoje powody, żeby zostawić wszystko za sobą. Jeśli ma pan rodzinę, zapewne pan to zrozumie.

– Oczywiście. – Doktor Roth spojrział na Isabell badawczym wzrokiem. – Jak pani wie, mąż pani przyznał mi się, że od długiego czasu podawał córce truciznę i w końcu udusił ją w ataku obłądu.

– Prawnicy, których wynajęłam, już mi to mówili.

– W takim razie wie pani również, że pani mąż po przyznaniu się znowu miał nawrót choroby.

– I do tej pory z niego nie wyszedł. Tak, wiem.

– Ale przedtem zdecydował się jeszcze zdradzić mi, gdzie znajdują się zwłoki pani córki.

Twarz Isabell ani drgnęła. Kobieta wzięła do ręki okulary przeciwsłoneczne od Gucciego, które do tej pory miała we włosach, i umieściła je na nosie.

– I co? – zapytała pewnym głosem. – Powiedział to panu?

– Tak, teraz wiemy, gdzie spoczywa pani córka.

– Gdzie? – zapytała Isabell i po raz pierwszy okazała emocje. Jej dolna warga lekko zadrżała.

Martin Roth przeszedł przez trawnik i zatrzymał się przy balustradzie tarasu. Tuż za nią ściana wybrzeża opadała dobrych kilkaset metrów w dół.

– Proszę do mnie podejść! – poprosił.

– Po co?

– Niech pani podejdzie. Proszę. Będzie mi łatwiej powiedzieć to pani tutaj.

Isabell podeszła z ociąganiem.

– Czy widzi pani na lewo pod nami basen dla gości hotelowych? – Doktor Roth pokazał na rozciągający się nieco niżej taras.

– Tak.

– Dlaczego pani tam nie pływa?

– Nie rozumiem, jaki to ma związek z moim mężem. Ale jak pan widzi, mam tutaj własny mały basen.

– Tak. To prawda – powiedział doktor Roth, nie odwracając wzroku od ludzi przy tamtym basenie. – A dlaczego w takim razie leży tam ten mężczyzna?

Doktor Roth wskazał na szczupłego człowieka w czerwonych kąpielówkach w kratkę. Miał około czterdziestu lat i właśnie przesuwiał leżak ze słońca w cień.

– Skąd mam wiedzieć. Nie znam go.

– Mieszka obok pani. Też jest lekarzem jak ja. I również ma apartament z własnym basenem. Tak jak pani. A mimo to opala się tam na dole.

– Doktorze Roth, naprawdę jestem cierpliwa. Ale czy nie wspominał pan, że chce powiedzieć mi coś ważnego o miejscu, gdzie znajduje się moja córka? I czy nie widzi pan w tym czegoś niesmacznego, że zamiast tego zawraca mi pan głowę, opowiadając jakieś głupstwa o nieznanym mi mężczyźnie na basenie?

– Tak. Ma pani rację. Przepraszam. Tylko że...

– Tylko że co? – Isabell znowu zdjęła okulary przeciwsłoneczne i spojrzała na niego czarnymi oczami, w których widać było iskry gniewu.

– Tylko że prawdopodobnie ten mężczyzna pod nami tak chętnie opala się na ogólnie dostępnym basenie, bo lubi popatrzeć sobie na atrakcyjne dziewczęta. Na przykład na tę ładną, młodą osóbkę, która leży o trzy miejsca na lewo od niego. Blisko pryszniców. Widzi ją pani?

– Tak. Ale tej kobiety też nie znam. I dłużej już nie mam...

– Naprawdę?

Doktor Roth włożył dwa palce lewej ręki do ust i zagwizdał w stronę basenu w dole.

Większość ludzi w wodzie i na leżakach spojrziała do góry. Zrobiła to również zgrabna młoda blondynka, odłożyła książkę, następnie z wahaniem pomachała do doktora Rotha, który uniósł rękę.

– *Hola?! –* zawołała i odeszła na kilka kroków od leżaka.

Isabell zdrętwiała, kiedy niedługo później dziewczyna stanęła zaledwie kilka metrów pod nimi i

na zmianę patrzyła to na doktora Rotha, to na Isabell.

– *Hola. Qué pasa?! –* zawołała znowu po hiszpańsku. – *Quién es el hombre, mami?*

Doktor Roth liczył się z tym, że Isabell będzie chciała uciekać. Zanim jeszcze wbiegła do salonu, drzwi wejściowe gwałtownie się otworzyły i do apartamentu wszedł francuski policjant.

– Jest pani aresztowana pod zarzutem utrudniania działania wymiarowi sprawiedliwości, niesłusznego oskarżenia osoby trzeciej o popełnienie ciężkiego przestępstwa i dopuszczenia się ciężkiego uszkodzenia ciała – powiedział łamaną niemczyzną.

– To śmieszne – oburzyła się Isabell.

Na jej rękach zatrzasnęły się kajdanki.

– To pomyłka! – krzyknęła, kiedy ją wyprowadzano.

Policjant powiedział kilka niezrozumiałych słów do krótkofalówki i po sekundzie w odległości około stu metrów od dachu hotelu dał się słyszeć warkot helikoptera.

– Zasadniczo był to bardzo sprytny plan, pani Larenz – powiedział doktor Roth, idąc za Isabell, kiedy wyprowadzano ją z apartamentu. Był pewny, że go słyszy. – Josy wcale się nie udusiła. Była tylko nieprzytomna, kiedy znalazła ją pani w domku na łodzie. Ukryła ją pani i wywozła statkiem do Ameryki Południowej. Dzięki temu mogła pani wykorzystać dla własnych celów chorobę umysłową męża. Zostawiła go pani w przekonaniu, że jest mordercą. Myślał, że zabił swoje dziecko, i przeżył załamanie, a potem pogrążył się w chorobie. A pani mogła go ubezwłasnowolnić. I dzięki temu przejął jego majątek. Prawnicy zrobili co trzeba, a w Argentynie nikt nie zadaje pytań o małą dziewczynkę u pani boku, dopóki są pieniądze. Dobry plan. Ale niestety nie sprawdził się na dalszą metę. Nie powinna pani być tak lekkomyślna i sprowadzić Josy z powrotem do Europy, tylko dlatego, że nie brała pani pod uwagę, że Viktor może kiedykolwiek odzyskać świadomość.

Policjant poprowadził Isabell schodami na piąte piętro i wyszedł teraz z nią na dach hotelu Vista Palace, który normalnie służył bogatym gościom za lądowisko helikopterów. Teraz czekał tu helikopter jednostki specjalnej żandarmerii. Przez całą drogę na górę Isabell nie powiedziała ani słowa i teraz również nie odpowiadała na pytania, które doktor Roth do niej wykrzykiwał:

– Co pani powiedziała wtedy Josy? Że byłoby dla niej lepiej uciec przed wrzawą medialną do Buenos Aires? Że nowe nazwisko nie wywoła tam żadnych pytań? Jak długo trwało, zanim przestała pytać o ojca?

Isabell nadal milczała. Nie odpowiadała na pytania i sama też żadnych nie zadawała. Nie domagała się adwokata. Nie wyraziła nawet życzenia, że chciałyby się pożegnać z córką, którą już zajęła się na dole policjantka. Bez słowa wyszła na dach i nie stawiając oporu, pozwoliła poprowadzić się do helikoptera.

– Pani mąż ma przynajmniej coś na swoje usprawiedliwienie! – krzyknął za nią doktor Roth, mając nadzieję, że ostatnie zdanie nie zginie w hałasie helikoptera. – On jest po prostu chory. Ale pani... Pani jest tylko chciwa.

Dopiero słysząc te słowa, Isabell zatrzymała się i odwróciła. Policjant bez wahania skierował w jej stronę broń. Isabell zapytała o coś, ale doktor Roth nie usłyszał pytania. Zrobił więc krok w jej kierunku.

– Jak Viktor się w tym zorientował?

Teraz był już wystarczająco blisko, żeby ją zrozumieć.

– Jak mój mąż się o tym dowiedział?

Och, Viktor wiedział to już dawno, pomyślał doktor Roth, powstrzymując się od odpowiedzi. Uświadomił to sobie krótko po przebudzeniu w klinice i na długo przedtem, zanim doktor Roth pierwszy raz zapytał go o ciało Josy. Fakt, że policja nie znalazła jej w domku na łodzie, dopuszczał tylko jedno jedyne wyjaśnienie: Josy wcale nie umarła. Resztę Larenz mógł sam szybko skojarzyć. Początkowo doktor Roth zadawał sobie oczywiście pytanie, dlaczego Larenz chce wrócić do swojego urojonego świata, skoro wie, że jego córka żyje. Ale później szybko sobie uświadomił, że Larenz się boi. Ogromnie się boi. Siebie samego. Już raz zagroził życiu córki. O mały włos, a byłby ją zabił. A ponieważ jako psychiatra najlepiej wiedział, jak niewielką ma szansę na wyzdrowienie, wybrał dla siebie jedyne miejsce

na świecie, gdzie Josy na zawsze już będzie przed nim bezpieczna. Parkum.

– Skąd Viktor wiedział, że Josy jeszcze żyje? – Isabell starała się przekrzyczeć szum łopat wirnika.

– Ona mu to powiedziała! – odkrzyknął doktor Roth i przez krótką chwilę sam był zaskoczony, że udzielił jej takiej odpowiedzi. A zrobił to prawdopodobnie dlatego, że właśnie takiej odpowiedzi życzyłby sobie od niego Viktor.

– Powiedziała? Jaka ona?

– Anna.

– Anna?

Policjant lekko szturchnął Isabell, zmuszając ją, żeby szła dalej. Poddała się, ale ciągle próbowała odwracać się do tyłu. Chciała jeszcze ostatni raz porozmawiać z doktorem Rothem. Zadać mu ostatnie pytanie. Ale po kilku metrach nie był już w stanie jej usłyszeć. Tylko że to już wcale nie było konieczne. Wystarczyło mu, że patrzył na jej usta, które poruszały się bezgłośnie.

– Kim, do diabła, jest Anna?

Jej bezrozumny wzrok, całkowita bezsilność w oczach, kiedy helikopter z nią na pokładzie odrywał się od ziemi, było to ostatnie, co Martin Roth u niej zobaczył i miało mu to na zawsze utkwąć w pamięci.

Lekarz odwrócił się powoli i poszedł w stronę schodów. A kiedy schodził na dół, wiedział już, że najtrudniejsze ma jeszcze przed sobą. W nadchodzących miesiącach okaże się, na ile opanował psychiatryczne rzemiosło. Na terapię czekała nowa pacjentka. Zrobi wszystko, co w jego mocy, aby wyjaśnić jej całą prawdę. Obiecał to jej ojcu.

Podziękowania

Przede wszystkim – i nie jest to frazes – dziękuję Wam za przeczytanie tej książki. Wy i ja mamy ze sobą coś wspólnego. Ponieważ zarówno pisanie, jak i czytanie są czynnościami wykonywanymi w samotności i przez to intymnymi. Zrobiliście mi najcenniejszy prezent: podarowaliście mi swój czas. Nawet bardzo dużo czasu, jeśli teraz jeszcze przebijacie się przez tę końcówkę. Jeśli macie ochotę, napiszcie do mnie, przedstawcie własną opinię o książce.

Po prostu odwiedźcie moją stronę w Internecie:

www.sebastianfitzek.de

Lub wyślijcie do mnie e-maila na adres:

fitzeksebastian@fitzek.de

Odczuwam też oczywiście ogromną potrzebę podziękowania ludziom, którzy mnie „stworzyli”:

Na przykład mojemu agentowi Romanowi Hockemu, który od pierwszego dnia nie traktował mnie jak nowicjusza, lecz jak jednego z licznych autorów bestsellerów, których zwykle reprezentuje.

Dziękuję mojej redaktorce w wydawnictwie, pani doktor Andrei Müller, która nie tylko ciepło przyjęła mnie do rodziny osób związanych z wydawnictwem Knaur, lecz ponadto swoją pracą znacząco wpłynęła na ostateczny kształt książki.

Dziękuję mojemu przyjacielowi Peterowi Prangemu za to, że jako autor bestsellerów bezinteresownie podzielił się ze mną swoją wiedzą na temat ich pisania i wspólnie ze swoją żoną, Serpil, zaproponował całą listę istotnych zmian. Mam nadzieję, że udało mi się wszystkie wykorzystać.

Tobie, Clemensie, dziękuję za wskazówki medyczne. Nigdy nie zaszkodzi mieć brata docenta neuroradiologii. Przynajmniej jedna osoba w rodzinie nauczyła się czegoś rozsądnego. Aby moi krytycy nie stali się Twoimi, informuję ich, że ewentualne potknięcia dotyczące wiedzy medycznej wynikają tylko z tego, że nie wszystko dałem Ci do przeczytania.

Każda powieść jest końcem długiej drogi. Moja zaczęła się od rodziców Christy i Freimuta Fitzków. Dziękuję Wam za Waszą miłość i niez mordowane wsparcie.

Historie nic nie są warte, jeśli nie można ich nikomu opowiedzieć. Gerlinde, dziękuję Ci za to, że wysłuchałaś Terapii co najmniej sześć razy i chwaliłaś na nowo każdą wersję, chociaż miłość z całą pewnością mąciła nieco Twój obiektywizm.

Dziękuję wreszcie tym wielu ludziom, których wcale nie znam, ale bez których ta książka w ogóle nie mogłaby fizycznie zaistnieć. Tym, którzy stworzyli jej wspaniałą okładkę, którzy wydrukowali dzieło, dostarczyli do księgarń i ustawili na półce, abyście potem mogli je kupić.

I oczywiście dziękuję Tobie, Viktorze Larenzu. Gdziekolwiek teraz jesteś.

Sebastian Fitzek